

Janusz Meissner

Szkoła Orłąt

1

Grey był zniechęcony. Od kilku lat szukał coraz to nowych emocji i wrażeń, a doświadczony ich, przekonywał się, że nie są wcale tak nadzwyczajne, jak przypuszczał. Jego słynne rajdy lotnicze, wprawiające w podziw Europę, obrzydły mu zupełnie: były nudne, po prostu nudne. Zawody sportowe stały się jednostajne przez to, że zajmował w nich zawsze i niezmiennie pierwsze miejsce. Akrobacja powietrzna przestała go bawić: zrobił wszystko, co tylko można było wymyślić dla samolotu, wynalazł szereg nowych figur i nie napotykał więcej trudności, wykonywał swoje podniebne szaleństwa bardziej z nałogu niż dla przyjemności, którą początkowo odczuwa każdy, kto opanuje samolot.

Porucznik Grey był do niedawna instruktorem szkoły pilotów. Wielka pasja szkolenia trzymała go najdłużej w swej mocy. Trzymałaby go może nadal, gdyby nie to, że Grey coraz częściej popadał w kolizje z przepisami wojskowego systemu nauki pilotażu, a wreszcie, gdy jego postulatów i projektów nie uwzględniano, podał się do dymisji po dwunastoletniej służbie w lotnictwie.

Zaledwie to uczynił, trzy pasażerskie linie komunikacyjne zaproponowały mu pracę. Odrzucił bez wahania te propozycje.

Latać na jednym i tym samym szlaku tam i z powrotem i nic więcej? Mijać co dnia te same miasta i wsie, te same tory kolejowe i szosy, te same jeziora i rzeki; patrzeć na jednostajne kraty pól i płachty kosmatych lasów? Wozić pocztę i pasażerów z szybkością dwustu kilometrów na godzinę? Nie, to nie było zajęcie dla niego.

Odrzucił również propozycję niejakiego Stensona, milionera, który chciał go zatrudnić jako prywatnego pilota.

— Nie chcę być szoferem — powiedział bez ogródek, choć Stenson pokazał mu prześliczną maszynę, do której roześmiały się oczy pilota, i wymienił wysoką sumę poborów.

Grey z żalem popatrzył na pyszną linię Fokkera, westchnął i wypaliwszy cygaro w gabinecie pana Stensona, odjechał jego samochodem do domu.

Grey był młody i miał temperament sportowca. Prócz tego miał nieco odłożonej gotówki, którą zdobył w postaci nagród na zawodach, i emeryturę wojskową. Był wolny jak ptak, pełen energii, która nie mogąc znaleźć sobie ujścia dusiła go swym nadmiarem.

Chwilowe zniechęcenie spowodowane było właśnie tą niemożnością znalezienia właściwego odpływu dla twórczych sił, którymi rozporządzał. Grey nudził się...

Wczesną wiosną przyszło mu na myśl, aby pojechać do niewielkiego folwarku, który przed rokiem odziedziczył po dalekich krewnych w powiecie białostockim. Nie był tam jeszcze wcale, bo ziemia nie interesowała go zbyt.

Myślał o sprzedaży folwarku nie dającego żadnych dochodów, a tymczasem wysłał tam administratora, dawnego szefa mechaników — Gałęckiego i otrzymywał od niego regularnie

raz w miesiącu krótkie sprawozdania z tego, co się w Siedliskach działo.

Nie przeglądał nawet tych raportów, nie przywiązując do nich większej wagi, i dopiero teraz, postanowiwszy ostatecznie skończyć z folwarkiem, odszukał w szufladzie biurka paczkę listów, aby dowiedzieć się coś niecoś o swych „rodowych dobrach”, jak ironicznie nazywał ośmiowłókowe gospodarstwo.

Gałecki zakochany w swoim byłym dowódcy po uszy, zanim przeszedł do rezerwy razem z Greyem, miał z nim przed opuszczeniem szeregów krótką konferencję.

— Pan porucznik idzie do cywila? — zapytał któregoś dnia, kiedy Grey jak zwykle wszedł do hangaru, aby wydać dyspozycje na loty popołudniowe.

— Już pan wie? — uśmiechnął się pilot.

— Wszyscy wiedzą... A ja bym też z panem porucznikiem poszedł.

— Pan? I cóż by pan robił w cywilu?

— Ee! Człowiek nie zginie. Słyszałem, że pan porucznik dostał folwark.

— Dostałem. Osiem włók na Białostocczyźnie. A pan się na tym zna?

Gałecki znał się na wszystkim. Sam pochodził ze wsi; rodzice jego mieli dzierżawę.

— Jeżeli pan rzeczywiście chce — zaczął Grey. — Potrzeba mi administratora, któremu mógłbym zaufać...

I Gałecki został administratorem.

Pojechał do Siedlisk, załatwił wszystkie formalności i objął folwark w niepodzielne władanie. To, że posada była tymczasowa, nie martwiło go wcale: mógł być równie dobrze szoferem, mechanikiem łodzi motorowej czy samolotu, służącym, sekretarzem lub czymkolwiek bądź u Greya. Wiedział doskonale, że dawny dowódca nie da mu zginąć i będzie go potrzebował także po sprzedaży folwarku.

Grey zresztą myślał tak samo. Związała go z werkmistrzem długoletnia wspólna służba w lotnictwie, służba, w czasie której pilot z mechanikiem poznają się równie dobrze, jak pilot i obserwator, stanowiący w powietrzu załogę najbardziej żytą.

Grey i Gałecki znali się na wylot. Obaj szli do cywila bez żalu, ale i bez goryczy; przeciwnie: wspomnienia, które z sobą unosili, były mile. Te, które pozostawiali po sobie, miały stać się legendą dla przyszłych pokoleń szkoły.

Powodem ich kroku był pęd do nowych wrażeń, do nie znanej, coraz innej życiowej emocji, do czegoś, Czego właściwie nie umieliby obaj określić.

Zgadziali się na jedno: wrócą, jeśli będzie wojna. Ta przyszła wojna była także czynnikiem, który pchnął Greya na drogę szkolenia. Trzeba było przygotować pilotów, którzy pójdą na front.

Grey przygotował ich wielu: ponad czterystu uczniów przeszło przez jego ręce. Tylko że związany programem, nie mógł tak szkolić, jak chciał...

„To nie jest to — mówił. — To nie jest to... Takich samych pilotów mają i Niemcy, i Anglicy, i Czechosłowacy. Trzeba stworzyć innych, lepszych... Najlepszych, jakich stworzyć można”.

Pisał projekty, układał nowe programy. Były niewykonalne. Tak przynajmniej twierdziły władze. W końcu zniechęcił się i odszedł. „Niech szkolą inni”.

Teraz myślał o tym bez żalu, a postanowiwszy zająć się sprawą Siedlisk, odnalazł całą energię i chęć do życia.

Przeglądając raporty werkmistrza utwierdził się w przekonaniu, że trzeba tam pojechać i zobaczyć: może nie sprzeda tego kawałka ziemi? Może praca na roli, o której miał zresztą niejaki pojęcie, porwie go swą nowością i stanie się źródłem świeżych wrażeń?

Gałecki pisał zwięzłym, żołnierskim stylem: „Siedliska leżą o pięć kilometrów od kolei.

Dwór ośmiopokojowy, stary, ale niezły. Ogrodu owocowego dziesięć morgów; drzewa mało co warte. Budynki duże i dobre. Ziemia lekka, piaszczysta. Włoka lasu, dwie włoki łąk, pięć — ornej ziemi. Łąki dobre, ale ziemia orna... pożał się Boże! Piach i piach. Figura majątku: prawie regularny kwadrat z domem w kącie południowym. Inwentarz skąpy: cztery konie, trzy krowy, trochę świń. Narzędzi rolniczych mało. Zbiory słabe (to w zeszłym roku). Obsiano znów pięć włók: żyto, jęczmień, kartofle. Będzie, jak Bóg da. Gdyby były pieniądze — tak z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy — można by gospodarować. A tak — chyba sprzedać: piach nie rodzi wiele więcej, niż się wysiewa. Nawet kartofle się nie oplacają. Gdyby zorać łąki, może by coś z tego było. Tylko że trzeba pieniędzy..."

Tyle było w raportach prócz spraw bieżących. Grey zamyślił się. Miał przecież pieniądze. — Zobaczmy — mruknął.

Potem spakował małą walizkę i pojechał na dworzec.

Pociąg miał odejść za kilka minut. Grey kupił jeszcze gazetę i wsiadł do pustego przedziału. Na dworze panował przejmujący marcowy chłód. Za to w przedziale było gorąco jak w piecu. Zdjął futro i powiesił je przy oknie. Po chwili do przedziału wszedł jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce i czapce nasuniętej na oczy; zajął miejsce naprzeciw, zasłoniwszy się gazetą. Tymczasem konduktor zapalił lampę.

Pociąg już ruszał i Grey zamierzał wyciągnąć się na swojej ławce, zadowolony, że będzie mógł spać wygodnie, gdy w ostatniej chwili drzwi wagonu otworzyły się i do przedziału zaczęły wpadać walizki i paczki, a za całym ich stosem ukazał się zdyszany chłopak, zakutany w przydługie palto, w kaloszach i z parasolem, trzymając jeszcze pod pachą wyszarżalą koc i zawiniątko, zapewne z wiktuałami, jak na to wskazywał zatłuszczony papier. Zanim zabrał się do ułożenia swoich bagaży, musiał odsapnąć, tak był zmęczony. Rozejrzał się niepewnie dokoła i po krótkim wahaniu usiadł obok Greya, który mruknął coś pod nosem w odpowiedzi na nieśmiałe „przepraszam” nowego pasażera.

Chłopiec wyjął chustkę, wytarł nos i zaczął porządkować bagaż, układając go z wysiłkiem na półkach. Potem zdjął uczniowską czapkę i rozpiął palto.

Grey obserwował go spod oka. Pasażer z przeciwnej ławki ułożył się do snu i chrapał. Gimnazista wiercił się na swoim miejscu, nieustannie coś poprawiając. Był drobny, szczupły i widocznie słabowity. Jego blada, chuda twarz, pokryta piegami i wymizerowana, miała wyraz zalęknienia i nieśmiałości. Drobne, nerwowe ręce drżały z wysiłku przy podnoszeniu walizek, a zaczerwienione oczy zdawały się prosić wszystkich o przebaczenie za niezaradność ich właściciela.

Cherlak — pomyślał Grey niechętnie.

Będąc sam wszechstronnym sportowcem, oceniał spotykanych w życiu ludzi przede wszystkim pod względem rozwoju fizycznego. Dopiero później sięgał do głębi umysłu, duszy i serca.

Mimo to Grey nie był powierzchowny. Jego mimowolna niechęć do przypadkowego towarzysza podróży nic sięgała poza sferę fizycznych odczuwań pierwszego wrażenia i była do pewnego stopnia usprawiedliwiona.

Gimnazista ze swej strony patrzył na Greya z najwyższym szacunkiem i zainteresowaniem. Zdawał się znać go od dawna. Nie śmiał tego powiedzieć, choć uśmiechał się blado, mrugając zaczerwienionymi powiekami i chrząkał w sposób wyraźnie wskazujący na chęć rozpoczęcia rozmowy.

Grey był śpiący. Oparł głowę o miękkie poduszki przedziału i zmrużył powieki.

— Niech pan wyciągnie nogi, panie poruczniku — powiedział uprzejmie chłopiec, usuwając się w kąt kanapy, — Ja i tak nie mogę spać w pociągu.

Greya od razu ujęła ta uprzejmość.

— Skąd pan wie, że jestem oficerem? — spytał. Gimnazista ożywił się. Na bladą twarz wypłynęły rumieńce.

— O, ja znam pana dobrze — powiedział prędko. — Pan jest Jerzy Grey, porucznik— pilot Jerzy Grey.

— Ma pan zupełną rację, przyjacielu — uśmiechnął się Grey. — Skąd mnie pan zna?

— Z fotografii i z lotniska. Ja nazywam się Karol Zakrzewski — dodał wstając niezręcznie.

— Bardzo mi miło, panie Zakrzewski. Niech pan jednak usiądzie wygodniej. Jakoś to urządzimy: miejsca będzie dosyć. Dokąd pan jedzie?

— Wracam do Wilna, do szkoły. Byłem w Warszawie na zjeździe delegatów sekcji szkolnej Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Tak dawno chciałem pana poznać osobiście... i teraz przypadkiem... — zaciął się.

— Chciał mnie pan poznać? Dlaczego?

— Proszę pana, my wszyscy marzyliśmy o tym: rozmawiać z takim człowiekiem jak pan! Usłyszeć z ust pana coś o tych lotach, które śledziliśmy z biciem serca...

Grey skrzywił się.

— Dajmy spokój — machnął ręką. — Już widzę, że czytał pan przesadne komunikaty gazet na ten temat. Któż to „my”? Powiedział pan: „my”?

Chłopiec zmieszany milczał chwilę. Wróciło dawne załknięcie.

— My, to znaczy ja i dwaj młodszy bracia, a także wujcio i stryjenka — wykrztusił.

— Ach, i stryjenka także? — zdziwił się Grey trochę ironicznie.

Jakaś społeczniczka „z Wilna” — pomyślał.

— Przepraszani, a w której pan klasie?

— W szóstej.

— Niechże mi pan coś opowie o sobie i o tym zjeździe, na którym pan był.

Chłopiec zaczął mówić. Z początku nieśmiało, zacinając się i czerwieniąc, potem coraz lepiej i płynniej. Mówił o zainteresowaniu lotnictwem wśród młodzieży, o rozwoju modelarstwa w szkołach średnich, o referatach na zjeździe, o zwiedzaniu fabryk samolotów i laboratoriów aerodynamicznych w stolicy. Grey słuchał z rosnącym zaciekawieniem: ten niepozorny smyk z szóstej klasy naprawdę dużo wiedział i orientował się wcale nieźle.

Zaczął go rozpytywać o dom i szkołę. Rozgadali się.

Zakrzewski był sierotą przysięganym wraz z dwoma braćmi przez krewnych. Ojciec, maszynista kolejowy, zginął, kiedy jeszcze Karolek był małym dzieckiem. Matka umarła przy urodzeniu najmłodszego. Stryj ma sklepik spożywczy w Wilnie. On sam, Karol, daje korepetycje i zarabia na swoje utrzymanie. Pomaga także w sklepie. Bracia chodzą do szkoły rzemieślniczej. Stryjostwo nie mają swoich dzieci i pewnie kiedyś Karol obejmie „interes”. Ale marzy o czymś innym. O czym? Chciałby, mój Boże, chciałby zostać pilotem..— .

Grey spojrział na niego krytycznie. Takie chuchro — pomyślał.

— To ciężka praca — powiedział głośno, — Trzeba być bardzo wytrzymałym, zdrowym i silnym..

Chłopiec posmutniał.

— Ja wiem, proszę pana — westchnął. — Ale gdyby mnie tylko przyjęli, dałbym sobie jakoś radę..:

Rozmawiali jeszcze chwilę o tym i owym, podczas gdy pociąg mijał jakieś słabo oświetlone stacyjki, wpadał na ciemne pola i przemykał się wąskimi korytarzami toru wśród lasów. W końcu Grey poczuł wzrastającą senność i przymknąwszy powieki oparł głowę na poduszcze.

Zakrzewski sięgnął po książkę, która wystawała z kieszeni palla.

„O sposobie obchodzenia się z płatowcami” przeczytał Grey tytuł. — Szkoda, że taki chuchrak; może by i latał — pomyślał o gimnaziście i zasnął.

Chłopak wziął się do czytania. Ale nie szło mu. Nieoczekiwane spotkanie i świeżo zawarta znajomość z asem lotnictwa, o którym tyle naczytał się i nasłuchał, wytrąciły go z równowagi. Zaczął marzyć.

Wyobrażał sobie, że odbywa jakiś gigantyczny lot, jak Idzikowski przez Atlantyk albo Byrd do bieguna:

...Suną pod nim niezmiernie przestrzenie oceanu. Otacza go raz noc, to znów dzień; chmury i mgły, wichry, burze i śnieżyce. On leci naprzód. Cały świat z niepokojem czeka jego depesz i depesz o nim. Imię małego, dotychczas nikomu nie znanego Karola jest teraz na ustach wszystkich. Nawet wielki Bogucki z szóstej klasy, który już goli wąsy i pali papierosy, mówi o nim z szacunkiem. Profesorowie kręcą głowami: „No, no, ten Zakrzewski...” A stryj z niepokojem czyta gazetę: „Ostatnie wiadomości o locie Karola Zakrzewskiego”. Potem — triumf! Witają go tłumy, reporterzy proszą o wywiad, fotografowie oblegają ze wszystkich stron, podziwiają go dorośli mężczyźni i kobiety.. Karol jest skromny: „To zasługa mego instruktora, Greya; jestem jego uczniem...”

Tak, tak, tak. — Tak, tak, tak — stukają koła wagonu. Tak, tak, tak. — Tak, tak — tak — coraz wolniej. Pociąg zbliża się do stacji. Zakrzewski powoli otwiera oczy. Nie chce mu się otworzyć ich zupełnie: tak dobrze jest marzyć. Przedział drugiej klasy jest taki wygodny! Zakrzewski dawno już nie jeździł drugą klasą: bilet kosztuje bardzo drogo. Ale na zjazd wydano bilety bezpłatne:

I miękkie poduszki przedziału przez półprzymknięte powieki znów zamieniają się w krajobrazy dalekich stron mijanych w nowym locie:

...Bieleją szczyty górskie pokryte śniegiem, który odbija ostre, kłujące promienie słońca; srebrzą się rzeki, zielenią łąki i puszyste lasy. Obłoki suną po niebie, uciekają w tył lub rozpadają się w drobne strzępki pary pod naporem samolotu złościącego w nich głębokie brudzy. Wtem na chwilę znika słońce, aby zaraz znów — się ukazać.

Nagle tuż przed maszyną wyrasta olbrzymia, czarna chmura i pędzi naprzeciw ze złym pomrukiem przyczajonego grzmotu. Jest coraz bliżej, groźna i ciemna, chlastana z boku wichrem, darta przez krótkie cięcia błyskawic. Karol chce ją wyminąć i nie może. Robi się parno, samolot drga i tańczy w podmuchach burzy. Do serca zaczyna się zakradać strach.

To pociąg przechodzi po zwrotnicach — przypomina sobie sennie Zakrzewski. — Ale dlaczego jest tak duszno i ciemno?

Z wysiłkiem otwiera oczy. Lampa z trudem sączy słabe światło przez opuszczony pokrowiec. Ktoś, kto stał przed chwilą pochylony nad Zakrzewskim, patrzy uważnie na śpiącego spokojnie Greya. Potem ostrożnie odwraca się i sięga po jego futro. Chłopiec widzi tylko szerokie plecy w skórzanej kurtce., włochatą czapkę i wyciągniętą rękę złodzieja. Chce krzyknąć, ale strach ściska mu gardło w potężnych kleszczach.

Tak — tak — tak — klekocą koła wagonów.; Tak — tak — tak — bije serce gimnazisty.

— Boże! — szepce Karol.

— Milcz, szczeniaku! — mówi zduszony, chrypiący głos. — Milcz, bo...

Brudna, obrośnięta rudawym włosem pięść zbliża się do twarzy chłopca.

— Panie poruczniku! — Karol szarpie Greya za ramię. — Panie poru...:

Pięść spada na poblądłe usta; trzaskają drzwi wagonu. Słony smak krwi i nagle — huk wystrzału z pistoletu Greya. Potem już nic: ciemność i zawrót głowy.

Karol obudził się. Rozbite i zapuchnięte usta bolały go nieznośnie. Mimo to powstrzymał jęk, przypomniawszy sobie, że Grey jest w sąsiednim pokoju.

Która to może być godzina? — pomyślał.

Przez opuszczoną roletę wkradał się blask słońca. Po obu stronach okna, tuż przy framudze, w dwóch strugach światła tańczyły drobne pyłki kurzu. Przez nie domknięte drzwi słychać było przytłumioną rozmowę.

Karol zaczął nasłuchiwać. Z radością rozróżnił głos Greya.

— Muszę już iść — mówił pilot. — Raz jeszcze proszę zawiadomić mnie o zdrowiu chłopca i przysłać go na całe wakacje do Siedlisk.

Stryj mruczał coś zażenowany i wzruszony.

Karolowi zrobiło się nagle tak jakoś ciepło koło serca: Grey, sam Wielki Grey zapraszał małego, lekceważonego rzez wszystkich Karola do siebie. Cóż na to powie Bogucki, kiedy w szkole rozejdzie się wieść, że przyjacielem tej „ciapy” Zakrzewskiego jest taki człowiek? Mniejsza już nawet o Boguckiego: Karol nie dba o triumfy; wystarczy mu, że zasłużył na wdzięczność ukochanego... tak — ukochanego bohatera. Grey interesuje się jego losem. Grey zaprasza go do siebie. Grey myśli o nim!

Usłyszał szmer odsuwanych krzeseł, szybkie kroki i mocny, choć stłumiony głos: „Nie trzeba go budzić, niech śpi”.

Potem, zanim miał czas zerwać się z łóżka — skrzypnięcie drzwi wejściowych i trzask zamka.

A przecież nie spał...

Podbiegł do okna, szarpnął roletę i otworzył zasuwki. Jeszcze nie za późno: Grey stał na skraju chodnika przed ich sklepem i zapałał fajkę. Karol chciał zawołać, ale przeszkodziły mu bandaż na ustach. Wsunął palce pomiędzy gazę i usiłował ją podważyć. Tymczasem Grey odwrócił się i przeszedł na drugą stronę.

— Panie poruczniku, panie poruczniku...

Nic nie było słychać. Wysoka, charakterystyczna sylwetka pilota zniknęła w tłumie.

Gałęcki wracał roztrzęsioną bryczką od orki pod lasem. Jakoś tej wiosny pracował z mniejszym zapalem: mało urodzajna gleba nie odplacała mu wdzięcznością urodzaju za ciężką pracę. Prowizorium utrzymania folwarku, przy braku środków na inwestycje, zaczynało ciążyć beznadziejną łataniną i „przelewaniem z pustego w próżne”, jak mówił.

Porucznik nie miał widocznie ochoty podnieść majątku na nogi, a może nie miał pieniędzy?

Co prawda, to i nie było warto: lepiej sprzedać tu i kupić coś innego na Kujawach, albo wziąć dzierżawę, albo — założyć fabrykę.

Fabryka była jednym z marzeń werkmistrza. Wtedy razem z Greyem pokazaliby, co umieją!

Gałęcki dawno przekonał się, że ziemia nie interesuje porucznika. Gdyby go interesowała, przyjechałby tu, aby z wrodzoną sobie energią zrobić z niczego coś. Przecież gdyby Grey zechciał... Na piasku wyrosłaby pszenica, buraki cukrowe i kukurydza! Grey potrafiłby zmusić tę ziemię do rodzenia ananasów, jeśli tylko zechciał. Potrafiłby pracować dwadzieścia godzin na dobę, wziąć w garść wszystko od razu i dopiąć celu tam, gdzie inni nawet bardziej od niego kompetentni opuściliby dawno ręce.

Ale Grey nie przyjeżdżał, a Gałęcki sam nie mógł zdobyć się na tak wielki wysiłek.

Gdyby przynajmniej porucznik zażądał czegoś takiego! Ambicja stanowiłaby wtedy o wynikach.

Porucznik żądał utrzymania *status quo ante*... „Sprzedamy, jak jest. Później zobaczymy” — tymi słowami pożegnał swego administratora w Warszawie.

Mimo wszystko folwark z wolna podnosił się. Gałęcki znalazł w starej szopie połamany

walec i mały pług parowy, zardzewiałe narzędzia i wozy; sam zajął się ich remontem: podorabiał części, oczyścił, ponaprawiał, wyregulował.

Dwór odnawiał powoli, ale systematycznie, powiększał ilość uprawnej ziemi, drenował gospodarczym sposobem łąki, rozmnażał inwentarz.

Ostatnie lato nie wynagrodziło tych trudów: powódź zalała łąki na wiosnę, grad i susza zniszczyły zasiewy. I Gałęcki w głębi duszy zaczął wzdychać zarówno do przyjazdu Greya, jak do sprzedaży majątku.

Jadąc noga za nogą do domu, myślał o owej fabryce, którą sobie wymarzył.

Toć i tu mogłaby stanąć: budynki gospodarcze łatwo zamienić na hale i warsztaty; stacja kolejowa blisko; rzeka, szosa, wszystko na miejscu...

Zaczęliby od motocykli: w pierwszym roku — montaż ram polskiej konstrukcji; silniki, naturalnie, trzeba by częściowo sprowadzać. Potem spróbowaliby wykonać cały silnik u siebie. Potem już wszystko. A po trzech, czterech latach — samochody, i wreszcie — ciche marzenie werkmistrza — samoloty! Całe polskie samoloty z silnikami, a jakże! Przy fabryce — lotnisko; teren idealny: równo jak na stole.

— Naprawdę dobre miejsce — mruknął zapalając papierosa i rozglądając się dokoła.

Tymczasem słońce oparło się już na krawędzi horyzontu różowiąc piaszczyste bruzdy podorywki i przeglądając się w małych jeziorkach roztopów na łąkach. Wgłębienia pachnącej wilgocią ziemi zalewał fioletowy cień, tu i ówdzie przykryty białą, niską mgiełką. Niebo jaśniało wyblakłą czystością wczesnej wiosny, rumieniąc się lekko na zachodzie, zanim ostatnie pożegnanie słońca zapali purpurowe smugi i ognie na jego skraju, by potem oddać panowanie nad światem granatowej nocy. Lekki wietrzyk niósł od dworu zapach dymu i nawiewał z pól ostrą woń świeżo rozrzuconego nawozu. Senną ciszę mąciły naszczekiwania psów, ryk bydła w oborach i skrzyp kół bryczki zataczającej się na wyboistej drodze.

Gałęcki skręcił na szosę i cmoknął na konia. Wczesny chłód zakradł mu się lekkim dreszczem na plecy.

Myślał właśnie o ciepłym pokoju i bigosie zamówionym u gospodyni, pani Małgorzaty Borowiczowej, która opiekowała się nim i dogadzała mu od dnia jego przyjazdu do Siedlisk, kiedy zobaczył nadjeżdżającą z przeciwnej strony kałamaszkę i ze zdziwieniem spostrzegł, że skręca ona drogą do dworu. W zapadającym zmroku nie mógł dojrzeć, kto jedzie, więc popędził konia i skręcił w ślad za przybywającym, aby go dogonić.

Podatki — myślał zgadując cel wizyty — albo kupiec na drewno.

Kiedy wreszcie zrównał się z bryczką i miał ją wyprzedzić, woźnica wstrzymał kościste szkapę, a podróżny siedzący za nim zeskoczył na ziemię.

— Gałęcki?

Werkmistrza aż zatknęło.

— Ja, panie poruczniku... Melduję posłusznie: ja, sierżant Gałęcki... To pan porucznik. Naprawdę!

— Tak — roześmiał się Grey. — Dobry wieczór. Niech pan siedzi: pojedziemy razem.

Już był obok niego i mocno ścisnął spracowane dłonie sierżanta.

— A to mi pan porucznik zrobił niespodziankę! No, dopiero się gospodyni za głowę złapie. Czym ja pana porucznika przyjmę, jak Boga Kocham! Żeby wiedział... — zafrasował się.

— Głupstwo, Gałęcki. Opowiadaj pan lepiej, co słyhać. Ale, ale, każ pan jechać temu patałachowi za nami: tam są moje rzeczy.

„Patałach” jechał bez wahania za nowym właścicielem Siedlisk, więc zajęli się znów sobą i obustronną radością ze spotkania po długim niewidzeniu.

Bezładna rozmowa ludzi, którzy mają sobie zbyt wiele do powiedzenia naraz, nie trwała jednak długo, bo po chwili wjechali na podwórze.

Grey wywołał niebываły popłoch w kuchni (gdzie pani Małgorzata załamała ręce na wieść o jego przybyciu, stwierdziła, że nic nie ma do jedzenia, po czym zaczęła owo „nic” pitrasić aż w trzech rondlach) i poszedł za Gałęckim oglądać „rezydencję”. Po drodze zawadzili jednak o dobrze zaopatrzoną „apteczkę” werkmistrza i wypili coś niecoś dla rozgrzewki „pod dawne wspomnienia i nie znaną przyszłość”. To im zajęło tyle czasu, że zbrakło go już na pobieżne nawet oględziny domu, zwłaszcza że po chwili do pokoju wjechał pachnący bigos wraz z panią Małgorzatą, a później z oparów kuchni wyłoniła się jeszcze gorąca szynka, jajecznica i pierogi. W rezultacie Gałęcki urznął się z radości, ku zgorszeniu gospodyni, Grey zaś, pozostawiwszy go na łóżku w stanie błogości, sam też pomyślał o spaniu, odkładając wszystko do następnego dnia.

O szóstej Gałęcki obudził go. Był jakiś nieswój i zakłopotany.

— Co pan taki jakiś? — spytał Grey myjąc się.

— Mam „moralnego”, bo to, widzi pan porucznik, załamałem się jak dziecko; pan się nie wyspał, ale Borowiczowa mówiła, że pan kazał się obudzić, i w ogóle...

Grey wątpił, czy dzieci „zalewają się” tak, jak Gałęcki i nie bardzo mógł zrozumieć, co „w ogóle”, ale uspokoił sumienie mechanika krótką uwagą: „Głupiś pan”, która wywołała uśmiech na jego twarzy, rozwiewając „moralnego” zupełnie.

— Ma pan jakie siodła i konie możliwe pod wierzch? — spytał porucznik przy śniadaniu.

Gałęcki nie wiedział, że Grey jeździ konno, bo i skądże miał wiedzieć, ale lak przyzwyczał się do tego, że jego dowódca umie wszystko, iż pytanie bynajmniej go nie zaskoczyło.

— Konie są przygotowane — powiedział. — Pojedziemy?

Grey skinął głową. Wyszli przed dom. Chłopak stajenny podprowadził dwie doskonale utrzymane wierzchówki.

— To nasze? — zdziwił się porucznik; Gałęcki poczerwieniał z zadowolenia:

— Ładne, co? Kupiłem w Wilnie zaharowane w taborach; odkarmiłem, wychuchałem; nie poznaliby teraz.

Rajz jeszcze werkmistrz miał okazję stwierdzić, że jego opinia o Greyu jest słuszna: Grey czuł się na koniu wcale nie gorzej niż w powietrzu.

— Gdzie pan porucznik nauczył się tak trzymać w siodle? — spytał, kiedy Grey bez wahania wziął” płot i szeroki rów za nim.

— Byłem w cyrku — brzmiała opryskliwa odpowiedź. Gałęcki ugryzł się w język; wiedział, że porucznik nie

znosi pochwał podwładnych, chyba że sam zapyta ich o zdanie.

Oglądali roboty w polu. Gałęcki objaśniał. Rzeczowo, krótko, jak przy raporcie: to była służba, nie przyjacielska pogawędka.

Po dwóch godzinach wrócili i poszli obejrzeć budynki i inwentarz. Potem dwór i sad.

Grey zamyślił się.

Stali za domem na małym wzgórzu o łagodnych stokach (jedynym w promieniu kilku kilometrów) i patrzyli na płaszczyznę pól.

— Sprzedać? — rzucił krótkie pytanie Grey; Gałęcki nie zaraz odpowiedział. Przeleciały mu znów przez głowę projekty fabryki, lotniska...:

— W każdym razie, tak, jak jest, nie opłaci się. Trzeba by włożyć bardzo dużo, a obiekt mały. Nie ma gdzie nabrać rozpędu: to nie jest warsztat dla pana porucznika. Ot, tak ze trzysta włók, to co innego. A tu... Najlepiej nadaje się to na — co ja wiem? — może na lotnisko, bo

równy. Liga Obrony Powietrznej kupiłaby zaraz: potrzebują w tych stronach terenów. A i na szkołę pilotów dobre miejsce. A już najlepiej fabrykę założyć.

Ostatniego zdania Grey nie dosłyszał, uderzony nagłą myślą.

— Lotnisko, powiada pan? Szkołę? *Ależ* to jest doskonały projekt, Gałęcki! Skąd to panu przyszło do głowy?

— Tak myślałem...

— Świetnie pan myślał!

Grey od razu wpadł w zapał i, ujawszy zdumionego tym wybuchem werkmistrza pod rękę, pociągnął go w stronę podwórza, głośno snując dalej projekty.

— Widzi pan, myślałem zrobić z Siedlisk perełkę rolniczą, ale sam widzę, że to się nie opłaci. Nie z powodu wielkich wkładów pieniężnych, nie. Tylko dlatego, że za rok czy dwa nie będzie już nic do roboty i zaczniemy się nudzić, opływając w dostatki; Trzeba było wymyślić coś prawie niemożliwego, coś bardzo trudnego, co jednak umiemy najlepiej i co zajęłoby nam dużo czasu i energii na stałe. Powiedz pan komukolwiek, że mając trochę pieniędzy i osiem włók kiepskiej ziemi otwierasz w lecie (bo jeszcze w tym roku to zrobię) szkołę pilotów. Wzorową szkołę „młodych orłów”; nie ochronkę lotniczą dla patałachów, w której uczą tylko ruszać knypem¹, ale prawdziwą szkołę sportów, ze specjalnym uwzględnieniem lotnictwa. Szkołę, z której wyjdą same asy! Powiedz pan to komukolwiek, a usłyszysz, żeś durny. Ale pan nie jesteś wcale durny, Gałęcki: zrobimy taką szkołę! Zrobimy ją sami i jestem gips, jeśli w lipcu nie zaczniemy kursu z dwunastu uczniami. A wie pan, kogo będziemy uczyć?

Gałęcki nie wiedział.

— Myśli pan zapewne, że wezmę materiał podobny do tego, który przychodzi do naszych szkół wojskowych?

Gałęcki zrobił ruch bardzo nieokreślonego przypuszczenia, czy powątpiewania, ale Grey wpadł na niego tak, jakby to powątpiewające przypuszczenie było całkowitym i zdecydowanym potwierdzeniem.

— I pan mi tak radzi, pan? Myśli pan pewnie, że z patałachów zrobię tych asów, o których mówiłem? Myśli pan, że robię cuda? Nie, panie Gałęcki! Weźmiemy do naszej szkoły chłopców szesnasto—, siedemnastoletnich z gimnazjów i szkół rzemieślniczych. Weźmiemy zapalonych piłkarzy, kolarzy, pływaków, sportowców, których nie zmarnowały jeszcze alkohol, karty i życie. Sam wyszukam takich. A teraz — zaczynamy!

— Jak to, zaczynamy? Już? — uśmiechnął się mechanik niedowierzająco, choć zapał Greya udzielił mu. się również.

— Naturalnie, że już. Mamy bardzo mało czasu: przecież szkoły kończą się dwudziestego piątego czerwca, a dziś mamy jedenasty marca; trzy i pół miesiąca.

2

Jerzy Grey nie miał zwyczaju rzucać słów na wiatr. Gałęcki wiedział o tym dobrze: za słowem następował czyn, a często je wyprzedzał.

Będzie tu ładny bigos — pomyślał przeglądając raz jeszcze walec parowy, który Grey kazał przygotować na dzień następny.

¹ Knypel — drążek sterowy.

Na co ten walec, Gałęcki nie wiedział. Nie będą przecież walcować dróg, których dotychczas nie ma?

Jeszcze tego samego dnia przed północą Grey wykończył ogólne plany robót na trzy miesiące naprzód i wytyczył roboty ziemne na cały tydzień, po czym, wydawszy ustne zarządzenia, wsiadł do bryczki i pojechał na stację.

— Jadę do Warszawy — powiedział do Gałęckiego, który odwoził go do pociągu. — Muszę w trzy dni wydębic pozwolenie władz na tę całą historię. Przez ten czas zbuduje pan nad rzeką betoniarnię. Narzędzia kupi pan w miasteczku. Bęben do mieszarki zrobi pan z grubej żelaznej blachy. Rysunek jest u mnie w pokoju na biurku. Weźmie pan pas od lokomobili i połączy pan z tym walcem, który pan dziś przygotował: to będzie siła napędowa. Niech pan każe ciąć las, bo i tak niewiele wart: będzie na opał. Jutro betoniarnia powinna być gotowa. Pojutrze zacznie pan robić pustaki i płyty. Cement wożą?

— Wożą, panie poruczniku. I żwir kopią od południa.

— Dobrze. Postawi pan trzydziestu ludzi do kopania rowów i fundamentów według planów, które panu zostawiłem. Kiedy zbudujemy elektrownię, będzie można pracować także w nocy. Teraz niech pan pracuje od świtu do zmierzchu. Płacimy dobrze; złych robotników odprawi pan pierwszego dnia; musimy mieć ludzi najlepszych. Sprzeda pan wszystkie zbyteczne narzędzia i maszyny, z wyjątkiem tych, które spisałem jako nowy inwentarz. Za te pieniądze kupi pan łopaty i to, co będzie najkonieczniejsze. Jeżeli czasu starczy, wytnie pan jeszcze i splantuje część sadu pod place tenisowe. No, to chyba wszystko. O pieniądze niech pana głowa nie boli. Wiem, że mi ich nie starczy; postaram się o więcej — doda? z tajemniczym uśmiechem.

Zajechali na stację jednocześnie z pociągiem. Grey kupił bilet i stanął w oknie wagonu. Pociąg ruszył.

— Niech pan dopilnuje, żeby przy kopaniu żwiru trzymano się planu: zrobimy tam basen pływacki. I niech pan zamówi drewno budulcowe! — wołał jeszcze.

Gałęcki kiwał głową na znak, że pamięta.

Parowóz pluł parą; koła buksowały, ciągnąc z wysiłkiem długi szereg wagonów. Światła sygnałowe semaforów zatoczyły dziewięćdziesięciostopniowy łuk i stanęły nieruchomo. Czerwona plama latarni na zderzaku ostatniego wagonu kołysała się miarowo, potem drgała leciutko, coraz mniejsza; potem znikła; błysnęła raz jeszcze gdzieś bardzo daleko i rozplynęła się w mroku.

Gałęcki został sam na peronie z szyją wyciągniętą w stronę, w którą odszedł pociąg, ze wzrokiem wbitym w ciemność. Stał tak, dopóki nie obudził go ż odrętwienia dzwon elektryczny, bijący tajemnicze sygnały gdzieś obok. Wtedy przypomniał sobie, że nie wolno teraz tracić ani minuty, bo tak chce Grey. To wystarczyło.

Poszedł do bryczki skręcając po drodze papierosa, zapalił i cmoknął na konie. W głowie miał zamęt, w sercu radość, że robią „coś niemożliwego” z porucznikiem, co zadziwi całą Polskę, jeśli się uda.

Musi się udać! — pomyślał z dumną pewnością siebie.

Potem myśli jego wróciły do Greya:

Co za człowiek! W trzy minuty zamyślił, zdecydował i zaczął działać. Przeleciał jak meteor przez spokojne Siedliska, zdążył w dwadzieścia cztery godziny oczarować leciwą panią Małgorzatę, obejrzeć i ocenić majątek, zaprojektować i puścić w ruch wielką maszynę szkoły pilotów, na własną rękę, obliczywszy koszty, rozplanowawszy roboty, porobiwszy rysunki budynków, placów, lotniska, hangarów, bieżni, basenu, warsztatów; Potrafił nie wstając od biurka zorganizować pracę i rzeczywiście ją zacząć, bez gadania, narad i wahań.

„Wczoraj w Siedliskach trzech parobków orało ziemię; dziś dwudziestu paru kopało

basen pływacki, otrzymując przy tym surowiec na pustaki; furmanki woziły od rana do wieczora cement, deski i inne materiały z miasteczka, a miejscowy geometra wyznaczał narysowane przez Greya granice; jutro będzie tu pracowało czterdziestu ludzi, a za trzy dni siedliska wyglądać będą jak amerykańska fabryka w stadium budowy.—

Co tam amerykańska — myśli Gałęcki z lekceważeniem. — Niech który z Nowego Jorku pokaże taką sztukę jak Grey! Patałachy przy nim „milionery”, psiekrwie.

Tu zasępił się trochę na wspomnienie owych „milionerów”, rozporządzających bez liku dolarami: od początku zdawało mu się, że Greyowi nie starczy pieniędzy...

Na robotników starczy; na materiał też; może na. elektrownię. Ale gdzie warsztaty? A samoloty? Toż jeden Spad kosztuje pięćdziesiąt tysięcy.

Aż mu się zimno zrobiło na myśl, że cały projekt weźmie w łeb z braku pieniędzy. Po chwili jednak pocieszył się: to, co on wiedział, wiedział również Grey. Przedsięwzięcie było ryzykowne, ale czyż mało ryzykownych rzeczy Grey robił i udawały się?

Kiedyś, Gałęcki pamiętał dobrze — było to w sierpniu dobrych kilka lat temu — Grey dowiedział się, że ktoś gdzieś zrobił wewnętrzny looping².

— Ja też zrobię — powiedział wtedy z takim samym zacięciem ust i takim samym błyskiem w oczach, jak wczoraj, kiedy mówił, że „zrobi szkołę asów”.

Przy pierwszej próbie — werkmistrz nie widział jej — pękły pasy przytrzymujące pilota. Gałęcki założył wtedy nowe, z bawolej skóry, myśląc z mimowolnym strachem, jak diabelna siła musiała zerwać tamte.

Grey wziął maszynę i poleciał. Działo się to w sobotę po południu. Na lotnisku nie było nikogo prócz mechaników, wobec czego Grey robił swoje szaleństwa nad hangarami, nie wyżej czterystu metrów. Wtedy Gałęcki, mimo całej wiary w pilota, pomyślał, że to koniec. Maszyna pchnięta na pełnym gazie w dół przeszła w ostrą pikę, a potem na dwustu metrach podwinęła się z wariackim rykiem silnika i spazmatycznym wyciem taśm stalowych pod siebie, na plecy. W tej samej chwili silnik zakrzusił się, zakaszłał, charknął i ścichł. Słysząc było tylko coraz niższy gwizd taśm tnących powietrze. Maszyna szła dalej na plecach, przepadając niżej i niżej, bez szybkości. Pilot nie mógł jej odwrócić z powrotem, bo stery widocznie przestały działać, pozbawione oporu powietrza. Pozostawało pozwolić jej wejść w korkociąg; ale do ziemi było sto pięćdziesiąt, może sto osiemdziesiąt metrów...:

Mimo to Grey zrobił korkociąg. Właściwie tylko pół zwoju; tyle, aby nabrać prędkości.

Samolot wyszedł metr nad ziemią, w ostrym poślizgu, a on nie trudził się nawet, żeby wyrównać: siadł trawersem na jedno koło, z fantazją.

— Taśmy podtrzymujące skrzydła przy zwisie, trzeba dać grubsze — powiedział blademu z wrażenia Gałęckiemu, kiedy ten podbiegł pierwszy do maszyny. — I trzeba urządzić dopływ benzyny od góry zbiornika, a także zrobić inny basen do gaźnika, bo tak jak jest, silnik się zatrzymuje. Niech pan przygotuje na jutro, dobrze?

Gałęcki przygotował. Dał także inne okucia na taśmy pracujące przy zwisie, ponieważ dawne były nadwerżone.

W niedzielę Grey przyjechał na lotnisko ze spadochronem. Wywołało to większe wrażenie, niż gdyby przywiózł ze sobą gotową trumnę. „Nie ze spadochronami żyć, tylko z dobrymi ludźmi” — było dotychczas jego filozoficznym przysłowiem. Wewnętrzny looping był widocznie próbą, której nie wytrzymała ta „filozofia”.

Poleciał.

² Looping (pętla) — figura akrobacji lotniczej polegająca na zatoczeniu przez samolot koła w płaszczyźnie pionowej. Przy zwykłej pętli (rozpoczynanej łukiem w górę) pilot znajduje się wewnątrz zataczanego koła, głową ku jego środkowi, przy czym siła odśrodkowa przyciska go do siedzenia. Przy pętli odwróconej (rozpoczynanej łukiem w dół) siła odśrodkowa dąży do wyrzucenia pilota z samolotu (wewnętrzny looping).

Grey poleciał „pracować” na tysiącu metrów! — było drugą rewelacją.

Zwykle robił najtrudniejsze rzeczy na stu pięćdziesięciu; dziś — musiał mieć czas na ewentualny skok.

Te tysiąc metrów wziął jednym pociągnięciem steru. Mechanicy byli skupieni, bladzi i zdenerwowani.

To dobrze — pomyślał Gałęcki. — Denerwują się za niego; on musi być spokojny.

Grey był spokojny. Nie zrobił ani jednego niepotrzebnego ruchu. Maszyna przewinęła się w nieprawdopodobnym wewnętrznym rzucie jak prowadzona na sznurku. Straciła dwieście metrów i wyprysnęła ze spazmatycznym warkotem silnika ostatkiem mocy w górę.

Potem triumfalnie rozśpiewała się gwizdem taśm w ostrym łuku zduszonego w dół wirażu, zawyła pełnią dźwięku schodząc na trzysta metrów i ścichła, wolno sunąc nad lotniskiem.

Wtem oddzielił się od niej jakiś przedmiot i zaczął spadać. Chlasnął na ziemię tuż u nóg rozpromienionych mechaników.

Spojrzeli.

To był zwinięty w pokrowcu spadochron, już niepotrzebny.

Grey zaszedł z wiatrem, ciągle na trzystu metrach, i dał pełen gaz. Jeszcze nie wierzyli...

Nagle — runął z maszyną w dół.

Widzieli, jak leci twarzą ku ziemi, jak w ułamku sekundy przerzuca samolot pod siebie. Wiedzieli, że siła odśrodkowa wypycha go z kabiny na kilka cali luzu w pasach. A potem widzieli, jak toczy się walka między siłą ciężkości a silnikiem, między prawem natury a wolą pilota. I widzieli, jak pilot zwycięża.

Wymyka się oto płynnym cudem wirażu i, już lekceważąc niedawną grozę zwalenia się na skrzydło, rzuca maszynę w trawers, to lewy, to prawy, ślizga się ku ziemi, drażni się z nią, kpi, śmieje się błękitnemu niebu mocno związanym supłem beczki³, łamie potężną krzywizną pędu w prześliczny wywrót, aż wreszcie, wbiwszy między obłoki spiralny gwóźdź korkociągu⁴, siada o metr od ściany hangaru z wyłączonym silnikiem.

Taki jest Grey. Ryzykuje i zwycięża.

Więc i teraz trzeba zaryzykować i zwyciężyć.

Kiedy Gałęcki wjechał między zabudowania folwarczne, było już po północy. Obudził chłopca stajennego i oddawszy mu konie, poszedł do siebie.

Po drodze zatrzymała go pani Borowiczowa.

— Co się tu dzieje, panie Gałęcki, bo nie mogę zrozumieć? Żyto zaorują, niszczą zasiewy, mierzą, kopią. Pan Grey fabryka stawia, czy co?

— Tymczasem szkołę pilotów. Fabrykę może też, później.

— Znaczą, będą uczyć na eroplanach?

— Tak. Całe Siedliska pójdą pod lotnisko.

— W imię Ojca i Syna... Matko Najświętsza... — przeżegnała się gospodyni.

— Zobaczysz pani, co tu będzie za trzy miesiące — rzucił z dumą.

— A cóż będzie?

— . Zacznie się kurs. Przyjadą uczniowie. Będzie pani miała dopiero urwanie głowy!

³ * Beczka — figura akrobacji lotniczej polegająca na obróceniu samolotu wzdłuż jego osi podłużnej o 360 stopni. P ó ł b e c z — k a — połowa takiego obrotu, co w wyniku daje odwrócenie samolotu z położenia normalnego do położenia na plecach (do góry poiwoziem) lub odwrotnie.

⁴ Korkociąg — figura akrobacji lotniczej polegająca na szybkim obrotowym ruchu samolotu ze znacznym pochyleniem w dół po pionowej linii śrubowej o dużym skoku.

— Niech będzie, panie Gałęcki, robota nie boję ja się, tylko z czego będziemy gospodarować?

— Część sadu dostanie pani do dyspozycji; paszy dla świń i dla krów się kupi; w ogóle będzie duże gospodarstwo. Dostanie pani także ludzi do pomocy.

— Czego tyle czasu nic pan nie mówił?

— Porucznik wczoraj dopiero to wszystko wymyślił.

— Wczoraj? Jezusie Nazareński! Dobry on człowiek, ale szalony: kto słyszał z folwarku eroplany robić, mój panie?

— To go pani nie zna: on, jak zechce, to z pogrzebacza tuzin chustek do nosa zrobi! Dobranoc pani; jutro, a raczej dziś od świtu biorę się do roboty. Na śniadanie wpadnę może o dziewiątej.

Po tej rozmowie Borowiczowa zaczęła uważać Greya trochę za czarownika i na wszelki wypadek postanowiła pójść do spowiedzi. Niemniej jednak porucznik przypadł jej do serca.

Gałęcki od świtu był na nogach. Musiał zastąpić inżyniera, kilku techników i majstrów, którzy w normalnych warunkach kierowaliby pracą. Prócz tego musiał sam, jedynie przy pomocy miejscowego kowala, zbudować mieszarkę do betonu, rozesłać furmanki, wyznaczyć ludzi do kopania, drwali i oraczów, pokierować budową szopy mającej pomieścić betoniarnię, zorganizować składy drzewa i wykonać dziesięć innych czynności.

Do dziewiątej werkmistrz kręcił się jak mucha w ukropie. Zakontraktował trzydziestu robotników przybyłych z miasteczka, sprowadził cieślę i rozdał robotę. Polem przełknął śniadanie i zabrał się do budowy mieszarki. Tymczasem nad rzeką robotnicy pośpiesznie zbijali szopę z desek nadchodzących furmankami wprost z tartaku.

O dziesiątej trzeba było wynaleźć nowe furmanki do przewozu drewna opałowego z lasu, bo o dwunastej betoniarnia miała ruszyć. Gałęcki przerwał wobec tego orkę pod zasiew trawy i koniczyny. Nagle przypomniał sobie, że trzeba zrobić formy na pustaki i — nie mając komu polecić wykonania tej pracy — rzucił wszystko, aby samemu wziąć się do stolarki.

Prawie jednocześnie przyjechał kupiec po narzędzia i maszyny rolnicze, a zaraz potem Gałęcki musiał udzielić wyjaśnień w sprawie rowów kanalizacyjnych, skąd odwołano go znów do obejrzenia wiązań dachowych źle przyciętych w tartaku, które trzeba było zmienić. Przy tym wszystko zbyt wolno posuwało się naprzód. Tak przynajmniej zdawało się Gałęckiemu. Na dobitkę w południe zaczął padać śnieg z deszczem.

O dwunastej robotnicy zabrali się do obiadu. Gałęcki korzystając z tego posłał chłopca do pani Małgorzaty po posiłek.

O pierwszej zorganizował najsilniejszych mężczyzn i zaczął ustawiać walec parowy na podmurowaniu, które poprzedniego dnia przygotował i osuszył. O wpół do czwartej wraz z czterema robotnikami przystąpił do fabrykacji pustaków. Wieczorem setka betonowych bloków suszyła się pod prowizorycznym dachem z brezentu; zapas drewna mógł wystarczyć na cztery do pięciu dni; wykopano kilka metrów żwiru i piasku; zwieziono trzecią część potrzebnego budulca; zaorano dwadzieścia pięć morgów ziemi.

Gałęcki odprawił kilku robotników wypłaciwszy im dniówkę, zamówił nową partię desek i belek, wynotował rezultat pracy i zmęczony, z chaosem w głowie, poszedł wreszcie spać.

Grey tymczasem prowadził kampanię w Warszawie.

W urzędach ministerialnych próbowano go zbyć byle czym. Ale z Greyem sprawa nie była łatwa. Stosunkami, protekcją, prośbą i groźbą wymógł audiencję tam, gdzie chciał. Potrafił przekonać najbardziej obojętnych, zwłaszcza że nie żądał niczego, prócz pozwolenia na pracę we własnym zawodzie i przy użyciu prywatnych funduszy.

Gorzej było z pieniędzmi: nie mógł natychmiast uzyskać pożyczki na Siedliska, pomimo poparcia sfer rządowych. (Co prawda, suma, której potrzebował, była bardzo duża w stosunku

do wartości majątku.) Obiecywano mu tę pożyczkę za dwa miesiące. Musiał się z tym pogodzić.

Podjął tymczasem z banku połowę swego kapitału i wzięwszy nową książeczkę czekową kupił ciężarowy samochód.

Potem udał się na poszukiwanie agregatu i dynam maszyny do urządzenia elektrowni. Szukał cały dzień i wreszcie załatwiwszy tę sprawę, pomyślał o drobniejszych, jak zamówienia na ropę i benzynę, smary, instalacje, rury kanalizacyjne i wodociągowe, narzędzia, obrabiarki itp.

Potem zaangażował na cztery tygodnie kilku specjalistów: montera, instalatora i technika, płacąc niebywałe pobory za osiemnastogodzinny dzień pracy. Pomyślał także o mechanikach płatowcowych, których obiecano mu przysłać ze szkoły LOPP w Bydgoszczy za trzy miesiące. Pozostawały jeszcze samoloty...

Grey postanowił szkolić na trzech typach. Miały to być: Morane z osiemdziesięciokonnym silnikiem Rhône, przejściowa maszyna Fokker ze stuosiemdziesięciokonnym Mercedesem i myśliwski PZL z pięćsetkonnym Jupiterem.

Gdyby chciał je wszystkie zakupić naraz, musiałby wydać półtora miliona. Jednak i to, czego potrzebował na pierwszy sezon, wynosiło niemożliwą do pokrycia sumę: trzysta czterdzieści tysięcy złotych.

Grey ani myślał wydawać tyle pieniędzy na maszyny. Za dobrze znali go w lotnictwie i w Ministerstwie Spraw Wojskowych, aby musiał rujnować się na zakup samolotów wyłącznie z własnej kieszeni.

— Nie pracuję dla zysków osobistych, a przy tym położyłem dość wielkie zasługi, aby teraz prosić o pomoc — powiedział sekretarzowi ministra. — Dajcie połowę.

Jeszcze tego samego dnia otrzymał to, czego żądał: zobowiązano się pokryć połowę należności za jego zamówienia na samoloty.

— Dla nikogo innego nie moglibyśmy tego uczynić — powiedziano mu na odchodnym.

Greyowi wcale nie zależało na tym, aby było inaczej:

— Nikt prócz mnie nie wpakowałby całego majątku w takie przedsięwzięcie — odpowiedział spokojnie.

Wracał do Siedlisk swoim małym Fiatem, wioząc trzech specjalistów trochę oszołomionych zarówno prędkością jazdy, jak tym, co się z nimi działo.

Najistotniejszą cechą Greya w tym okresie była szybkość działania i ekonomia czasu; rozmawiał z każdym z tych ludzi nie dłużej niż pięć minut; mówił wyraźnie, czego chce, od razu podał cenę, za którą mógł nabyć ich czas i pracę. Kilku kandydatów, którzy się wahali dłużej niż dziesięć sekund odprawił z kwitkiem. Tych trzech wioził z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, prowadząc samochód i rozmawiając z każdym o szczegółach prac, które mieli wykonać.

Każdy z nich po kolei siadał obok Greya i w skupieniu odpowiadał na jego pytania lub słuchał zleceń i objaśnień.

Od razu poznali, z jakim człowiekiem mają do czynienia. Grey znał się na wszystkim i nie można było go zadowolić mało rzeczową odpowiedzią. Był wymagający, ale umiał ocenić pracę i nie żądał niemożliwości. Zaraz też nabrali chęci do przedsięwzięcia, którym kierował.

Grey chciał w miesiąc zrobić to, co zwykle robi się w pół roku? Dlaczego nie! Osiemnaście godzin dobrze płatnej pracy na dobę? Podołają jej.

Porozumieli się łatwo.

Przed zachodem słońca dopadli stacji kolejowej pod siedliskami. Tu już czekał na nich transport zakupionych w Warszawie maszyn wraz z konwojującym go kierowcą samochodu ciężarowego. Gałęcki uprzedzony depeszą przysłał czterech ludzi do wyładowywania. Zajęli

się tym niezwłocznie, a Grey pojechał dalej.

Już na szosie łączącej folwark z miasteczkiem i stacją kolejową zauważył pierwsze oznaki niezwykłego ruchu: furmanki z drewnem, cementem i węglem ciągnęły w stronę Siedlisk; wozy siana i kartofli posuwały się ku miastu.

Gałecki sprzedaje zapasy — pomyślał Grey. — Widocznie mają mniej rozjazdów, skoro wożą siano i kartofle. To dobrze.

Minął granicę folwarku i zwolnił. Wjechał w las. Po obu stronach drogi stały sągi drzewa; z głębi dochodził stuk siekier.

Rozparceluję i sprzedam tę włókę poręby — projektował w myślach.

Za lasem zaczynały się pola dymiące mgłą w wieczornym chłodzie. Przyglądał się im uważnie, pochylając na bok głowę. Były równe jak stół. Tylko gdzieniegdzie ciemniały niewielkie wklęsłości.

Od jutra trzeba zacząć niwelować — pomyślał.

Pojechał, nad rzekę. Z daleka. widać było mrowiących się pracownice ludzi. Wysiadł i szczegółowo oglądał roboty. . Rowy kanalizacyjne były już przekopane. Należało je tylko pogłębić i założyć rury. Nad samym brzegiem rzeki bieleły się ściany betoniarni ze świeżych desek i stały długie szeregi sągów drewna.

Grey zapytał o Gałeckiego.

— Pan dyrektor je we fabryce — powiedziano mu wskazując szopę.

Uśmiechnął się zarówno z awansu szopy na fabrykę, jak Gałeckiego na „dyrektora” i wszedł do środka.

Gałecki nie od razu spostrzegł jego obecność. Stał przy walcu parowym i — regulował obroty. Bęben mieszarki wyrzucał właśnie swoją zawartość do szufli, z której masa betonu zmieszanego ze żwirem, piaskiem i wodą zsuwała się do podstawionych form. Dwaj chłopcy ubijali ją w formach i spuszczali po pochylni do suszarni, gdzie, trzeci wyrzucał gotowe pustaki i obstawiał klepkami. Jeden z robotników sypał żwir i cement do bębna. Woda, doprowadzona parcianym węzłem z rzeki (gdzie pracowała pompa pomysłu Gałeckiego, połączona małą transmisją z walcem), sączyła się równym strumieniem do mieszarki.

To naprawdę fabryka — pomyślał Grey uradowany. W tej samej chwili werkmistrz zauważył go i oderwał się od kotła.

— Dzień dobry — Grey uścisnął jego rękę, nie zważając, że jest czarna od sadzy i smaru. — Co słychać?

Gałeckiemu śmiały się oczy: miał się czym pochwalić, ale udawał skromnego składając raport.

— Bardzo dobrze — powiedział Grey. — Chodź pan ze mną; chcę jeszcze zobaczyć coś niecoś, zanim będzie ciemno. Zróbcie fajrant.

Werkmistrz wydał dyspozycje. Wyszli przed szopę i skierowali się w stronę złóż żwiru, gdzie szerokim prostokątem, wytknięty był basen.

— Ile mamy pustaków? — spytał Grey.

— Prawie sześćset.

— Doskonale. To wystarczy na budowę elektrowni i słupów do hangaru. Jutro będzie pan robił rury do ścieków. Pojutrze zaczniemy betonować podłogi w budynkach przeznaczonych na hangar, warsztaty i składy oraz urządzimy plac tenisowy. To potrwa ze cztery dni. Aha, zapomniałem o niedzieli. No, więc pięć dni. Potem trzeba będzie zdjąć walec parowy z fundamentu i puścić na pola. Tymczasem postawimy na jego miejscu agregat i narobimy jeszcze pustaków, z których zbuduje się wieżę ciśnienia i filtr.

— A potem? Co potem będzie z betoniarnią?

— Już myślałem nad tym. Będziemy dostarczać pustaki do Wilna, zarabiając podwójnie na czysto, bo ..mamy pod dostatkiem doskonałego żwiru i piasku. Zaorał pan wszystko?

— Wszystko: puściłem pług motorowy i parę koni.

— Sad?

— Zrąbane tyle, ile pan porucznik kazał, Wykarczowałem dwieście metrów pod plac.

— Dobrze. Jak pan stoi z pieniędzmi? Gałęcki leżał na obie łopatki bez pieniędzy."

— Z tym zawsze najgorzej — skrzywił się Grey. — Ile średnio płacimy dziennie za robociznę?

— Trzysta złotych ludziom i dwieście za furmanki.

— Bagatela! No, furmanki od jutra będą zbyt cenne. Wystarczą nasze trzy i ciężarówka, która tu zaraz przyjedzie. Ludzi też będzie mniej, ale drożsi, dużo drożsi. Trzeba to wieczorem obliczyć dokładnie.

Po wyładowaniu i tymczasowym rozmieszczeniu maszyn i materiałów technicznych Grey wyznaczył każdemu z czterech swoich pomocników program zajęć ściśle obliczonych na każdy dzień, a potem odbył szczegółową konferencję z Gałęckim i gospodynią; wreszcie — rozmieścił nowo przybyłych we dworze.

Kiedy został sam, zabrał się jeszcze do planów i rysunków i kreślił niemal do świtu:

Od przyjazdu Greya praca w Siedliskach nabrała jeszcze śpieszniejszego tempa.

Po zniwelowanym, obsianym koniczyną i trawą lotnisku pełzał od świtu do zmierzchu walec parowy ubijając lekką ziemię na twarde podłoże, odporne na tysiące startów i lądowań samolotów. Stodoły i spichrze przerobione na hangar, garaż i halę warsztatową otrzymały cementowe podłogi. Materiał do ich budowy przywożono wagonikami po prowizorycznie ułożonych szynach.

Gałęcki robił pustaki, rury betonowe, płyty i sączki. Po zamianie parowego silnika na ropny wydajność „fabryki" wzrosła i Grey zaczął organizować eksport swoich wyrobów do Wilna, co miało przynieść spory dochód, zwłaszcza że cement sprowadzano wagonami wprost z pierwszego źródła.

Rozpoczęta budowa elektrowni była na ukończeniu; wieża wodociągowa rosła niemal w oczach; drenaż, kanały, rury gęstą siecią przewierciły zabudowany teren; budowa placów tenisowych, bieżni i basenu z każdym dniem posuwała się naprzód.

Grey pertraktował o parcelację poręby i sprzedawał drewno na opał, wyciskając pieniądze skąd tylko mógł, w oczekiwaniu na obiecaną pożyczkę Banku Gospodarstwa Krajowego:

Minęły dwa miesiące:

W początkach maja lotnisko pokryło się bujną zielonością. Dobrze nawieziona i ubita ziemia oparła się wiosennym wichrom, odpłacając wreszcie hojnie trud człowieka. Z polami współzawodniczyły łąki, których w tym roku nie zalała woda wstrzymana tamą zbudowaną przez Greya jeszcze w marcu:

Technik, instalator i monter dawno opuścili Siedliska, żegnając ich właściciela z podziwem i szacunkiem: Nie byli już potrzebni: elektrownia od trzech tygodni była w ruchu, wodociągi i kanalizacja funkcjonowały sprawnie; Gałęcki kończył ustawiać obrabiarki i maszyny w hali warsztatów; murowano basen nad rzeką.

Tylko z pieniędzmi było coraz gorzej. Konto Greya wyczerpało się zupełnie: Od dłuższego czasu porucznik łątał dziury budżetu dochodami z pustaków i ratami z parcelacji poręby. Ale długi rosły i konieczność uregulowania rachunków za materiały, drewno, ropę, cement i tysiące innych rzeczy stawała się paląca.

Jedenastego maja, w dwa miesiące po rozpoczęciu budowy szkoły, wybuchł w nocy pożar w betoniarni.

Grey, który jeszcze pracował w swoim pokoju, pierwszy zauważył, co się dzieje, i obudził Gałęckiego. Od dworu nad rzekę, gdzie stała „fabryka”, było około pół kilometra”. Przebyli tę przestrzeń w parę minut wraz z kilku robotnikami i parobkami.

Palił się dach kryty papą smołowcową i ściany od strony rzeki; drzwi wejściowe dymiły objęte płomieniem od wewnątrz.

W chwili przybycia ludzi ogień przerzucił się na sąsiednią suszarnię i skład, gdzie było kilka tysięcy pustaków, rur i płyt oraz większa ilość cementu w workach.

Pożar rozszerzał się błyskawicznie, ogarniając suche drewniane budynki.

Tymczasem ze wsi zaczęli przybywać chłopci z pomocą. Ratunek był trudny z powodu braku przyrządów do gaszenia ognia. Wprawdzie wewnątrz znajdowały się gaśnice automatyczne, ale wejście objęły płomienie. Ochotnicza straż, po którą telefonował Grey, nie przybywała.

Porucznik zorganizował ochronę sąsiednich budynków zlewając dachy wodą noszoną w wiadrach. Nie na wiele się to zdało, bo wiatr dął w tamtą stronę rzucając snopami iskier; ale nic więcej nie można było na razie uczynić.

Dym ścielący się gęsto po ziemi, podrywany wiatrem sunął długim ogonem nad rzekę i nabrzeżne łąki, wciskał się między krzaki łązy i olszyny, falował, pełzał, wznosił się i opadał. Płomień z hukiem i traskiem trawił sosnowe deski, po których ciekły złote krople żywicy. Wskakiwał na dachy, przygasał na chwilę, aby zaraz wystrzelić racą iskier i żółtych jęzorów; sięgał nisko, tuż nad ziemią pod zręby ścian, rzucał się na stojące opodal sagi drzewa i cofał się sycząc boleśnie, kiedy gorąca jego pierś dotknęła rozlanej wody. Powracał mimo to, aby po chwilowej porażce zwyciężyć i zająć nową, wysuniętą placówkę, skąd wysyłał natychmiast podjazdy po coraz inne zdobycze, Skradał się z lekkim traskiem, lizał białe deski pokrywając je śladem sadzy, jakby próbował, czy uda mu się przenieść tam bezpiecznie, potem jednym susem przesadzał parę metrów, aby zatlić się zapalić, wybuchnąć, zahuczeć i zatańczyć w dzikiej radości zwycięstwa. Szalał, wył, kręcił się, strzępił i pożerał świeże lupy.

Rzeka patrzyła ze zgrozą na tę orgię, krwawiąc się blaskiem łuny, ciemna pod brzegami, wroga, lecz bezsilna.

Niebo zrudziało, gwiazdy zdawały się blednąć.

Gałęcki z rozpaczą patrzył na zagładę „fabryki”, w którą włożył tyle rzetelnej pracy.

— Żeby choć jakakolwiek pompa była pod ręką — powiedział zgnębiony.

— Pompa jest — przypomniał sobie Grey. — Puść pan w ruch transmisję do mieszarki; pompa zacznie wtedy pracować. Przetniemy węże i może da się ugasić.

Gałęcki nie słuchał do końca: już był w elektrowni. Włączył zacisk na tablicy rozdzielczej, podczas gdy Grey przecinał węże.

Koło rozpedowe drgnęło i ruszyło z miejsca z lepkiem cmokaniem smaru. Ale pompa nie działała, choć słyhać było wewnątrz płonącego budynku chrzest i zgrzyt obracającego się walca mieszarki. Widocznie pas transmisyjny łączący mieszarkę z pompą został zdjęty z wału.

Gałęcki zrozumiał to natychmiast, widząc, że wąż nie daje spodziewanego strumienia wody. Spojrzał na płonące wejście do szopy; zawahał się przez krótką chwilę: jak długo jeszcze nadpalone belki zdołają utrzymać dach?

Potem rozpedził się i całym ciężarem ciała runął na drzwi. Słaby zamek i zawiasy nie wytrzymały. Wermistrz znikł w płomieniach i kłębach dymu buchających przez wyłamany otwór.

Grey zaklął głośno, w obawie że mechanik może przypłacić życiem swoje poświęcenie i odwagę. Ale w tej samej chwili z parcianego węża trysnęła woda.

Chwilę potem dach zatrzeszczał i osiadł rozkraczając się na do połowy zwęglonych ścianach. Grey skierował strumień wody przez wywalone drzwi do wnętrza, podchodząc tak blisko, że mokre ubranie zaczęło na nim parować, a włosy, brwi i rzęsy poskręcały się i osmałyły.

Minęła długa chwila oczekiwania pełnego niepewności i trwogi. W tłumie, który tymczasem zgromadził się o kilka kroków za Greyem, szeptano coraz głośniejsze, dzieląc się przypuszczeniami co do losu, jaki spotkał werkmistrza w płonącym budynku. Grey zaczął tracić nadzieję. Już miał rzucić się sam w płomienie na ratunek, gdy Gałęcki czarny od sadzy i dymu, z pokrwawionymi rękami, podrapaną twarzą i w podartym ubraniu, które tliło się w kilku miejscach, zatoczył się prosto pod strumień wody. Grey podparł go ramieniem i odprowadził na bok. Był już wielki czas, bo dach zwałił się nagle z hukiem i trzaskiem, podnosząc gejzer iskier i dymu w rude od ognia niebo.

Zgliszcząca dymiła do rana i swąd spalenizny unosił się jeszcze nad Siedliskami, kiedy Grey z werkmistrzem obliczali szkody wyrządzone przez pożar. Były większe, niż z początku przypuszczali: mieszarka, transmisje, formy i całe urządzenie „fabryki” zostało zniszczone. Skład i suszarnia były wprawdzie częściowo tylko spalone, ale znajdujące się w nich pustaki popękały od gorąca, a cement zniszczyła woda.

Gałęcki łaził po zgliszczach ponury i zniechęcony.

— Na nic wszystko; tyle materiału, tyle surowca, tyle pracy — powiedział.

— Nie martw się pan; zbudujemy nową „fabrykę” — pocieszał go Grey. — Zbudujemy z betonu: nie spali się.

Werkmistrz smutnie pokiwał głową. Nie było przecież za co budować.

Grey odgadł jego myśl.

— Dostaniemy w tych dniach pożyczkę, a tymczasem dadzą nam jeszcze na kredyt. Głowa do góry, Gałęcki, nie damy się.

Od strony szosy szedł ku nim listonosz. Werkmistrz ożywił się: zawiadomienie o pożyczce powinno być już nadejść. Może je właśnie przyniesiono?

Poszli na spotkanie listonosza. Pierwsza z brzegu koperta nosiła nadruk Banku Gospodarstwa Krajowego. Grey spojrzął z triumfem na mechanika. Ale kiedy rozdarł kopertę i rozwinął ćwiartkę papieru, zbladł nagle i przygryzł wargi.

Bank zawiadamiał, że pożyczka nie została przyznana.

3

Przez cały ten dzień Grey siedział w swoim gabinecie i rozmyślał, paląc fajkę.

Po wypłaceniu robotnikom, nie miał już ani grosza. Pierwszego czerwca wypadał termin płacenia weksli za różne dostawy. Trzeba było prócz tego kupić samoloty i benzynę, a wreszcie — mieć jakiś stały dochód na prowadzenie szkoły, remont płatowców i silników. Dochód ten miała dać rozszerzona betoniarnia, hodowla bydła mlecznego i trzody chlewnej. Ale nie było na to pieniędzy.

Mógł się zwrócić o pomoc do LOPP i przypuszczał, że udzielono by mu jej dość chętnie, ale nie chciał uzależniać się od kogokolwiek.

Będą mi się wtrącać do szkolenia — myślał — przyślą swoich kandydatów; mogą zmienić mój program, wykoślawić to, co chcę stworzyć.

Bił się z myślami, szukając wyjścia i nie mogąc go znaleźć.

W południe przed dom zajechał elegancki samochód. Gałęcki zameldował, że „przyjechały jakieś, szwargocą po niemiecku i chcą mówić z panem porucznikiem”.

Grey skrzywił się niechętnie:

— No, dawaj ich pan tu — powiedział po chwili wahania.—

Przybysze weszli i przywitali go z wyższością trochę lekceważącą.

— Buerger i Liedtke, spółka akcyjna materiałów budowlanych i fabryka papy dachowej — przedstawił się grubszy, z wyraźnym akcentem niemieckim.

Grey wskazał im miejsca i podsunął papierosy

— Czym mogę panom służyć?

— Pan miał nieszczęście — zaczął Liedtke. — Zdarzył się pożar? .

— Tak. Czy panowie zajmują się także ubezpieczeniami od ognia?

— Nie, ja tylko tak..

— Może wobec tego przystąpimy od razu do sprawy, która panów sprowadza.. Jestem zajęty.

Wspólnicy spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Chcemy panu zrobić pewną propozycję — zaczął znów Liedtke.

— Doskonałą propozycję — przerwał Buerger — złoty interes!

— Wiadomo nam — ciągnął Liedtke dalej — że pan ma trudności, że pan trochę przerachował się ze swoim... ze swoim...

— Ze swoim przedsiębiorstwem — pomógł mu Buerger.

— No i...?

— Proponujemy, żeby pan nam sprzedał Siedliska — wtrącił prędko Buerger.

— Tak. Proponujemy sprzedaż folwarku. Chcemy tu postawić fabrykę.

— Nie mam zamiaru sprzedać Siedlisk — powiedział Grey spokojnie.

Buerger roześmiał się hałaśliwie.

— Jak pan usłyszycie cenę, to pan będzie miał zamiar: trzysta pięćdziesiąt tysięcy!

— Panowie niepotrzebnie się trudzą: nie sprzedam folwarku.

Wtedy rzucili się na niego obaj naraz pozbywszy się od razu poprzedniej wyższości i „elegancji”.

Jak to, nie chce sprzedać tych ośmiu włók piasku za taką wariacką cenę? Inwestycje? Bo to pewnie ma na myśli. Budynki nie nadają się do ich celów. Zresztą Siedliska to „jest żadne miejsce na fabrykę”. Mogą kupić taniej plac pod samym miastem. Ostatecznie — dadzą trzysta sześćdziesiąt, no — trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy!

— Po pierwsze Siedliska warte są pół miliona — powiedział Grey — po drugie nie sprzedam folwarku nawet za dwa i pół.

— To go pan sprzeda za dwieście tysięcy, jak trzeba będzie płacić weksle — wtrącił Buerger z sarkastycznym uśmiechem.

Grey zbladł, ale pohamował się.

— Nie ma o czym mówić, panowie — rzekł zimno, — Szkoda mojego i waszego czasu. Żegnam panów.

— Trzysta osiemdziesiąt tysięcy — zaczął Liedtke.

— Powiedziałem, że nie! — Grey tracił już cierpliwość.

— Pan tego pożałuje — Liedtke podniósł głos — pan tego będzie jeszcze żałował. Taka cena... a pan jest przecież bankrut.

— Mój panie, idź pan do wszystkich diabłów ze swoją ceną razem. Ale już, prędzej. Prędzej, mówię! — huknął widząc, że wspólnicy jeszcze się ociągają.

Wyszli trzaskając drzwiami.

Greya poderwało. Chciał wyjść za nimi i nauczyć ich, jak należy zamykać drzwi u niego, ale machnął ręką i usiadł. Przez nie domknięte okno wsunęła się czerwona twarz Buergera.

— Czterysta tysięcy ani grosza więcej, panie Grey?

Greya ogarnęła nagle wesołość:

— Dwa i pół miliona ani grosza mniej — powiedział. Przed gankiem zawarczał samochód.

Nazajutrz Grey otrzymał zawiadomienia od kilku dostawców o wstrzymaniu kredytu do czasu uregulowania zaległych rachunków.

Skutek wyrzucenia za drzwi tych dwóch wczoraj — pomyślał z gorzkim uśmiechem.

Koło trudności finansowych zacieśniało się szybko. Zewsząd żądano pieniędzy.

Wieczorem Grey wyjechał do Warszawy, zostawiając Gałęckiego w nastroju graniczącym z rozpaczą.

Prosto z dworca udał się do Banku Gospodarstwa Krajowego i zapytał o naczelnego dyrektora.

— Wyjechał — brzmiała odpowiedź.

— Zastępca?

— Nie przyjmuje.

— Mnie musi przyjąć. Urzędnik uśmiechnął się sceptycznie:

— Pan Grey? Pójdę zameldować. Po chwili wrócił.

— Pan dyrektor przed chwilą wyszedł na konferencję. Grey zgrzytnął zębami.

W Banku Rolnym przyjęto go nie mniej chłodno.

„Na interesy nie mające nic wspólnego z rolnictwem pożyczek nie udzielamy. Niech się pan zwróci do «Przemysłowców»”.

Grey pojechał do „Przemysłowców”, ale odprawiono go z niczym.

„Betoniarnie nas nie interesują”:

Był zdecydowany zwrócić się do Ligi.

Stojąc przed bankiem, skinął na przejeżdżającą taksówkę i właśnie zamierzał wsiąść, gdy od strony jezdni prawie jednocześnie otworzył drzwiczki jakiś jegomość w rogowych okularach i bezceremonialnie zajął miejsce obok.

W innych okolicznościach Grey prawdopodobnie zachowałby swój zwykły spokój i zimną krew. Ale tym razem był tak podrażniony, że od razu uniósł się gniewem.

— Panie, czy pan nie widzi, do pioruna, że ja zamówiłem ten samochód?

— Bardzo dobrze, panie...

— Więc niechże się pan stąd wynosi.

— Ależ proszę pana — zaczął znów gruby właściciel rogowych okularów — ja chcę...

Grey nie dal mu dojść do słowa:

— Nic mnie nie obchodzi, czego pan chce. Długa pięćdziesiąt! — rzucił adres kierowcy, siadając obok natrętnego jegomościa.

Ten ostatni nie ruszył się z miejsca. Patrzył na Greya zza swych ogromnych okularów z dobrotliwym uśmiechem i milczał. Sytuacja zaczynała być zabawna i Grey wyczuł jej komizm. Przez chwilę jeszcze usiłował oburzać się na grubasa, ale nie wytrzymał i nagle się roześmiał.

— Czego pan sobie życzy właściwie i dokąd pan chce jechać? — zapytał dziwnego towarzysza.

Grubas rozpląnął się w uśmiechu:

— Nareszcie można z panem mówić, panie Grey! — westchnął z ulgą.

Dopiero teraz Grey spojrzał uważniej na jego twarz. Wydała mu się znajoma. Nie mógł tylko przypomnieć sobie, skąd ?

— Jadę oczywiście z panem — ciągnął dalej tamten — aby omówić pewien interes. Dlatego wsiadłem do pańskiej taksówki; widziałem, że pan się śpieszy, więc chciałem załatwić to możliwie szybko, a pan wpadł na mnie jak na zbója.

Skąd ja go znam? — Grey na próżno szukał w pamięci.

— W swoim czasie proponowałem panu posadę pilota...

— Pan Stenson!

— Właśnie. Proponowałem panu posadę pilota...—

— Najmocniej pana przepraszam. Nie poznałem pana od razu. Nie uwierzy pan, jak mi przykro — Grey był niewymownie zmieszany.

— Nic nie szkodzi. Otóż proponowałem...—

— Wiem, wiem. Ma pan ślicznego Fokkera.

— Wyobrażam sobie, że samolot poznałby pan łatwiej, niż mnie — zauważył dobrodusznie Stenson, widząc, że nie zdoła skończyć zdania o propozycji.

— . Proszę mi nie brać tego za złe, jestem tak zaaferowany, że doprawdy trzeba mi wiele wybaczyć. O czym pan chciał ze mną mówić?

— Chcę panu pożyczyć trzysta tysięcy na hipotekę Siedlisk.

Propozycja była zupełnie nieoczekiwana, ale Grey nawet nie mrugnął okiem. Był już opanowany i spokojny jak zwykle.

— Czy pan wie, co ja robię w Siedliskach?

— Wiem. Robi pan doskonały interes.

— Nie, panie. Robię szkołę pilotów, która nie będzie dawała żadnych dochodów.

— Ja nie mówię o szkole. To jest pańska fantazja; zresztą bardzo piękną fantazja i bezinteresowna. Mówię o beto— niarni — po pierwsze, i o oborach — po drugie. Gdyby nie moja pożyczka, robiłby pan tylko tyle pustaków i hodowałby pan tyle krów, ile trzeba, aby utrzymać szkołę, prawda? Otrzymałby pan pożyczkę, musi pan pracować na jej amortyzację i oprocentowanie. Musi pan podnieść produkcję, a podnosząc produkcję — podnosi pan wartość Siedlisk i moja pożyczka ma coraz lepsze zabezpieczenie. A teraz — przyjmuje pan?

— Przyjmuję.

— No to załatwi pan ten interes na Długiej i pojedziemy do mnie omówić szczegóły, zgoda?

— Możemy jechać zaraz.

— Doskonale — ucieszył się Stenson. — Z patiem można robić interesy naprawdę amerykańskie — zauważył z uśmiechem.

Grey załatwił „amerykański interes" w ciągu pół godziny i wysławszy depeszę do Gałęckiego pojechał jeszcze tego samego dnia do Państwowych Zakładów Lotniczych zamówić samoloty.

Po drodze rozmyślał nad nową sytuacją, dostosowując do niej swoje plany i projekty.

Bądź co bądź szczęście mu sprzyjało. Gdyby nie Stenson, musiałby pójść pod komendę Ligi albo rządu, mimo całej swojej energii i przedsiębiorczości.

To szczęście Grey uważał za swój talent. „Czasem nawet najlepszy pilot ginie w pierwszej katastrofie, jeżeli nie ma szczęścia; najgorszy patałach wychodzi cało, jeżeli mu los sprzyja", było jedną z prawd, które głosił.

On sam posiadał obie zalety: umiejętność i szczęście. Tylko takie połączenie mogło się

złożyć na to, czym rozporządzał. Tylko dlatego, zarówno na samolocie, jak i w każdym przedsięwzięciu, dotychczas wygrywał.

Być może Grey nie doceniał innych cech swego charakteru. Może nie brał pod uwagę tych zalet i wad, których tyle posiada każdy człowiek, Albo raczej — jednoczył je w określeniu „umiejętność”, rozumiejąc przez to zarówno sumę wiadomości, jakie posiadał, jak i różnicę między osobistymi zaletami a wadami.

„Umiejętnością” dla Greya był jego uśmiech, który znali wszyscy mający z nim do czynienia, i jego żelazna wytrwałość, energia, wyrobienie sportowe i wesoły sposób bycia, i to coś”, co było tak nieuchwytnie, a co zjednywało mu serca kolegów i podkomendnych. „Umiejętnością” było wyczucie maszyny w powietrzu i samochodu na szosie, odwaga i brawura, spokój i zimna krew wobec niebezpieczeństwa, szybkość decyzji, rozmach w pracy i upór w osiągnięciu wytkniętych celów.

Od tej sumy należało odjąć gwałtowność w gniewie, zbyt wielką pewność siebie i lekkomyślność, z jaką Grey traktował osobisty majątek. Niektórzy zarzucali mu także oschłość i egoizm, ponieważ Grey pozornie nigdy nie przejmował się stratą kolegów, ginących śmiercią lotniczą. Była to jednak raczej pewnego rodzaju fanfaronada niż obojętność. Poza tym Grey był przesądny i kłął jak marynarz.

Mijając podmiejskie domki i ogrody na Okęciu, układał nowy budżet swojej szkoły i już obmyślał spłatę zaciągniętej pożyczki. Przed podpisaniem umowy ze Stensonem miał pewne wątpliwości co do tego, czy zamierzone gospodarstwo mleczne i nowa betoniarnia dadzą odpowiednio wielkie odsetki na utrzymanie szkoły i oprocentowanie pożyczki.

„Panu dadzą — zapewnił go Stenson. — Kto inny mógłby zbankrutować w tych warunkach. Pan jeden wypłynie i zyska mocne podstawy”.

Stenson miał rację. Stenson znał się na ludziach. Pominąwszy lotnictwo Grey był tylko bardzo wszechstronnym dyletantem. Ale miał szczęście, którego brakło nieraz zawodowym hodowcom i przedsiębiorcom. Wątpliwości istniały w jego umyśle nie dłużej niż kwadrans; kupił dwutomowe dzieło Forresta, traktujące o hodowli krów i napisał do biura pośrednictwa pracy o przysłanie odpowiedniego człowieka. W ten sposób rozstrzygnął kwestię od razu i nie myślał o niej więcej.

Przybywszy do fabryki, równie szybko i bez straty czasu wybrał i zamówił samoloty: trzy Morane'y i trzy Fokkery.

Załatwił sprawę dostawy silników, remontu generalnego i amortyzacji, po czym, wróciwszy do miasta, uzyskał jeszcze prywatną audiencję u szefa lotnictwa, w celu omówienia sprawy subsydiów, które na specjalnych warunkach zdecydował się przyjąć.

Nie chcąc być zależny od wojska, zgodził się na niższą stawkę od wyszkolonego ucznia w zamian za zupełną swobodę metod szkolenia. Suma, którą udało mu się uzyskać, pokrywała wprawdzie tylko część kosztów, ale za to miał pełną gwarancję całkowitej niezależności. Skarb płacił za gotowego pilota, nie interesując się ani czasem, ani programem nauki, a poprzestając jedynie na prawie przysłania delegata z decydującym głosem na egzamin końcowy. Część subsydiów miała być wypłacana w gotówce, reszta w spręcie, benzynie i smarach.

Tak więc w ciągu dwudziestu czterech godzin Grey „postawił na nogi” swoją szkołę dzięki „umiejętności i szczęściu”.

Wróciwszy do Siedlisk zaczął — organizować, cały mechanizm.

Musiał wynaleźć kierownika nowej betoniarni, którą na gwałt stawiał Gałęcki, ponieważ tego ostatniego postanowił zrobić szefem mechaników, kierownikiem warsztatów i elektrowni. Myślał o zaangażowaniu na stanowisko intendenta kogoś, w czyich rękach spoczywałyby sprzedaż pustaków, realizacja dochodów z hodowli trzody, gospodarka

pieniężna szkoły, zaopatrzenie oraz cała strona rachunkowa wszystkich przedsiębiorstw w Siedliskach.

Pani Borowiczowa, otrzymawszy do pomocy ogrodnika, parobka i dwie dziewczyny, miała ująć w swe ręce gospodarstwo domowe, ogród i chlewnie.

Sobie pozostawił w pierwszym rzędzie szkolenie w pilotażu i sportach oraz ogólne kierownictwo.

Zakreśliwszy taki plan przyszłego podziału pracy, Grey przemyślał i ułożył wszystkie jego szczegóły, napisał instrukcje, uzgodnił programy i godziny zajęć, rozdzielił czas, wyznaczył każdemu z podwładnych zajęcia na cały letni sezon i gorączkowo zaczął wykańczać szkołę.

Sypiał cztery do sześciu godzin dziennie, dozorując robót, wprowadzając ostatnie ulepszenia i poprawki, Odbywał konferencje z Gałęckim, z panią Borowiczowa. z dostawcami i przedsiębiorcami, jeździł do Wilna i do Warszawy, zawierał nowe umowy, sprzedawał pustaki i studiował Forresta. W pierwszych dniach czerwca sprowadził wysokomleczne krowy i oddał je pod opiekę przybyłego z Poznania specjalisty, emigranta holenderskiego Johnsona.

Siedliska splantowane i pokryte jednym wielkim kobiercem trawy przeobraziły się w szereg racjonalnie prowadzonych pastwisk i łąnów argentyńskiej koniczyny, przeznaczonej na paszę zimową. Jednocześnie puszczono w ruch przetwórnictwo produktów mlecznych i serów, którym Grey zapewnił szeroki rynek zbytu.

Nowa betoniarnia szła pełnymi biegiem i transporty jej wyrobów ładowano na stacji kolejowej dla kilku firm budowlanych. Grey zamierzał w jesieni wybudować kolejkę wąskotorową do folwarku, co obniżyłoby koszty produkcji o piętnaście procent. Tymczasem ciągle przyspieszał tempo robót, nie dając wytchnienia sobie i swoim ludziom.

Trzynastego czerwca przybyli z Bydgoszczy czterej mechanicy, a w dwa dni później po raz pierwszy wylądowało sześć samolotów na lotnisku świeżo zarejestrowanym w Ministerstwie Komunikacji.

Dzień ten był dniem triumfu dla Greya: ukończono ostatnią budowę, produkcja betoniarni osiągnęła czterysta sztuk pustaków dziennie, przybyło osiem cieląt i trzydzieści prosiąt, wylądowało sześć samolotów...

Nowoczesna „szkoła orłąt” była gotowa na przyjęcie dwunastu uczniów, którzy mieli stać się w przyszłości chlubą polskiego lotnictwa. Prócz warsztatów, hangarów, samolotów i wszelkich środków zaspokajających potrzeby nauki pilotażu, posiadała boisko sportowe, bieżnię, pływalnię, salę szermierczą i gimnastyczną, przyrządy do boksu, strzelnicę i place tenisowe.

Dom odnowiony i świeżo pobielony mieścił dwie sale sypialne, jadalnię, bibliotekę, gabinet i sypialnię Greya, kancelarię intendenta i pokoje stałego personelu.

Wszystkie budynki, hangary, stajnie, obory i chlewnie były skanalizowane; otrzymywały filtrowaną wodę z wieży ciśnień i oświetlenie z elektrowni. Wielka cysterna dostarczała benzynę wprost do hangarów za pomocą podziemnych rur i przewodów. Od kilku dni funkcjonowała stacja radiowa.

Wszystko to Grey dźwignął z niczego, wysiłkiem żelaznej woli w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Miał z czego być dumny.

Tego dnia, o godzinie dwunastej w południe syrena betoniarni ogłosiła przeraźliwym sygnałem koniec pracy. Grey zaprowadził po raz pierwszy angielską sobotę.

Jadł obiad z Gałęckim i nowo przybyłym intendencem, Dziewulskim, którego polecił mu Stenson. Kiedy podano pieczone, Gałęcki napełnił winem kieliszki.

— Za pomyślność pierwszego sezonu szkoły — powiedział Grey.

Wypili.

— Nie wiem dotychczas, skąd pan weźmie uczniów? — zaczął po chwili milczenia Dziewulski..

— Jutro pojedę ich szukać — uśmiechnął się tajemniczo Grey. — Widzi pan, o byle jakich uczniów jest łatwo, ale ja mam specjalne wymagania; będę ich sam wybierał. Zostało mi dziesięć dni, biorę samochód i jadę. To będą jednocześnie moje wakacje.

— Nie bardzo rozumiem, jak pan to zrobi? Nie będzie pan chyba zbierał tych chłopców po drodze?

— Właśnie, właśnie. Będę ich zbierał po drodze. Urządzą im najwspanialsze wakacje, o jakich mogą zamarzyć. Będę szukał na boiskach piłki nożnej, na plażach kąpielowych, na podwórzach szkolnych. Będę na nich polował w czasie wycieczek do podmiejskich lasów, w parkach i na ulicach. Już ja ich potrafię znaleźć.

— To przecież głupstwo w porównaniu z urzędzeniem szkoły — zauważył Gałęcki.

— Głupstwo? Nie — powiedział Grey. — To bardzo ważne. Dlatego zostawiłem sobie na to aż dziesięć dni. Muszę wyszukać najlepszych kandydatów na pilotów. Takich chłopców jest wprawdzie sporo, ale trudno poznać się na nich; trzeba ich wyłowić spośród bardzo wielu innych. Trzeba mieć szczęście.

Dziewulski popatrzył na Greya przenikliwie. Od początku uważał go za narwańca. Teraz znów ten pomysł z szukaniem uczniów... — Nie pojmował, co Greyowi przyjdzie w ogóle z całej tej szkoły. Pracował sumiennie i uczciwie zarabiał swoją pensję, ale nie mógł przekonać się do pomysłów tego człowieka.

Kto słyszał pakować wszystkie dochody w takie przedsięwzięcia?

Gałęcki także nie umiał mu tego wytłumaczyć i były rozsądny urzędnik Stensona uważał Siedliska trochę za dom wariatów, a pomysł Greya za fantastyczny eksperyment, który nie może dać żadnych praktycznych rezultatów. Mimo takiego stosunku do zamierzeń i poczynań „pana dyrektora”, jak tytułował Greya, Dziewulski żywo interesował się wszystkim, co dotyczyło szkoły i starał się zgłębić tajemnicę dotychczasowego powodzenia jej twórcy.

Grey imponował mu rozmachem i energią. Intendent zdawał sobie z tego sprawę i, przeliczywszy wartość tych zalet na gotówkę, doszedł do wniosku, że gdyby dyrektor skierował je na praktyczniejsze tory, mógłby stworzyć w niesłychanie krótkim czasie potężne przedsiębiorstwo — a więc, że można było czegoś nauczyć się przy nim. Podziwiał zawsze ekonomię czasu i prostotę stosowanych przez Greya środków, i teraz nie mogło mu się pomieścić w głowie, jak można tracić czas na wyszukiwanie uczniów w sposób zamierzony przez porucznika.

Gałęcki zrozumiał to prędzej. Jeszcze będąc instruktorem w lotnictwie wojskowym, Grey na pierwszy rzut oka oceniał uczniów. Dzielił ich potem na dobrych i słabych, zanim jeszcze zaczęli latać, i nie mylił się nigdy. Miał specjalny dar odgadywania talentu lotniczego, „ptasiego instynktu”, jak go określał. Sam zapewne nie umiałby powiedzieć, co stanowiło kryterium tych ocen. Dość, że go nie zawodziły.

Z postawy, z ruchów, ze sposobu reagowania na niespodziewane odgłosy czy zjawiska, wnosił o zdolnościach danego osobnika do pilotażu.

— — Wyjadę jutro — oświadczył. — Dwudziestego szóstego zaczynamy kurs. Niechże pan pamięta, panie Dziewulski, że dwudziestego piątego przyjedzie około dwunastu chłopców; żeby wszystko było gotowe na ich przyjęcie.

Przy czarnej kawie, którą pili na ganku, wydawał ostatnie dyspozycje przed wyjazdem.

— Niech pan zwróci specjalną uwagę na gospodarstwo mleczne — mówił do Dziewulskiego. — Ten dział, wraz z betoniarnią, to jest nasza baza finansowa. Nie mamy innych dochodów i z tego musimy pokrywać wszystkie wydatki. Produkcja w ciągu trzech

miesiący musi wzrosnąć o dwadzieścia do trzydziestu procent. Inaczej nie wytrzymamy. Z rozpoczęciem kursu i tak wpadniemy w długi, z których dopiero w czasie zimy będzie można wybrnąć. Szczegółowy budżet ma pan u siebie; nie możemy mieć ani o grosz mniejszych dochodów. Niech pan dopilnuje transportu kombinezonów; powinny nadejść w poniedziałek rano. Gałęcki przygotowuje już teraz silniki do zmiany, tak, aby kolejno można je było wbudować na płatowce, po zużyciu obecnych. Zorganizuje pan także obsługę na starcie, wyznaczy pan dyżury i wszystko, czego potrzeba, według rozkładu lotów. Gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, proszę depeszować na poste restante jednocześnie do Warszawy, Krakowa, Kalisza, Poznania, Wilna, Lwowa i Bydgoszczy. Zawsze mnie gdzieś złapiecie. W mniej ważnych wypadkach radźcie sobie sami. Wracam dwudziestego piątego rano. To już chyba wszystko.

Wstali od stołu i poszli w stronę garażu. Na każdym kroku widać było ogrom pracy, której dokonali.

Podwórze, dawniej zasłane odpadkami i nawozem, pełne błota i nigdy nie wysychających kałuż na środku, teraz gładko wybrukowane i czyste, otaczały solidne budynki: na lewo obory, stajnia i chlewnia, na wprost — stodoła, po prawej stronie — hangary, garaż i warsztaty. Za nimi błyszczał w słońcu dach wieży wodociągowej i pykał błękitnym dymkiem komin elektrowni nad rzeką.

Świeżo wykończona droga łączyła folwark z szosą, a na miejscu dawnych łysawych pól stały się puszyste argentyńskie koniczyny i ciemniały pękate kopice siana. Na lewo wyrastał szary blok betoniarni i błękitniało gładkie lustro basenu, a tuż przy nim żółtą wstęgą piasku znaczyła się bieżnia na boisku sportowym,

Gałęcki objął wzrokiem rozległe lotnisko. Za dziesięć dni po wystrzyżonych kosiarką łąkach i polach, równych jak stół i twardych jak klepisko, zaczną pełzać Morane'y... Niebo przekreślać będzie co chwila rozkrzyżowana sylwetka płatowca, ciszę poranków i letnich wieczorów drążyć będzie metaliczny brzęk silników, szum śmigieł i wysoki śpiew zastrzałów skrzydłowych. Siedliska, przed kilku jeszcze miesiącami ciche i puste, potem huczące szalonym tempem pracy, zgrzytem pil, stukiem siekier, sapaniem pługów, zgiełkiem i wrzawą intensywnej budowy, rechotem mieszarek, jękiem zderzających się wózków, pośpieszną rozmową młotów, rykiem bydła, skrzypieniem i turkotem wozów — Siedliska ścichłe znów trochę tego popołudnia — zabrzmiały za dziesięć dni młodymi głosami chłopców, których przywiezie Grey, rozdzwonią się śmiechem i charakterystycznym gwarem lotniczego sezonu:

Gałęcki myślał o tym wszystkim z radością: Greyowi znów się udało. Praca nie poszła na marne, To, co stworzyli, było zaiste wielkim jęgo dziełem.

Weszli do garażu. Grey z nie ukrywaną radością siadał za kierownicą. Czekają go dziesięć dni jazdy bez określonego planu: zdawał się na swój instynkt, który miał mu dopomóc w wyszukaniu przyszłych asów Polski.

Miał oto jechać przed siebie, gdzie oczy poniosą, i zbierać po drodze swoich chłopców. Na dziesięć dni rozstawał się z nieustannym młynem pracy, by powrócić do wykonania głównego zamysłu — szkolenia według własnych zasad i programów.

Dziewulski i Gałęcki pożegnali go mocnym uściskiem dłoni:

Marzyciel rusza w świat po chimerę, aby powrócić i rozczarować się. Jakże mało nauczyło go życie — myślał intendent.

Porucznik jedzie po nowe zwycięstwo — myślał werkmistrz. — Do samej śmierci będzie walczył bezwiednie zdobywając ludzi i ich serca.

Obaj myśleli o nim serdecznie. Obaj mieli uczucie pewnego osamotnienia: Grey wyjeżdżał...

Złapawszy się na tej myśli, Dziewulski musiał przyznać, że jednak zrodziła się w nim

wiara w tego człowieka, w jego rozmach i energię. Mimo swych trzeźwych poglądów intendent czuł, że czasami zapał i optymizm Greya porywają go. Teraz przewidywał, że bez Greya o wiele trudniej będzie mu pracować, o wiele mniej będzie mógł dać z siebie.

Gałęckiego ogarniał niepokój przy każdym takim wyjeździe. Dopóki porucznik był na miejscu, wermistrz wiedział, że każde przedsięwzięcie musi się udać. Nie było rzeczy, której Grey nie mógłby dokonać, nie było przeszkód nie do zwalczenia. Z chwilą jego wyjazdu Gałęcki pracował wprawdzie z większą jeszcze ambicją i zaciekłością, ale obawiał się zawsze nieoczekiwanych zdarzeń, jakichś nowych sytuacji, które tylko Grey mógł nieomylnie rozwiązać. Nie czuł się pewny, kiedy był sam...

Zamamrotał starter. Spod kół samochodu buchnął kłęb dymu. Zapachniało olejem i benzyną.

— Do widzenia — powiedział Grey.

Ruszył, wyjechał wolno z garażu i skręcając w aleję, wprawnie przerzucał biegi.

Szary ogon pyłu wywinął się za nim i przesłonił widok. Z piersi intendenta i wermistrza wyrwało się westchnienie.

4

W niezliczonych skrętach wiję się biała szosa między polami. Wpada w ciemne lasy, przesywa je na wskroś nierównym ścięciem między pniami sosen i świerków, prostuje się nagle, jakby w olbrzymim skoku naprzód; zatacza się między chatami wsi, szczyrbi się w załomach ulic miasteczka, pnie się pod górę i spada w dół; brodzi filarami mostów przez rzeki; chwilę ciekawie ogląda tor kolejowy, aż nagle przekreśliwszy go między barierami przejazdu, ucieka za wzgórze, by znów wić się między lasami i polami rozkwitłymi bujnie w ciepłe czerwcowego słońca.

Towarzyszą jej dwa rzędy drzew po obu stronach. Przelatujący wóz miga kolejno w lukach między ich cieniami. W rozśpiewanym powietrzu ryczy od czasu do czasu klakson.

Kłębi się kurz, prują po szosie pneumatyki kół.

Osiemdziesiąt — dziewięćdziesiąt — osiemdziesiąt — osiemdziesiąt pięć — dziewięćdziesiąt — wskazuje strzałka prędkościomierza, .

Na zakręcie wlecze się furmanka.—

Auuu! Auuu! Auuu! — wyje klakson.

Potem mały, ledwie widoczny ruch dłoni kierowcy — pneumatyki miękko, elastycznie kładą się na bok. Furmanka zostaje daleko w tyle. Grey niedbale rozparty w siedzeniu dodaje gazu.

I znów tory kolejowe, domy i ulice, chaty i ogrody, lasy i pola. I stado gęsi, tradycyjna przeszkoda automobilistów. Znów ryczy klakson, piszczą hamulce, trą po szosie koła. I znowu równa, coraz pełniejsza praca motoru i delikatne wahania wskazówki: — osiemdziesiąt — dziewięćdziesiąt — sto kilometrów.

Słońce zachodzi całe w złocie i czerwieni. Rzeka fioletu płynie i rozlewa się w morze coraz gęstszego mroku. Blednie błękit nieba na wschodzie.

Ale Grey jedzie na zachód. Tam, skąd leje się krew słońca, gdzie kapie złoto na gałęzie drzew. Tam, gdzie powietrze nasycone jest purpurowymi płomieniami wieczornych pożarów nieba. Jedzie już od sześciu godzin. Płuca ma pełne ciepłego powietrza, pachnącego świeżo skoszonym sianem i aromatem lasów. Oczy ma pełne słońca. Serce pełne radości życia.

Piękny jest świat — myśli Grey — Dobrze jest mieć małego Fiata i robić na nim

dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę w poszukiwaniu dwunastu maleńkich przygód, z których każda powinna kończyć się znalezieniem ucznia dla „szkoły orląt”.

Powoli, powoli mrok cienką warstwą kładzie się na szosie. Purpurowe smugi na horyzoncie zaczynają ciemnieć, jakby zasnuwane dymem. Seledyn nieba nad nimi spopielał, pod lasami włączają się lekkie welony oparów. Na stokach wzgórz i w rowach przydrożnych czai się cień nocy.

Wtedy Grey pozwala spojrzeć jarzącym ślepiom swego Fiata w daleką przestrzeń. Drgające smugi światła biegną przed nim potykając się i strzępiąc na wybojach i drobnych kamykach.

Tym silniej naciera ze wszech stron noc. Wlewa się granatową falą nie wiadomo skąd, opływa ziemię aż po horyzont i zamyka powiekę nieba. Budzą się gwiazdy.

Grey zatrzymał samochód. Wiedział, że gdzieś w pobliżu jest boczna droga, którą rzekomo prędzej można dojechać do Łomży niż szosą. Zapytał o nią przejeżdżającego woźnicę i utwierdzony w słuszności swego mniemania, zjechał na prawo w las.

Czarne pnie drzew smagane uderzeniami światła reflektorów tworzyły po obu stronach kolumnadę przykrytą dachem gałęzi, przez które czasami błyskały gwiazdy.

Jechał wolno, omijając wykroty i dziury. Było ich coraz więcej i zaczął żałować, że zaufał przygodnym informatorom. Przejechał jeszcze paręset metrów poczuł, że koła grzęzną w piasku. Zmienił bieg i brnął dalej. Tymczasem droga stawała się coraz węższa, tak że nawet nie mógł zawrócić.

Źle — pomyślał. — Wpadłem.

Był zmęczony i nie chciało mu się tłuc dalej po nocy w tych warunkach. Postanowił dojechać do jakiegoś szerszego miejsca, zatrzymać wóz na uboczu i zanoć w lesie. Było ciepło i pogodnie. Nocleg na świeżym powietrzu pociągał go swym urokiem.

Ale droga była ciągle wąska, a głębokie rowy po obu jej stronach uniemożliwiały zjechanie na bok.

Dobrze jeszcze, że nie spotkałem nikogo jadącego z przeciwnej strony — pomyślał.

Nagle w ostrym świetle reflektorów zobaczył świeżo wykopany rów i wał żółtego piasku usypany w poprzek drogi.

Doskonałe — powiedział z uśmiechem. — Mogę wobec tego zostać choćby tutaj.

Zatrzymał silnik i wysiadł, aby wyjąć zapasy podrózne, a potem usiadł na stopniu i z apetytem zaczął się posilać.

Las szumiał cichutko wierzchołkami drzew. W promieniach latarni latały chmary owadów. Białe ćmy tłukły skrzydłami o szyby. Od strony szosy dochodził stłumiony turkot kół i ujadanie psa.

Nagle Grey usłyszał za sobą, po prawej stronie trzask łamanej gałązki. Przesiał jeść i nasłuchiwał. Po chwili trzask powtórzył się. Ktoś ostrożnie stąpał za nim i podchodził coraz bliżej.

Leśniczy albo kłusownik — pomyślał Grey.

Postawił termos na stopniu i odłożył jedzenie. Wyraźnie czuł, że ktoś go chce zaskoczyć. Postanowił tego kogoś uprzedzić.

Zsunął się na ziemię i zaczął pełznąć pod osłoną wozu ku tyłowi. Kiedy już miał wyrzeć, aby zobaczyć skradającego się człowieka, wprawny jego słuch pochwycił podobne szmery z boku, na wprost i z tyłu.

Grey spowaźniał. Był otoczony przez kilku ludzi. Co to miało znaczyć?

Zachowując się możliwie jak najciszej, przykłęknął za samochodem, spojrzął w kierunku światła i uśmiechnął się wesoło: na granicy mroku i świetlistej strugi reflektorów leżał na

ziemi szary harcerski kapelusz i okuty kij z chorągiewką.

Nagle kapelusz i kij znikły. W tej samej chwili z kilku stron naraz błysnęły światła kieszonkowych latarek i oświetliły pusty wóz. Grey zobaczył kilkunastu chłopców i usłyszał ich stłumione głosy. Śmiejąc się w duchu z konsternacji, która nastąpiła wśród harcerzy po stwierdzeniu nieobecności właściciela samochodu, wypełził nieomal pomiędzy ich nogami i ukrył się w rowie.

Zastęp naradzał się szeptem.

— Ręce do góry! — krzyknął Grey wstając.

Chłopcy drgnęli. Uniosło się dwanaście par rąk oświetlonych latarką Greya. Porucznik zrobił srogą minę i przygotowywał się do przemowy, gdy nagle zatrzeszczały za nim gałęzie i rozległ się drżący wzruszeniem głos:

— Ręce do góry, panie!

Grey usłuchał lojalnie wezwania. Z piersi chłopców uleciało westchnienie ulgi. Otoczyli go kołem z niejaką obawą

— Doskonale — powiedział, śmiejąc się i opuszczając ręce. — Doskonale, chłopcy! Trzeba zawsze zostawić rezerwę na wszelki wypadek. Tak właśnie, jak zrobiliście teraz. Jestem pokonany; poddaję się i proszę o litość.

Po chwili znajomość była zawarta i zastęp Puchaczy uprowadził jeńca w kierunku obozu rozłożonego opodal, wystawiając wartę przy samochodzie. Grey przyjął kubek herbaty i zapaliwszy fajkę wyciągnął się na kocu przy ognisku, które chłopcy obsiedli dokoła.

Zastępowy rozpoczął gawędę.

— Dzisiejsza wycieczka jest ostatnia przed wakacjami. Kiedy spotkamy się na przyszły rok w ósmej klasie, większość z nas weźmie urlop i wycofa się z czynnej pracy harcerskiej. A po roku cały nasz zastęp rozleci się na wszystkie strony Polski, aby pracować w różnych zawodach, aby specjalizować się i dalej kształcić na uniwersytetach i innych wyższych uczelniach. Chciałbym pomówić dziś z wami nie na specjalnie harcerski temat. Każdy z nas ma inne projekty na przyszłość, każdy z nas myśli o przyszłym zawodzie, który chce sobie obrać. I będziemy dziś mówili nie tylko o tym, który z tych zawodów jest lepszy, bardziej ciekawy, pożyteczniejszy, przynoszący więcej zadowolenia itd. Będziemy mówili także o tym, co w poszczególnych zawodach chcemy znaleźć. Jakie są nasze marzenia z przyszłym zajęciem związane, jak chcielibyśmy, aby się nam ułożyło życie i przyszła praca.

Chłopcy kolejno zabierali głos.

Grey słuchał.

Mówili o tym, jak będą budowali mosty i domy, zakładali fabryki, pracowali jako marynarze, jak będą leczyli i uczyli, bronili spraw w sądach, uprawiali rolę i pisali dzieła. Mówili o specjalizacji koniecznej przy dzisiejszym stanie techniki i ekonomii, o pracy społecznej, o wewnętrznym zadowoleniu, które daje spełniony obowiązek...

Grey milczał, palił, słuchał.

— Nie obrałem jeszcze żadnego zawodu — powiedział ktoś przerywając chwilowe milczenie. — Szukam takiego, który dałby mi możliwość zaznania największych emocji, który by zmuszał do najintensywniejszego odczucia istoty życia. Życie jest krótkie — chcę przeżyć je niezwykle.

. — Mógłbyś zostać marynarzem — powiedział inny głos.

— Marynarzem? — powtórzył pierwszy. — No tak, to daje dużo wrażeń, ale nie pozostaje już nic poza tym; jest się związanym raz na zawsze z morzem i koniec. Nie chcę być wielki i sławny. Chcę dobrze przeżyć życie. Chcę być wszechstronnym dyletantem, a obok tego robić coś, co mi da nie tylko chleb, ale także możliwie dużą sumę takich chwil, w których człowiek „żyje z całej siły” i zdaje sobie z tego sprawę.

— Minęły już czasy błędnych rycerzy — powiedział ktoś inny. — A także czasy poszukiwaczy złota czy romantycznych przygód traperów.

— Wiem i dlatego nie mogę się zdecydować na nic takiego, o czym mówiliście tutaj. Będę zapewne zawsze tylko dyletantem, bo nie ma zawodu, który odpowiadałby mi specjalnie...

Grey oparł się na łokciach, i spojrzał w stronę ogniska.

— Mój zawód musi być piękny; ale nie jestem artystą nie mam wybitnego talentu w żadnym kierunku. Musi dostarczać wciąż nowych, silnych emocji i wrażeń, ale nie powinien wiązać mnie z miejscem i zabierać mi całego mojego czasu. Czy istnieje taki zawód?

Grey zapalał wygasłą fajkę patrząc na chłopca. Oceniał go pod względem fizycznym.

Chłopak był szczupły, wysoki, z ciemną falującą czupryną. Miał wąski nos, regularne rysy, ręce o długich, cienkich palcach. Ubrany był jak wszyscy, w harcerski mundur, ale nosił go z wrodzoną elegancją.

Paniczyk — pomyślał porucznik. — Marzyciel. Ale może...

Gawęda dobiegała końca. Dogasające ognisko oświetlało twarze chłopców czerwonym blaskiem. Mówili coraz ciszej i sennie. Chwile milczenia przedłużały się. Zaduma osiadała na młodych czołach.

Las szumiał w górze jednostajnym szeptem swoje pacierze, syczała jakaś wilgotna, nadpalona gałązka w żarze popielejącego ogniska, skrzypiały świerszcze, a gdzieś z daleka dolatywał pogwar żabich kapel.

Zastępowy półgłosem wydał rozkaz.

Stanęli równym, wyciągniętym w mrok rzędem.

W ciszy nocnej popłynęła pieśń:

 Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,

 Nie damy pogrześć mowy...

Na chwilę umilkły świerszcze. Tylko żaby rechotały dalej.

Grey wstał i wyjął fajkę z ust:

„Polski my naród, polski ród...” — buchnęło w las dumne wyznanie, rozwalając głośnym uderzeniem ciszę.

Las słuchał. Słuchało rozgwieżdżone niebo i utopiona w mroku ziemia, i rozkołysana cisza... I słuchał Grey, a zahartowane na twardą stal nerwy zwolniały, aby poddać się lekkiemu prądowi wzruszenia. Słuchali tak w skupieniu, jak polskie dzieci ślubują ojczyźnie.

I gdy ostatnie — „Tak nam dopomóż Bóg”... — przebrzmiało, kiedy senne, zadumane sosny powtórzyły echem :...„Bóg” — jeszcze słuchał las i milczały świerszcze.—

Potem ostre słowa komendy szarpnęły ciszą, a pierwszy z nocnych muzykantów niecierpliwie zaczął stroić skrzypce. Odpowiedzieli mu inni i znów zaskrzypiała orkiestra przepleciona rechotliwym żabim refrenem.

Chłopcy układali się do snu życząc swemu jeńcowi dobrej nocy. Zaproponowali mu miejsce w namiocie, ale odmowni Nie chciało mu się jeszcze spać. Usiadł pod sosną i ponownie nabiwszy fajkę rozmyślał.

Jego życie było także do niedawna pogonią za czymś nieuchwytnym, jak marzenia owego chłopca, który nie mógł zdecydować się na obranie zawodu.

Grey wstąpił do wojska jako ochotnik. Po demobilizacji, gnany niespokojną żądzą nowości, w ciągu dwóch lat zdążył zwiedzić całą Europę, być w Stanach Zjednoczonych i w Japonii, przejechać przez Egipt i Kongo.

Nie był jeszcze wtedy wielkim, sławnym Greyem, asem lotnictwa. Pracował jako prosty robotnik w dokach okrętowych, włóczył się po świecie jako marynarz i komiwojażer, później

przez jakiś czas ujeżdżał konie dla cyrku, był nauczycielem pływania, rysował i kreślił w wielkiej fabryce maszyn na Śląsku.

W roku 1922 został oblatywaczem, a potem pilotem reklamowym fabryki samolotów Spad. W tym samym roku dokonał wielkiego przelotu przez Saharę. Wysłano go do Jugosławii i Węgier, gdzie zdumiewał miejscowych pilotów brawurową akrobacją.

Sława jego rosła. Wróciwszy do Polski ponownie wstąpił do wojska. Brał udział we wszystkich zawodach lotniczych, zawsze wysuwając się na czoło. Będąc instruktorem szkoły pilotów, dwukrotnie zdobył puchar Davisa; w roku 1932 dokonał lotu naokoło świata i pobił rekord prędkości.

Jednak służba wojskowa zaczęła mu ciążyć. I oto znów rzucił wszystko, aby wykonać swój pomysł o „szkole asów”.

Nie umiał żyć w ramach jednego zawodu, nie wystarczały mu żadne emocje, bo pożądał coraz nowych.

Myślał o tym, co przeżył dotychczas. I czy „dobrze” „przeżył te lata. Analizował doznane wrażenia, poddawał się raz jeszcze minionym emocjom, zgłębiał je i usiłował wyciągnąć wnioski.

Tak, doznał w życiu mocnych wrażeń. Doznał ich wiele! Nie dały mu jednak nigdy pełni zadowolenia; wzmagaly jedynie głód nowości i hazardu. Pomyślał, że wszystko, co dotychczas robił, było dążeniem do zaspokojenia tego głodu.

A „szkoła orląt”? — zadał sobie pytanie.

Czy szkoła, w którą rzucił cały swój majątek, aby dać Polsce prawdziwych, jedynych w Europie ludzi — ptaków, czy ta szkoła też miała służyć wyłącznie zaspokojeniu jego osobistych pragnień? Czy po to jedynie szukał dwunastu „maleńkich przygód”, aby znaleźć ujście dla swoich ambicji? Czy też może po raz pierwszy obok własnych emocji dojrzał cel większy i piękniejszy, bardziej bezinteresowny? Szeroki gest: podarować państwu dwunastu świetnych pilotów, obdarzyć dwunastu chłopców najwyższym stopniem sztuki latania, dać im to wszystko, co sam posiadał, nie biorąc w zamian nic prócz zadowolenia z możliwości hojnego obdarowania innych. Co było właściwym celem: nowość przeżyć czy twórcza praca dla dobra Polski i tych dwunastu?

I jeszcze jedno: czy ci chłopcy nie będą myśleli kiedyś tak jak on? Kiedyś, po latach, gdy już zdobędą laury i przeżyją największe emocje lotu.

Wtedy będą mogli przecież znaleźć to, co ja sam znalazłem teraz — pomyślał.

Poczuł, że to, co czyni, daje mu prawdziwą, mocną radość twórczej pracy, że robi coś, czego jeszcze nie było, coś, co zostanie po nim i będzie trwało.

Może to jest największym dobrem w życiu? — pomyślał nie umiejąc jednak uświadomić sobie jasno istoty pobudek, jakie nim kierowały.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków. Zmieniano warty. W ostatnich blaskach pelgającego ogniska zobaczył sylwetkę Paniczyka, który szedł pewnym krokiem w stronę drogi. Po chwili harcerz pilnujący dotychczas samochodu wrócił i wszedł do namiotu.

Grey wstał i przeciągnął się. Dość miał na dziś filozoficznych rozważań i wątpliwości. W jego naturze leżało — raczej czynić niż analizować. Pewnym krokiem poszedł w stronę wozu.

— Kto idzie? — zatrzymało go pytanie.

— Grey.

— Ach, to pan. Czy chce pan już odjechać? Nie podoba się panu w naszym obozie?

— Przeciwnie: bardzo mi się podoba. Przyszedłem pogadać z panem.

— Hm. Wprawdzie na posterunku nie wolno rozmawiać, ale wobec tego, że właściciel obiektu powierzonego mojej pieczy sam nakłania mnie do zaniedbywania jego

bezpieczeństwa...

— Oczywiście. Chciałem z panem pomówić o pewnym zawodzie, którego nie brał pan pod uwagę w czasie dzisiejszej gawędy.

— Ach, pan to słyszał?

— Tak, i mam dla pana propozycję.

— Słucham.

— Niech pan spróbuje latać.

— Latać? Ba, na to trzeba wstąpić do wojska albo do szkoły LOPP. Jedno i drugie pociąga za sobą kilka lat niewoli. Muszę przecież być czymś poza tym. Chyba że będę takim asem, jak... Przepraszam — zmieszał się nagle — pan... Pan jest lotnikiem?

— Tak.

— Pan jest Jerzy Grey?

— Właśnie. Tu jest adres mojej szkoły pilotów. Oczekuję pana dwudziestego piątego. Proszę przyjechać na całe

wakacje: spróbujemy. Odjeżdżam stąd jutro rano, Gdyby pan nie mógł się zdecydować, proszę mnie zawiadomić muszę mieć pewność.

Chłopak był zaskoczony. Nie wiedział, co odpowiedzieć na tak niezwykłą propozycję. Jeszcze nie mógł w to wszystko uwierzyć, ale już oczy śmiały mu się do takich wakacji.

Latać! Latać na prawdziwych samolotach, opanować powietrze, przeżywać tyle nowych wrażeń! Tego przecież szukał, do tego dążył.

Gorączkowo zaczął zarzucać Greya pytaniami:

„Jak? Gdzie? Kiedy?”

Już był zdecydowany. Już widział się w samolocie, żył nowym życiem, tak różnym od tego, z czym się stykał dotychczas.

Poprosił Greya o wskazanie mu książek, które warto przeczytać, i podręczników, które można dostać w kraju. Palił się. Widać było, że znajduje to, czego mu było brak.

Potem mówili o przyszłości, o rajdach, lotach bojowych, o akrobacji, o wszystkich możliwościach zawodu. Nie spostrzegli, jak przeszła godzina warty.

Wróciwszy do obozu Stefan nie mógł usnąć. Za to Grey spał jak zabity, a kiedy o szóstej rano wyjeżdżał w dalszą drogę, w jego notesie na stronie z napisem: „Uczniowie”, znalazło się pierwsze nazwisko: Stefan Wirecki, z uwagą: „paniczyk” — Łomża, gimnazjum ogólnokształcące.

Dzień był upalny. Grey przybył do Warszawy w samo południe, zmieniawszy po drodze trzy dętki, które pękały jedna po drugiej. Zaledwie wjechał w ulicę przedmieścia, pękła czwarta. Nie miał już ani jednej zapasowej, więc zatrzymawszy wóz u brzegu chodnika zaczął rozglądać się za wulkanizatorem albo sklepem z pneumatykami. Ale w tej stronie miasta nie było ani jednego, ani drugiego. Musiał sam zabrać się do klejenia, aby dojechać do śródmieścia. Zdejmując koło w otoczeniu kilkunastu gapiów, kłął na czym świat stoi. Irytowała go niedzielna publiczność wychodząca z kościoła i zatrzymująca się przy samochodzie tak blisko, że nie mógł swobodnie pracować. Paniusie i kumoszki gadały między sobą ciągnąc za ręce odświętne wystrojone dzieciaki; majstrowie, kupcy kolonialni, łobuzy i „szykownie” odziani „faceci” gapili się jeden przez drugiego robiąc głośne uwagi.

W pewnej chwili, kiedy Grey miał sięgnąć za siebie do skrzynki z narzędziami, aby wyjąć nowy wentyl, i właśnie chciał zrobić cierpką uwagę napierającym zewsząd ludziom, zobaczył nagle czyjąś rękę podającą mu potrzebny przedmiot. Wziął bez słowa gumową cewkę od nieproszonego pomocnika nie spojrzawszy nawet na niego. W ten sam sposób dłoń podała mu nakrętkę, potem odpowiedni klucz, kleszcze i wreszcie łyżkę do założenia opony.

Grey nic nie mówił. Ów ktoś milczał również, nieomylnie zgadując, co w danej chwili jest potrzebne.

Wreszcie Grey zaczął montować koło. Wtedy z tłumu stojącego za nim wysunął się kilkunastoletni wyrostek w mundurze szkoły tramwajarzy. Te same wprawne dłonie, które podawały Greyowi narzędzia, zaczęły mu pomagać przy naciągnięciu opony. Grey patrzył spod oka i uśmiechał się. Nie zamienili dotąd ani słowa.

— Gdzie jest pompa? — spytał chłopiec, kiedy już koło było gotowe.

— Pod siedzeniem, z przodu.

Wyjął i zaczął napełniać dętkę powietrzem. Potem dopomógł jeszcze założyć koło na oś i dociągnąć nakrętki.

— Kto pan jest? — spytał Grey.

— Uczeń. Szósta klasa. Szkoła Przemysłowa Tramwajarzy. Józef Bielak.

— Dokąd pan teraz idzie?

— Na Marszałkowską.

— Siadaj pan.

Chłopiec bez wahania usiadł obok Greya. Ruszyli.

— Co pan myśli robić w czasie wakacji?

— Dobrze wrażenie. Grey uśmiechnął się.

— A poza tym?

— Phi... Bo co?

— Interesuje się pan lotnictwem?

— Jestem w klubie.

— Dobrze. Tu jest adres szkoły pilotów. Kurs w czasie wakacji. Ja jestem dyrektorem i właścicielem. Chce pan latać?

— Za „darmochę”? — zainteresował się nagle chłopak.

— Tak.

— O rany! Naprawdę? Porucznik skinął głową.

— Mogę pomówić z rodzicami, jeżeli trzeba.

— Obejdzie się. Kiedy przyjechać?

— Dwudziestego piątego. Dam panu na bilet.

— Nie trzeba. Mam swoje; ale — mur?

— Mur.

— Fajny chłop z pana. „Jerzy Grey. Siedliska. Szkoła pilotów” — przeczytał. — Więc to nie żadna bujda?

— Mur — powtórzył Grey śmiejąc się.

— No, to ja wysiadam. Nie idę na Marszałkowską. Jutro egzamin z algebry; jak się zetnę, ojciec mnie nie puści. Serwus. Jak Boga kocham, fajny z pana chłop — gadał śmiejąc się i ściskając rękę Greya. — Przyjadę na pe!

Grey wstał na pocztę, aby dowiedzieć się, czy nie ma dla niego depechy.

Nie było. Wobec tego pojechał na obiad, a później do Stensona.

Bankier przyjął go niezwykle serdecznie.

— Doskonale pan zrobił odwiedzając mnie dzisiaj. Jeżeli ma pan trochę czasu, zawiozę pana do mojej farmy w Zalesiu. Nie zna pan Zalesia? To bardzo niedaleko: sto osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy.

— No, to nie bardzo blisko — zauważył Grey.

— I to pan tak mówi?! Polecimy na Fokkerze, którym wzgardził pan przed rokiem.

— Doskonale — zgodził się Grey. — Jestem chwilowo bezrobotny.

— Widzi pan — mówił dalej Stenson — właściwie źle się wyraziłem mówiąc o farmie. Zalesie leży w pobliżu Lublina i produkuje buraki cukrowe. Ale oprócz tego są tam wielkie obory, które pana z pewnością zainteresują. Nazywam ten folwark farmą, ponieważ hodowla bydła mlecznego prowadzona jest u mnie na wzór holenderskich farm mlecznych, aż do fabrykacji szlachetnych serów i czekolady włącznie. Przy okazji może zrobimy interes: dostarczę panu na dogodnych warunkach wyłoczyny z buraków. Czytał pan Forresta? Musi pan zatem wiedzieć o rezultatach, jakie daje pasza tego rodzaju umiejętnie przygotowana.

Grey zgodził się chętnie. Farma zaciekała go istotnie, a odbycie drogi luksusowym samolotem było bardzo pociągające.

Wypili kawę, po czyni samochodem Stensona pojechali na lotnisko.

Fokker stał gotowy do lotu. Stenson zaproponował Greyowi pilotowanie. Siedli do czteroosobowej kabiny. Za nimi zajęli miejsca mechanik i pilot. Ten ostatni objaśnił Greyowi armaturę.

Polecieli.

Od samego slarlu Grey wyczuł wysoką klasę maszyny:

Fokker „chodził za ręką” jak pościgowiec. Miętko kładł się w wiraż i podnosił się z nich bez wysiłku. Mocno leżał na burcie, bez poślizgów, płytko reagował na rzucanie, świetnie szedł w górę, szybował jak ptak.

Piękna maszyna — powiedział Grey. — Dwieście sześćdziesiąt na godzinę jak nic. Ile można wyciągnąć na pełnym gazie? — zwrócił się do pilota.

— Trzysta trzydzieści, więcej nie próbowałem.

— Pozwoli pan? — spytał Grey bankiera,

— Proszę; tylko nie urwij pan skrzydeł.

Grey dał pełny gaz. Silnik parł z całej mocy. Strzałka na prędkościomierzu doszła do trzystu trzydziestu.

Pocisnął drążek sterowy. Pęcherzyk powietrza w podłużnej libelli przesunął się w tył. Mimo to nie zniżali się, wypychani w górę nadmiarem wyporu pod skrzydłami. Burty kabiny smagał pęd.

„Trzysta czterdzieści, trzysta pięćdziesiąt, trzysta pięćdziesiąt pięć” — odczytał Stenson.

Strzałka drgała nerwowo. Grey jeszcze bardziej pochylił maszynę. Odczuli lekkie wachlowanie ogona bitego wichrem to z lewa, to z prawa.

— Czterysta — powiedział Grey zmniejszając gaz. — Piękna prędkość. Nie byle kto mógłby pana dogonić.

Po upływie niespełna pół godziny minęli Dęblin, a w kwadrans później zobaczyli Lublin.

— Na lewo — powiedział Stenson. — Tam, między dwoma jeziorami. Lotnisko oznaczone jest kołem z napisem „Zalesie”. —

Grey minął je z wiatrem i zawrócił. Potem pchnął samolot w ślizg. Wyrównał i ściągnął wolno, uważnie, jak zwykle, kiedy lądował na nie znanej maszynie. „Przytarł” równiutko, nie myśląc się ani o centymetr. Dobieg skończył się w samym środku koła.

Poszli oglądać obory i urządzenia majątku. Grey patrzył, uczył się, robił notatki.

— Zapoznam pana z moim administratorem — powiedział Stenson. — Od niego dowie się pan o wiele więcej niż ode mnie.

Administrator, inżynier rolnik Maliszewski, w zwięzłym półtoragodzinnym wykładzie prowadzonym metodą poglądowa zaznajomił gościa z holenderską gospodarką przystosowaną do naszych warunków, a bystry umysł Greya wchłonął te wiadomości „od

jednego zamachu" i zatrzymał raz na zawsze.

Jedną z jego „umiejętności" było właśnie tego rodzaju bezpośrednie i szybkie przyswajanie sobie rzeczy nowych, na które inni tracili mnóstwo czasu.

Za to, uważając jakąś wiadomość za zbyteczną, Grey równie łatwo umiał pozbyć się jej, zapomnieć lub nie przyjąć w ogóle. Powstawały stąd w jego umyśle pewne luki w niektórych dziedzinach i zupełna ignorancja w pewnych zjawiskach czy działach wiedzy i życia. Tak na przykład Grey nie umiałby nic powiedzieć o historii starożytnej, nie miał pojęcia o łacinie i grece, nie interesował się malarstwem i rzeźbą, nie pamiętał tytułów przeczytanych książek. „Na to są podręczniki bibliograficzne", twierdził. Nie znał się także nic a nic na muzyce i nigdy nie mógł pojąć, jak można stworzyć melodię.

Mimo tych braków był człowiekiem bardzo inteligentnym i posiadał pewien nie dający się określić czar towarzyski, którym ujmował zarówno kobiety, jak mężczyzn.

Wieczorem w domu państwa Maliszewskich dał tego dowody, umiejętnie kierując rozmową i bawiąc całe towarzystwo do późnej nocy.

Pan Maliszewski zachmurzył się tylko na chwilę, kiedy Grey, na jego prośbę o przyjęcie syna do „szkoły orląt", bez ogródek oświadczył, że musi go wprzód „obejrzeć" i że jeżeli nie uzna go za odpowiedniego, odmówi.

— Zobaczysz go pan jutro — powiedział inżynier trochę urażony. — Nie wątpię, że zostanie asem.

Możliwe — odparł Grey obojętnie i zmienił temat rozmowy.

Maliszewski czuł się dotknięty tym chłodem, Ale kiedy Grey zaczął chwalić administrację Zalesia, udobruchał się prędko i zapomniał o rezerwie gościa w poruszanej sprawie.

Grey za to pamiętał każdy szczegół rozmowy i mimo woli uprzedził się do nie znanego kandydata.

Chłopcy, o których rodzice mają zbyt dobre mniemanie, często są niewiele warci — myślał, — Chociaż trafiają się wyjątki.

Uprzedzenie to wynikało nie tyle z praktyki, ile z usposobienia Greya, który gardził protekcją i nie znosił żadnego wpływu osób postronnych na wybór swoich uczniów. Postanowił jednak być wobec młodego Maliszewskiego obiektywny i nie dać opanować się przypadkowemu wrażeniu.

Nazajutrz wstał wcześniej i przed śniadaniem pojechał konno na spacer. Zapędził się dość daleko i kiedy wracając ujrzał dwór w Zalesiu, dochodziła dziesiąta. Mimo to przejeżdżając koło lotniska zapagnął! jeszcze obejrzeć przenośny brezentowy hangar stojący na skraju, tuż nad jeziorkiem. Podjechawszy bliżej zsiadł z konia i przywiązał go do jednego ze słupków podtrzymujących namiot. Już miał wejść do środka, kiedy usłyszał dochodzące z wnętrza głosy. Mimo woli zaczął nasłuchiwać.

Przedmiotem rozmowy był samolot Stensona. Jeden z ukrytych w hangarze ludzi krytykował, drugi bronił maszyny.

— Sześćset pięćdziesiąt koni to bardzo nieekonomiczne. Znam ten silnik: osiemnaście cylindrów w trzech rzędach. Zjada dziewięćdziesiąt kiło benzyny w godzinę lotu, przy czym może przelecieć dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

— Tak, ale za to na pełnym gazie można zrobić czterysta, zużywając wszystkiego sto kilo paliwa.

— Długo byś latał na pełnym gazie!

— Długo, nie długo. Sto osiemdziesiąt godzin, bez remontu. To piękny silnik. Gdybym miał tyle pieniędzy, ile ma Stenson, kupiłbym właśnie takiego Fokkera.

— A ja kupiłbym polski R— XXI z dwustokonnym silnikiem Skody. Średnia prędkość

trzysta na godzinę.

— I latałbyś półtora roku, a potem musiałbyś kupić nowy silnik.

— Akurat! Latałbym trzy lata, a nawet kupiwszy nową maszynę, jeszcze zrobiłbym w porównaniu z tobą kilkanaście tysięcy oszczędności. Masz pojęcie, ile kosztuje utrzymanie takiego luksusowego samolotu?

— Ale za to co za przyjemność i wygoda w podróży! Leciałem raz z pilotem pana Stensona. Jak ta maszyna leży w powietrzu!

— A latałeś na R— XXI?

— Nie.

— No, to nie wiesz, co to jest maszyna.

— Ja nie wiem?!

Zaczęli się spierać, fachowo oceniając zalety znanych samolotów, Grey musiał przyznać, że orientują się doskonale, tak w różnorodnych właściwościach typów, jak i w teorii wykonywania ewolucji powietrznych.

W tej samej chwili płachta namiotu uchyliła się i z ciemnego wnętrza wyszli dwaj chłopcy w szkolnych bluzach. Byli tak zajęci dyskusją, że nie zauważyli ani Greya, ani jego wierzchowca.

Dobrze zbudowany, zamaszysty zwolennik Fokkera był wybitnie podobny do administratora Zalesia; dużo niższy, ale nie mniej zgrabny entuzjasta R— XXI musiał być jego szkolnym kolegą i przyjacielem. Szli trzymając się pod ramię i porzuciwszy dyskusję zastanawiali się, jak spędzą wakacje, które w tym roku z jakichś niewiadomych Greyowi przyczyn wypadły o kilka dni wcześniej niż zwykle.

Grey nie chciał im przeszkadzać i pozostał przy hangarze. Potem, obejrzawszy konstrukcję składanych belek tworzących lekkie rusztowanie namiotu, dosiadł konia i stępa dojechał do dworu.

W podwórzu wyrwał go z zamyślenia głos inżyniera, który wyszedł na jego spotkanie,

— Jakże się panu udał spacer? Pewnie pan głodny?

'— Jak wilk — powiedział Grey, ściskając jego rękę i zsuwając się z siodła.

— Dobrze, że pan wrócił. Chodźmy na śniadanie. Bolek przyjechał z kolegą i zaraz tu przyjdą. Muszę ich panu przedstawić: obaj nie wiedzą jeszcze, jakiego pilota mamy w Zalesiu.

Grey skrzywił się, jak zwykle kiedy mówiono mu komplementy.

— Jak się nazywa kolega pańskiego syna? — zapytał.

— Kazimierz Dymidecki.

Grey przystanął, wyjął notatnik i zapisał: „3. Bolesław Maliszewski. 4. Kazimierz Dymidecki”.

Potem bystro popatrzył na administratora.

— Obaj interesują się lotnictwem — zauważył.

— Marzą tylko o tym. Po całych dniach siedzą na lotnisku, zaniedbując naukę. Znają na pamięć historię wszystkich pańskich rajdów. Czczą pana jak półboga.;

Grey niecierpliwie machnął ręką.

— Mniejsza o mnie. Przyjmę ich obu. Niech im pan to powie, proszę. Dwudziestego piątego powinni być na miejscu. Nie, nie, proszę mi nie dziękować. Doprawdy, to nie żadna grzeczność z mojej strony. Upolowałem ich przy Fokkerze; słyszałem, jak rozmawiali; może da się z nich coś zrobić, bo ja wiem?

Czas do obiadu upłynął szybko i wesoło. Chłopcy nie opuszczali Greya ani na chwilę, zasypując go pytaniami o przyszłą naukę, o Siedliska, samoloty i kolegów ze „szkoły orląt”.

Zaledwie mogli uwierzyć w szczęście, jakie ich spotkało.

Grey postawił jeden warunek: powakacyjne poprawki z języków i literatury muszą być zdane; inaczej — kwita z następnych wakacji w Siedliskach, a przecież kurs pilotażu potrwa dwa sezony..

Chłopcy byli pełni dobrych myśli: poprawki zdadzą na pewno, byle pozwolono im latać.

Obiecywali sobie w duchu niezwykle emocje przy odlocie Stensona, wiedząc, że Grey będzie prowadził Fokkera do Warszawy.

— Zobaczysz, Kazik, jakiego machnie amerykana⁵ przy starcie — przewidywał Maliszewski.

— Co amerykana! Immelmana⁶ na stu metrach! On pewnie inaczej nie startuje.

— Albo ci zrobi coś takiego, że sam nie będziesz wiedział, jak i co — nie bardzo ściśle wyraził swoją myśl przyszyły as lotnictwa.

Ale Grey zawiódł pokładane w nim nadzieje. Nie lubił popisywać się bez potrzeby, zwłaszcza wtedy, gdy na pokładzie miał pasażerów. Wystartował normalnie, pozostawiając maszynę w niezbyt ostrym wznoszeniu się nadmiar mocy zapewniający stuprocentowe bezpieczeństwo.

— Gdybym był takim pilotem jak on — powiedział Kazik — nie marnowałbym nadmiaru mocy na płaski start.

— Ani ja — zgodził się Bolek.

A Grey, siedząc za sterem Fokkera i przeczuwając, jakiego rozczarowania był powodem, myślał z uśmiechem, że może kiedyś ci zapalczywi chłopcy z lekceważeniem popatrzą na pilota, który zechce popisać się akrobacją — wbrew przyjętym zasadom — na samolocie pasażerskim.

W ciągu następnych dwóch dni szczęście opuściło Greya. Włączył się pieszo i jeździł samochodem w poszukiwaniu dalszych „maleńkich przygód”, ale przygody omijały szlak jego wędrówki. Kilkakrotnie zdawało mu się, że już jest na tropie, lecz po bliższym zbadaniu sytuacji dochodził do wniosku, że się pomylił. Chłopcy, których teraz spotykał, nie odpowiadali jego wymaganiom, nie posiadali żadnych cech specjalnych, po których Grey poznawał swoich „asów”.

Ich ruchy nie miały tej zdecydowanej pewności, kiedy grali w palanta, biegali, rzucali do celu kamieniami i kopali piłkę. Ich rozmowy nie dotyczyły tego, czego Grey oczekiwał. A gdy wreszcie trafił na kogoś odpowiedniego, wynikały przeszkody nie do przezwyciężenia ze strony opiekunów i rodziców, przeszkody, wobec których nawet Grey musiał kapitulować.

Nie zniechęcał się mimo to i szukał dalej. Zapuszczał się w senne uliczki małych miasteczek, odwiedzał szkoły i parki miejskie, odbywał spacerów nad rzekę, dokąd zwały się go wesołe okrzyki kąpiących się, łąził pomiędzy tłumem na placach targowych, wdawał się w rozmowy z nauczycielami i młodzieżą, bywał na zawodach sportowych, szperał w podwórzach domów, wolno przejeżdżał przez wsie, zaglądał na jarmarki, zatrzymywał się w dworach i plebaniach...

„Pech — zdecydował w końcu. — Musi sam minąć”.

I ostatnie popołudnie spędził nad książką, nie ruszając się z hotelu i pałac fajkę,

⁵ Amerykan (właśc. start amerykański) — start z ostrym podciąganiem zakrętem o 180 stopni zaraz po oderwaniu się samolotu od ziemi.

⁶ Immelman (właśc. zakręt Immelmana, zawrót) — manewr polegający na wykonaniu kolejno półpełni i półbeczki. Nazwa pochodzi od nazwiska niemieckiego asa lotniczego z I wojny światowej, który pierwszy wykonał tę ligurę akrobacji w walce powietrznej.

Łany zielonych zbóż przegarnia ciepły oddech wiatru. Kładą się z sypkim chrzęstem długą, gładko rozczesaną lalą, gdzieniegdzie splamioną czerwonymi kropelkami maków i niebieskimi chabrów. A potem nagle zielona fala urywa się jak odcięta nożem i po obu stronach drogi uciekają zielono— brunatne bruzdy kartofli. Czasem zapachnie słodko w rozgrzanym powietrzu i rzuci się w oczy żółte pole łubinu, aby ustąpić w mgnieniu oka nadlatującym z dala zagonom seradeli, gryki i koniczyny. Czasem, mignie pas lnu, rozłoży się szeroko bagnista łąka, zaszeleści olszyna i znowu rozfaluje się łąn żyta. Potem za jakimś zakrętem staje przy drodze ciemny, wilgotny las i gonią się czerwone pnie sosen. Gdzieniegdzie jak pociągnięcie kredy po czarnej tablicy błyska pień zalotnej brzozy, otwiera się nagłym uskokiem uśmiechnięta w słońcu polanka albo przemyka puszysty młody zagajnik.

Grey pędzi prosto przed siebie. Wiatr targa mu włosy, żartobliwie szarpie kołnierz skórzanej kurtki, zabiera spod kół samochodu długi ogon kurzu i kręci nim w powietrzu, aby wreszcie rzucić go na ziemię i uczepiwszy się płóciennego pokrowca na tylnym siedzeniu zagrać na nim wariacki werbel.

Grey śmieje się z szaleństw wiatru i wali naprzód. Musi przecież zdążyć przynajmniej na drugą na obiad, bo już jest głodny, a dochodzi dwunasta.

Grey jedzie swoim małym Fiatem do Krakowa. Jest w świetnym humorze: lista jego uczniów powiększyła się wczoraj, po dwudniowej przerwie, o trzy nazwiska.

Jednego z chłopców upolował na boisku piłki nożnej. Z kapitalnego podania przez lewego łącznika (z odległości dwudziestu metrów) chłopak strzelił gola nie do odbicia, w sam róg bramki, i nawet nie mrugnął okiem, podczas gdy publiczność wyła z zachwytu na trybunach.

Dwóch innych Grey wyłowił ze szkolnego podwórza w czasie przerwy południowej. Jeden z nich puszczał swój latający model samolotu; drugi z podziwu godnym wyczuciem równowagi spacerował po wierzchołkach sztachet, dopóki któryś z wychowawców nie przerwał tych cyrkowych popisów.

Zajęło to, licząc od wyjazdu z Warszawy, trzy dni. Grey musiał się śpieszyć, jeżeli chciał zebrać na czas komplet. Liczył na swoje szczęście, które powinno wrócić po okresie pechowym.

Rzeczywiście w Krakowie powiodło mu się zaraz na wstępie: przyjechał na drugą i zamierzał pójść na obiad, ale mijając jakiś zakład fryzjerski i przypadkiem rzuciwszy okiem w lustro zaledwie poznał sam siebie, taki był zakurzony i brudny.

Trzeba się wprzód wykapać — pomyślał i skręcił w stronę plaży wiślanej.

Zostawił wóz przed jedną z pływalni i wszedł do środka; Szybko rozebrał się, wciągnął czarny trykot i badał wzrokiem odskocznie w kilku kondygnacjach umieszczone na wieży wznoszącej się nad samym brzegiem wody:

Po krótkim wahaniu wybrał najwyższą. Krótka, gruba deska dawała twarde odbicie, najlepiej odpowiadające Grekowi, który prawie całą siłę rzutu wzwyż czerpał z mięśni nóg, nie z gibkości trampoliny.

Wszedł po drabince na platformę i posuwając się wolno na palcach ku końcowi wysuniętej odskoczni badał jej sprężystość. Stał wreszcie na samym końcu, tak aby wielkie palce nóg wystawały poza krawędź, i czekał na wolne do skoku miejsce.

Na niższych pomostach zauważono jego przygotowania. Odskokcznia, na której stał, wzniesiona była o jakieś osiem metrów nad poziom wody i widocznie mało kto z niej skakał, bo obecność Greya na końcu deski wzbudziła zainteresowanie.

Ostatni z kąpiących się w pobliżu odpływał szybko, kiedy Grey poczuł, że ktoś za nim stoi. Nie miał już czasu obejrzeć się, bo mógłby stracić sposobną do skoku chwilę. Skupił całą uwagę, wyciągnął ramiona wzdłuż ciała dłońmi na zewnątrz, pochylił się w przód, lekko zgiął nogi w kolanach stojąc stopą na trampolinie i nagle odprężył się, wyprostował, odbił się jednocześnie rzutem kolan i wspięciem na palce, wygiął się w krzyżu i śmignął w górę.

Odskoknia warknęła pozbawiona ciężaru. Grey zawisł przez chwilę w powietrzu, rozkrzyżował ramiona, opisał łuk na tle błękitnego nieba i runął pionowo w dół. Tuż nad gładką powierzchnią wody, zobaczywszy przez mgnienie oka swoje odbicie, złożył ręce nad głową.

Chlusnęło.

Bryzgi wody poleciały na wszystkie strony. Nie zdążyły jeszcze opaść, kiedy głowa Greya ukazała się na powierzchni. Płynął crawl⁷, długimi uderzeniami spychając pod siebie wodę. Potem odwrócił się, zmierzył wysokość skoku i miejsce, w którym się zanurzył.

Nieźle jak na pierwszy raz — pochwalił się w myśli. Zauważył, że widzowie dużo wyżej oceniają jego skok. Usłyszał przychylny szmer uznania i podziwu. Uśmiechnął się; poza lataniem i jazdą konną, w których był przeważnie bez konkurencji, lubił czasem wzbudzać podziw. Trzeba poprawić — pomyślał. Raz jeszcze zmierzył wzrokiem wysokość skoku. Mocniejsze odbicie i większe wygięcie w krzyżu — sprecyzował poprawkę.

W lej chwili spostrzegł na platformie posiać innego pływaka, który gotował się do skoku. Młody, opalony na brąz chłopak już pochylał się nad przepaścią.

Źle stoi — pomyślał Grey. — Uderzy nogami o wodę.

Rozkrzyżowana sylwetka chłopca spłynęła pionowo w dół. Ale na metr przed zetknięciem z powierzchnią wody linia skoku załamała się do wewnątrz.

Chlusnęło.

Uda i nogi klasnęły z pluskiem, pobudzając do śmiechu patrzących.

Po chwili chłopiec wypłynął i tuż za Greyem zaczął powtórnie wspinać się na wieżę. Prawie jednocześnie stanęli na pomoście.

— Może pan objaśni mi ten. skok — powiedział chłopiec rozcierając zaczerwienione od uderzenia łydki. — Po raz pierwszy odważyłem się skakać z tak wysoka.

Grey chętnie udzielił mu objaśnień.

— Mój skok też nie był zupełnie poprawny — dodał. — Niech pan uważa, teraz skoczę dobrze.

Rzeczywiście tym razem wyleciał w górę jak z procy i opisawszy łuk spadł pod ostrym kątem do wody.

Chlusnęło.

Ale teraz ciało Greya nawet przez mgnienie oka nie ukryło się całkowicie pod wodą. Głowa wychyłała, prawie jednocześnie z lecącymi na wszystkie strony bryzgami. Głębokość zanurzenia mogła wynosić pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centymetrów:

Skok nagrodzono brawami. Grey, płynąc na wznak, dziękował ruchem dłoni. Polem spojrzął na chłopca u szczytu wieży.

— No, jazda!

Chłopak wyprężył się i odbił. Spadał pionowo.

— Wygiąć się w krzyżu! — zawołał Grey, Lecący usłyszał i zorientował się. Chlusnęło.

— Brawo — powiedział Grey.

— Usłyszałem, jak pan wola. Już teraz wiem, dziękuję.

⁷ Crawl — jeden ze stylów pływania.

— Nie skacz pan dziś więcej. Jutro pójdzie jeszcze lepiej — powiedział porucznik.

Wyszli z wody i zaczęli się ubierać. Chłopiec pierwszy był gotów. Stał nad brzegiem i oparł się o poręcz. Grey wyszedł zaraz za nim. Chciał mu coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle opodal rozległ się przeraźliwy krzyk. Spojrzeli obaj w tamtą stronę.

Ktoś tonął. Nad powierzchnią wody ukazała się na chwilę ręka i znikła. I z tą samą szybkością orientacji, z jaką podczas skoku chłopiec w locie poprawił wygięcie krzyża, teraz rzucił się na ratunek.

Greyowi jednak zaimponowało co innego: przed skokiem do wody chłopak błyskawicznie zsunął z ręki zegarek w elastycznej sprężynowej bransoletce i wyjął portfel, z bocznej kieszeni sportowej marynarki, po czym wręczył oba te przedmioty porucznikowi. Dopiero wtedy skoczył.

Zdał egzamin z orientacji i przytomności umysłu — pomyślał Grey zapisując w kilka minut później jego nazwisko na liście swoich uczniów.

Zjadłszy obiad wyszedł powłóczyć się po ulicach miasta. Po godzinnej włóczędze znalazł się na Krowodrzy, między brudnymi, odrapanymi zaułkami. Stał pod jakąś rudera, aby nałożyć fajkę i rozejrzał się dokoła.

Nie, nie była to chyba dzielnica, z której udałoby się coś wyłowić dla szkoły. W mrocznych podwórzach, zaśmieconych uliczkach i smrodliwych bramach wystawały jakieś podejrzane typy z niedopałkami papierosów w ustach. Rozczochrane dzieci grzebały w cuchnących ściekach, jakiś mały Żydek niósł tacę z ciastkami, nad którą unosiły się roje much. W ciepłym powietrzu snuła się nuda.

Nagle naprzeciw Żydka wyrosła barczysta postać jakiegoś łobuza, który mu zastąpił drogę. Żydek usunął się na bok. Ale milczący napastnik zrobił krok w tę samą stronę. Chłopiec zbladł. Biegające wystraszone oczy szukały przejścia. Chciał ominąć żywą przeszkodę w lewo. Nie było sposobu: noga w podkutym zabłoconym bucie dotykała parkanu. Usiłował przejść na drugą stronę ulicy. Na próżno: przed sobą miał zawsze rozpartego szeroko łobuza z rękami w kieszeniach spodni.

Stał bezradnie i patrzył prosząco w jego złośliwie przymrużone oczy.

Opryszek śmiał się przekornie.

Zza węgła wychyliło głowy jeszcze kilku chłopaków. Podbiegali cichaczem z tyłu, aby sięgnąć po ciastka. Żydek trząsał się nerwowo. Chciał krzyknąć.

— Stul pysk! — mruknął drab.

Wyciągnął rękę z kieszeni i z wahaniem wybierał ciastko.

Wtem na parterze naprzeciw szczęknęło otwierane okno. Zanim Grey miał czas spojrzeć w tamtą stronę, ktoś skoczył na chodnik.

Banda chłopaków znieruchomiała w oczekiwaniu. Dłoń ich prowodyra zawisała w powietrzu nad tacą. Żydek wymknął się bokiem i już po chwili pędził co sił przed siebie.

Na chodniku stał mały, krępy chłopiec, zebrany w sobie, przyczajony do skoku. Odrzucił w tył głowę i korzystając z wrażenia, jakie wywarło jego nieoczekiwane ukazanie się, wpadł na dryblasę jak torpeda.

Impet uderzenia zbił obu z nóg, ale atakujący pierwszy poderwał się z ziemi. Spojrzał na pochyłonych w biegu łobuzów, jednym rzutem oka ocenił sytuację, postawił stopę na plecach gramolącego się z ziemi, odbił się i chwycił ręką krawędź parkanu. Przez moment wisiał wierzgając nogami, całym wysiłkiem mięśni wyciągnął się w górę, przerzucił się na drugą stronę i znikł za płotem.

Rzucili się do półprzymkniętej bramy. Dryblas ryczał jak ranny słoń Grey ruszył za nimi, aby obronić chłopca.

Zaatakował jak myśliwiec w powietrzu — przemknęło mu przez głowę.

Ale chłopak nie potrzebował obrony. Grey zobaczył go na stosie węgla, który leżał po drugiej stronie płotu w obszernym podwórzu jakiegoś składu. Stał i śmiał się z przeważającej liczby napastników, którzy otoczyli go koleni.

Nagle jak piorun spadł w sam środek bandy. Prawidłowo, z rozmachem wymierzony „sierpowy” powalił jednego z łobuziaków na ziemię. Resztę stratował słoniowaty waga—bunda chcąc dosięgnąć śmiałka, który był dla niego nieuchwytny.

Dopał go pod samym płotem. Lewą ręką chwycił za kołnierz, a prawą zwiniętą w pięść zadał straszliwy cios, wymierzony w głowę. Ale chłopak orientował się szybciej: uchylił się zręcznie i jednocześnie pchnął napastnika z tyłu w kark.

Pięść tamtego trafiła w twarde deski parkanu. Rozległ się ryk bólu, a zwinny obrońca Żydka wykręcił się na czworakach między nogami dryblas, jak burza przerwał otaczający go łańcuch pozostałych i przemknąwszy obok Greya stanął tuż przy bramie.

Rzucili się za nim rozwścieczeni. Pierwszemu z nich podstawił nogę; łobuz runął jak długi. Dwóch następnych przewróciło się na tej przeszkodzie. Ale dryblas, który sunął tym razem ostrożniej, uniknął tego losu. Z wykrzywioną twarzą, czerwony z gniewu, sadził ogromnymi susami za uciekającym.

Chłopiec widocznie dobywał ostatka sił. Zakrwawiona dłoń włóczęgi, już miała go dosięgnąć. Grey przygryzł wargi. Wtem chłopiec potknął się i upadł, a na nim zrulował ścigający.

Porucznik zaklął. Był dość daleko, mógł się spóźnić z pomocą. Pozostali patrzyli, co będzie dalej, stojąc na środku jezdni. Byli teraz pewni wygranej.

Omylili się, a Grey odetchnął: upadek chłopca wcale nie był przypadkowy. Smyk zerwał się natychmiast, zmierzył odległość od reszty prześladowców i wsiadł na głównego wroga. Drobne, ale twarde pięści zabębniły po wykrzywionym pysku. Dryblas kwiczał i prosił o litość. I nagle cała sympatia bandy łobuzów znalazła się po stronie zwycięzcy. Śmiali się z pokonanego i już zaczęli dogadywać z daleka:

— W ucho go, a fest!

— Wał zdrowo, nie żałuj! — — Dobrze ci, Maniek, co?

— Rym w klawiaturę!

— Pod grdykie!

Zwycięzca opamiętał się. Przestał bić, wstał, poprawił ubranie. Splunął przez zęby.

— A wam co?! — burknął.

Usunęli mu się z drogi. Tylko jeden z nich parsknął śmiechem.

— Tee! — powiedział groźnie chłopiec.

— Mnie tam mięta: ja obserwator — usprawiedliwił się pojednawczo przycichły nagle wyrostek.

Poskromi ciel bandy przeszedł wolno obok niego i znikł w bramie. Grey poszedł za nim. Wyobrażał go sobie w powietrzu walczącego na myśliwskiej maszynie przeciw całemu patrolowi nieprzyjaciół.

Mieliby z nim nie lada kłopot — pomyślał z uśmiechem.

Chłopiec minął bramę i wszedł w podwórze. Nad domem przelatywał samolot wojskowy. Grey spojrzał w górę: P— 7, zdarty w ciasnej pętli, kładł się na plecy błyskając w słońcu lakierem skrzydeł. Przerzucił się krótkim łukiem po niebie i wyszedł z gwizdem w dół, aby zniknąć za szczytem domu.

Oczy chłopca ścigały go z zachwytem. Westchnął i zobaczywszy Greya z zadartą głową uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

— Ładnie, co? — zagadnął śmiało. Grey skinął głową.

— Okropnie trudno musi być robić takie kozły w powietrzu — ciągnął dalej chłopiec. — Pan latał kiedy?

— Latałem.

— Ja raz latałem nad lotniskiem z jednym sierżantem w Rakowicach. Pyszna rzecz, prawda?

— Pyszna — zgodził się Grey. — I wcale znów nie taka trudna.

— Tak pan myśli? A może pan też jest pilotem? — spojrzał na niego badawczo i zobaczywszy w klapie marynarki lotniczego sokoła, dodał:

— Pan pewnie lata na cywilnych liniach Lotu?

Grey wyjaśnił mu wtedy, czym się zajmuje. Chłopiec dostał wypieków na twarzy.

— Niech mnie pan weźmie do swojej szkoły — powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. — Jestem mały, ale bardzo silny. Mam już piętnaście lat. Byłem w przysposobieniu wojskowym, umiem strzelać i walczyć na bagnety, umiem obchodzić się z karabinem maszynowym i boksować się.

— To ostatnie chyba najlepiej?

— Pan widział, jak biłem się z andrusami? Myśli pan pewnie, że jestem taki sam jak oni, i dlatego mnie pan nie weźmie...

— Przeciwnie, wezmę cię. Przyjedź za cztery dni. Masz na drogę? Bilet kosztuje kilkadziesiąt złotych.

— Mam.

— Rodzice pozwolą?

— Oo, pozwolą z pewnością! Mój kuzyn jest już sześć lat pilotem i nic mu się nigdy nie stało. Sierżant Dymek, może pan słyszał? Zawsze mi go ojciec stawia za przykład.

Grey nie znał sierżanta Dymka. Za to Dymek znał Greya. Wyszło to na jaw, kiedy nowo zapisany uczeń otrzymał dokładny adres „szkoły orląt”.

— On o panu tyle razy mówił... — powiedział.

Grey uśmiechnął się. Stanowczo był popularniejszy niż przypuszczał.

Jeszcze tego samego popołudnia Grey znalazł dwóch nowych chłopców na lotnisku rakowickim. Przywędrowali z książkami, aby uczyć się, jak co dnia zresztą, ale nauka nie szła im wcale.

— Wynik egzaminów jest bardzo wątpliwy — przyznali ze smutkiem. — Za późno teraz brać się do roboty. Czas przeznaczony na naukę pochłonęła obserwacja lotów.

— Nigdy nie jest za późno — oświadczył Grey i otrzymawszy solenną obietnicę, że zdadzą, zapisał ich nazwiska pod liczbą dziesięć i jedenaście.

Odwiózł ich samochodem do miasta, zjadł wcześniej kolację i poszedł spać,

Wyjechał z Krakowa o czwartej rano, kierując się na północ, przez Częstochowę i Kalisz, do Poznania.

Mały Fiat równą pracą silnika śpiewał wesołą, rytmiczną pieśń o szybko mijanej drodze. Znów niesforne werble na pokrowcu tylnego siedzenia grał ciepły, psotny wiatr. Znów kłaniały się Greyowi korony drzew i miękko odkładały się jedna za drugą fale zbóż. Ogon pyłu wypadał spod kół i rżał sygnał samochodu; pneumatyki pruły po szosie, zbliżał się i oddalał tor kolejowy biegnący po drabinkach podkładów.

Z daleka Grey zobaczył długi pociąg towarowy jadący wolno w tym samym co on kierunku. Wyprzedziwszy już z dziesięć wagonów i lor naładowanych drewnem, nagle zauważył coś niezwykłego: na jednej z platform, za stosem desek przysiadł mały chłopiec w skromnym sportowym ubraniu i starał się ukryć przed poszukującym go kolejarzem, który przełaził właśnie z sąsiedniego wagonu.

Kolejarz był widocznie rozgniewany i zirytowany. Twarz miał czerwoną, kłął i wymyślał, starając się jak najprędzej odnaleźć pasażera, który podróżował na gapę.

Grey z zainteresowaniem oczekiwał dalszego rozwoju wypadków.

Zwolnił i jechał teraz równoległe z pociągiem.

Tymczasem konduktor przeszukiwał lorę. W ostatniej chwili, kiedy miał odnaleźć kryjówkę chłopca, ten wymknął się bokiem i śmiało postawił nogę na zderzakach, aby przejść na następną platformę.

— Hop, hop! Panie dyrektorze! — zawołał ze śmiechem.

— Spadniesz, smarkaczu — powiedział kolejarz mimo woli zatrzymując się, aby mu dać czas na przebycie niebezpiecznej przestrzeni.

— Niech się pan nie martwi o mnie! — odkrzyknął chłopiec.

Już był na nowym stosie desek i biegł szybko w stronę ostatnich wagonów. Konwojent podążył za nim zachowując jednak wszelkie środki ostrożności.

Przebyli w ten sposób kilka platform. Wreszcie na drodze pasażera bez biletu stanęła dość trudna przeszkoda w postaci wysokiego krytego wagonu. Chłopiec obejrzał się; dzieliła go od kolejarza przestrzeń dwóch małych platform z miałem węglowym. Stanął na krawędzi lory i uważnie badał wzrokiem gładką ścianę krytego wozu. Nie była zaopatrzona w klamry i stopnie ułatwiające dostęp na dach. Za to z boku zawieszona na dwóch hakach kołysała się mała drabinka.

Konwojent przechodził już między buforami. Widząc wahanie zbiega był pewny, że go teraz dogoni. Ale chłopiec działał szybciej. Nie tracąc zimnej krwi położył się na platformie, prawą ręką oparł się na zderzakach i zawisnąwszy całym ciałem nad pędzącymi w dole podkładami toru, sięgnął po drabinkę.

Jeżeli zdoła ją zdjąć z haków, może się to źle skończyć — pomyślał Grey z niepokojem. — Ciężar pociągnie go za sobą.

Ale chłopiec zrozumiał to również. Zamiast wysilać się na utrzymanie jedną tylko ręką drabinki, obrócił ją na bokach jak na zawiasach do góry, tak że leżała oparta na nich bokiem. Potem, przesuwając się w tył, zaczął ciągnąć ją za sobą. W ten sposób cały ciężar spoczywał na hakach, a dopiero kiedy chłopiec uzyskał szerszą podstawę i wygodniejszą pozycję — jednym zdecydowanym ruchem przeniósł zbawczą drabinkę na platformę.

W tej chwili kolejarz znalazł się w połowie długości lory. Jeszcze trzy, cztery kroki i dosięgnie chłopca.

Greyowi żal się zrobiło małego pasażera, który tak dobrze umiał sobie radzić. Postanowił dopomóc mu tym razem.

— Panie konduktorze! — krzyknął zjeżdżając na sam skraj szosy biegnącej tuż obok toru. — Hej, panie konduktorze!

Kolejarz zatrzymał się i spojrzał na kierowcę, który wymachując ręką dawał mu tajemnicze znaki.

— Czego pan chce?

Grey mruknął coś pod nosem, wskazując lokomotywę.

— Jak się nazywa najbliższa stacja? — zapytał śledząc poruszenia chłopca, który skorzystał z odwróconej uwagi swego prześladowcy i wspinał się po drabinie opartej o dach wagonu.

— Do diabła ze stacją — burknął konwojent widząc, że zdobycz wymyka się znowu.

— Stacja nazywa się Pilichowo — zawołał z dachu mały podróżny. — Hop, hop, panie dyrektorze! — rzucił w stronę urzędnika.

Ten już był na drabince. Wchodził ostrożnie, bo wagony rozkołysane na spojeniach szyn

nie dawały pewnego oparcia. Mały urwis bynajmniej nie śpieszył się z dalszą ucieczką.

— Jaka szkoda, że nie zdążyłem zabrać panu drabinki — zauważył z żalem.

— Poczekaj, smarkaczu! — sapnął kolejarz.

— Nie mam już czasu — brzmiała odpowiedź — jest pan zbyt blisko. Do zobaczenia na następnej platformie.

Przebiegł po dachu i opuściwszy się na rękach, skoczył na lorę. Był zwinny jak kot. Od razu stanął na równe nogi i rozejrzał się w nowej sytuacji. Wielka czteroosiowa lora zastawiona była maszynami rolniczymi i przykryta kilku plandekami z brezentu. Następny wóz był odkryty i napełniony węglem, a za nim znajdował się już ostatni wagon brankardowy z drewnem.

Wszystko to Grey zauważył równie szybko jak chłopiec jadący na gapę. Nieuniknione zakończenie pogoni zbliżało się szybko. Nastąpiło jednak szybciej jeszcze, niż Grey przypuszczał.

W chwili gdy chłopiec ukrył się między zwisającymi płachtami brezentu, a ścigający go konduktor ukazał się na dachu wagonu poprzedzającego lorę, z brankardu wyjrzał inny urzędnik kolejowy i zauważywszy, co się dzieje, pośpieszył z pomocą koledze odcinając chłopcu odwrót.

Podczas kiedy obaj kolejarze przeszukiwali platformę z maszynami, Grey zbliżył się bardziej jeszcze do pociągu. Szosa biegnąca teraz już przy torze i niczym od niego nie oddzielona, o jakiś kilometr dalej skręcała nagle w bok, aby ominąć wzgórze, które tor rozcinał pośrodku ciasnym przekopem.

Tu go złapią — pomyślał porucznik z mimowolnym żalem.

Mijały jednak minuty, a chłopak pozostawał nie odkryty. Zaszły się gdzieś między plandeki i siedział jak mysz pod miotłą.

Zakręt szosy zbliżał się z każdą sekundą. Grey zaczął zwalniać. Nagle poczuł gwałtowne wychylenie samochodu w lewo, jakby na ostrym wyboju pękł resor. Zahamował, skręcił w bok i dopiero teraz obejrzał się za siebie.

Na lewym stopniu stał chłopiec z towarowego pociągu.

— Wyskoczyłeś? — zapytał Grey.

— Nie można było inaczej. Omal mnie nie złapali. Bardzo pana przepraszam. Myślę, że nie uszkodziłem panu samochodu.

— Nie. Ale teraz zmiataj, pókiś cały. Nie wstyd ci jeździć bez biletu?

— Na towarowe pociągi nigdzie nie ma biletów — zauważył chłopiec rzeczowo. — Dziękuję panu, serwus!

Grey pojechał dalej. Koło południa zatrzymał się w jakimś miasteczku, aby zjeść obiad. Jakież było jego zdziwienie, kiedy drzwi do reslauracji otworzył przed nim uprzejmie ten sam urwis, który przesiadł się w biegu z pociągu do jego wozu.

— A ty skąd się tu wzięłeś ?!

— Przyjechałem samochodem.

— Jakim znów samochodem?

— Pańskim naturalnie. Z tyłu, na bagażniku. Zupełnie dobrze się jedzie.

Grey roześmiał się.

— Pan idzie na obiad? — spytał chłopiec.

— Tak.

— Jeżeli pan pozwoli, pójdę z panem. Od świtu jestem w drodze i jeść mi się chce porządnie.

— Obiady też zapewne jadasz na gapę?

— O nie. Mam pieniądze.

Weszli do środka i usiedli przy wolnym stoliku. Grey był zaciekawiony osobą swego towarzysza. Chłopak, w przeciwieństwie do nieco zaniedbanego wyglądu, wyraża! się poprawnie, zdradzając inteligencję i obycie o poziomie dużo wyższym, niż Grey z początku przypuszczał, uważając go za włóczącego się urwipolcia.

— Każdy urządza sobie wakacje, jak umie — mówił chłopiec. — Ponieważ podróż jest dla mnie najprzyjemniejszym spędzaniem czasu, więc podróżuję. Pieszko, pociągami, wozem, statkiem i samochodem. W czasie roku szkolnego zbierałem tyle pieniędzy, że wystarczy mi ich na jedzenie przez te dwa miesiące. Nie mam jednak na podróż i wobec tego podróżuję za darmo. Nie zajmuję przecież nikomu miejsca. Moje podróże nie kosztują nic ani mnie samego, ani właścicieli środków komunikacji, z których korzystam. Chodziłbym chętnie piechotą, ale w ten sposób bardzo niewielką przestrzeń można przebyć. Niewielu też przygód można doznać w powolnym ruchu na własnych nogach. Tymczasem gdy podróżuję bez biletu, następuje się mnóstwo bardzo zabawnych zdarzeń. To jest dopiero prawdziwy sport: nie dać się złapać. Zupełnie jak w kinie. Daję słowo — to bardzo Przyjemne.

Grey uśmiechnął się. Rozumiał doskonale tego małego włóczycija i nie miał mu za złe, że korzystał z bezpłatnych Podróży wbrew rozlicznym przepisom o ruchu pasażerskim.

Po skończonym posiłku chciał zapłacić za chłopca.

Mały podróżny gorąco zaprotestował.

— Jeżeli zechcę, pojedę dalej pańskim samochodem na gapę, to co innego.

— Wezmę cię z sobą wobec tego — powiedział Grey,

— A dokąd pan jedzie?

— Przed siebie.

— To lam, dokąd ja — ucieszył się. — Widzę, że pan mnie rozumie: przemierzać nieskończenie długie drogi i gościńce, czuć na policzkach pęd wiatru, zostawiać daleko za sobą wlokące się noga za nogą wozy i ludzi. Jechać dokądkolwiek, nieustannie zmieniać miejsce, być w ruchu. Ogarniać wielkie przestrzenie, pędzić, sunąć, lecieć! Szkoda, że pan nie ma samolotu... Oddałbym wszystko za to, żeby latać.

Grey wyjął notatnik. Nastąpiły zwykłe pytania: data urodzenia, miejsce zamieszkania, nazwisko i czy rodzice pozwolą?

Chłopiec odpowiadał, a twarz mieniła mu się rumieńcem. Potem mały poszukiwacz przygód rzucił się na szyję porucznikowi, znalazłszy z tych przygód najciekawszą, a Grey uwolniwszy się z jego uścisków raz jeszcze przejrzał swój notes.

Dosyć — zdecydował i po chwili szybkim równym pismem zanotował dwunaste nazwisko.

Przebiegł wzrokiem listę. Przy każdym nazwisku przemykało wspomnienie jednej z „maleńkich przygód”. Przy każdym była krótka notatka:

1. Stefan Wirecki — harcerz, klasa VIII, „paniczyk”, marzyciel.
2. Józef Bielak — lakoniczny, tramwajarz, klasa VI.
3. Bolesław Maliszewski,
4. Kazimierz Dymidecki — „koguty wiejskie” z Zalesia.
5. Janusz Radlicz — harcerz, doskonałe oko, piłka nożna; nie zwraca uwagi na tłum, gra dla gola.
6. Witold Górski — harcerz, modelarz, bardzo zamiłowany w konstrukcjach.
7. Stanisław Nowak — harcerz, dobry zmysł równowagi, flegmatyk.
8. Leszek Szczerbiński — pływak, orientuje się bardzo dobrze, przytomny.
9. Andrzej Kramer — młody, odważny, dobrze walczy.

10. Jan Ahrens,

11. Zygmunt Kozłowski — bardzo chcą latać; lenie, ale kto ich wie?

12. Adam Plichla — podróżny na gapę, dobry fizycznie, włóczykij.

Nagle przypomniał sobie jeszcze kogoś. Trzynasty? — zawahał się. I zaraz prędko dopisał:

13. Karol Zakrzewski — fizyczne zero; serce i ambicja duże.

Potem wsiadł do samochodu razem z Adasiem Plichtą i pojechał odszukać Karola

6

Wszyscy naturalnie chcieli grać po stronie Greya, z wyjątkiem Bielaka, który miał być jego głównym przeciwnikiem.

— Kiedy tak — powiedział Grey — sam rozdzielię was na dwie partie.

— Ta, w której pan będzie „matką”, zwycięży i tak — sceptycznie zauważył Bielak. — Chyba, że mi pan da najlepsze „bachory”, zostawiając sobie samych fuszerów.

— Zaraz zobaczymy. Gra w palanta należy do zawodów, w których wygrywa strona mająca silniejszą wolę wygranej. Naturalnie bardzo dużo zależy od matki, ale w danym wypadku ty, Józku, nie grasz przecież gorzej ode mnie.

— Niech mi pan da Plichtę, Radlicza, Dymideckiego, Maliszewskiego, Szczerbińskiego i Kramera na starszego bachora, to może wygramy.

— Dobrze — zgodził się Grey. — Będę miał rzeczywiście słabszą partię. Mimo to postaramy się skończyć grę z honorem, prawda, chłopcy?

— Wygramy! — odpowiedzieli:

— W maju — mruknął Bielak oglądając swoją szóstkę okiem znawcy. — Kto u pana starszy bachor? — zwrócił się do Greya rzeczowo.

Porucznik rozejrzał się po swoich. Twarze chłopców były poważne, skupione. Każdy z nich czuł ciężącą na sobie odpowiedzialność za wynik gry. Grey wyczytał w ich oczach gotowość do największych z możliwych w palancie poświęceń.

Do roli starszego bachora nadawało się właściwie trzech: Kozłowski, Ahrens i Wirecki. Grey postanowił zdać się na los szczęścia i zarządził ciągnięcie zapalek, z których dwie były bez łebków. Całą wyciągnął Paniczyk, jak już ogólnie nazywano Wireckiego.

Matki rozpoczęły wymierzanie palanta o pierwszeństwo wybijania piłki. Jak wiadomo, ceremonia ta odbywa się w ten sposób, że jedna z matek ujmuje kij palantowy w pobliżu jego środka, druga chwyta go dłonią tuż obok, pierwsza powtarza chwyt znów obok dłoni drugiej i tak dalej, aż do końca. Zaczyna ta partia, w której ręku zostaje koniec kija.

Tym razem palant został w dłoni Bielaka. Partie rozeszły się na dwie strony placu sportowego, gdzie na środku wyznaczony był półmetek. Grey rozstawił swoich szerokim półkolem, tak aby piłka wybijana palantem przez przeciwników możliwie szybko znalazła się w rękach jednego z bachorów. Bielak przygotowywał się już do jej wybicia.

— Uwaga, bachory! Nie bawić się w bieg do półmetka, tylko sypać od razu tam i z powrotem. Zaczynamy!

Bęc! — Palant śmignął w powietrzu tuż nad podrzuconą piłką, ale jej nie dotknął.

— Raz — powiedział Grey.

Bęc! — To samo. Bęc! — Kij potarł o powierzchnię, nie wybijając piłki dalej niż o pięć kroków.

— Dwa, trzy — liczył Grey. — Jeszcze dziesięć.

Bęc! — Czarna gumowa kula prysnęła po torze płaskiej Paraboli i przeleciawszy tuż obok Greya potoczyła się dalej Po trawie.

Bachory Bielaka zerwały się do biegu. Grey gorączkowo szukał piłki. Przebiegli już półmetek, kiedy ją znalazł. Stał zbyt daleko, żeby trafić któregokolwiek.

— Uwaga, Koziół! — krzyknął do Kozłowskiego, który gapił się w inną stronę.

Rzucił. Koziół wyciągnął ręce i wspiął się na palce, aby złapać. W tej chwili przebiegający obok Radlicz potracił go, piłka upadła na ziemię. Koziół potknął się i runął jak długi.

— Łap, Janek! — zawołał do przyjaciela widząc, że Radlicz dobiega do mety i zawraca, aby za jednym zamachem odbyć drogę powrotną.

Ahrens rzucił się ku piłce. Bachory Bielaka widząc go przed sobą zatrzymały się na mecie. Tylko Radlicz pędził śmiało, półkolem omijając przeciwnika. Ahrens wiedział, że nie będzie mógł zbliżyć się do niego. Zamierzył się i rzucił. Ale piłka przeleciała między nogami Radlicza nie dotykając, go wcale i triumfujący lewy łącznik „Pogoni” stanął bez szwanku na półmetku.

Piłka wróciła do Bielaka.

— Uwaga, bachory — zawołał znowu.

Bęc! — Warcząca kula pacnęła prosto w nos małego Karola Zakrzewskiego.

— Wal, Ciapa, wal! — rozległy się okrzyki.

Ciapa, któremu łzy stanęły w oczach, a z nosa zaczęła kapać krew, trzymał piłkę w ręku i nie mógł zdecydować się, w kogo rzucić: tuż obok niego przebiegały postacie bachorów Bielaka, a on jeszcze się namyślał.

— Rzucaj śmiało! — huknął z daleka Grey. I Ciapa rzucił, ale spuścił.

Radlicz i Kramer odbyli już drogę powrotną. Cztery bachory stały na półmetku.

Bielak znów parę razy chybił, a raz piłka źle trafiona potoczyła się wolno pod same nogi przeciwników, wobec czego nikt nie zaryzykował biegu. Na koniec za dziesiątym uderzeniem udało się pozostałym powrócić do mety. Przyszła kolej na wykupienie matki.

— Jedenaście — powiedział Grey i jednocześnie miejscowy ekwilibrysta, Stach Nowak (magik — jak go nazwali koledzy po kilku popisach chodzenia na rękach) złapał piłkę toczącą się po ziemi. Ale Bielak nie ryzykował dalej niż do pół mety. Stał już tam i śmiał się z zawodu, jaki sprawił Nowakowi. Tymczasem palant przeszedł w ręce Kramera.

Piłka uderzona od spodu śmignęła górnym łukiem. Bielak rzucił się naprzód patrząc, gdzie spada. Wtedy Grey w kilku skokach znalazł się na linii jej lotu i dobrze oceniwszy miejsce w przestrzeni chwycił lewą ręką opadającą półłankę⁸.

— Trzy punkty! Hurra! Trzy punkty! — krzyknęli jego chłopcy.

Nie słuchał; teraz była okazja zgnębienia przeciwników. Był o jakieś piętnaście kroków od Bielaka, między nim a metą. Okrzyki umilkły i wszyscy w napięciu czekali na wynik walki między obu matkami. Grey podchodził wolno, krok za krokiem, a Bielak równie wolno cofał się w bok chcąc ominąć przeciwnika i za wszelką cenę dobiec do mety uniknąwszy piłki.

Nagle Grey skoczył naprzód i rzucił. Ale chłopiec równie szybko padł plackiem na ziemię. Piłka przeleciała tuż nad jego głową. Teraz z kolei partia Bielaka wzniosła okrzyk na jego cześć.

Kramer, chybiwszy dwa razy po kolei, oddał palant włóczykijowi Plichcie, który swoje

⁸ Półłanka — mała twarda piłka do palanta.

prawo do jednego uderzenia wykorzystał z pełnym powodzeniem wybijając piłkę daleko za metę.

Jednak i tym razem, na szczęście dla partii Greya, piłka znalazła się tak prędko w rękach graczy w pobliżu mety, że Bielak nie mógł wrócić do swoich.

Dymidecki i Radlicz chybili kolejno i gra zaczynała być coraz bardziej emocjonująca. Bielak denerwował się.

Szczerbiński wybił piłkę za ledwie do półmetka i Bielak, pomimo ryzyka, zdołał odbyć połowę powrotnej drogi. Partia jego miała prawo jeszcze tylko do jednego wybicia piłki przez Maliszewskiego.

Grey na wszelki wypadek obstawiał silniej półmetek sądząc, że Bolek nie wybije piłki daleko. Za metą pozostawił tylko dwóch przyjaciół: Kozła i Ahrensa. Sam wraz z Ciapą stanął pośrodku między półmetkiem i metą własną.

Ale Maliszewski miał szczęśliwą rękę: piłka przeleciała na wysokości trzech metrów daleko w tył. Wprawdzie Kozioł natychmiast ją odnalazł, ale zamiast na lewo do Greya, rzucił na prawo do Ciapy.

— Podaj na półmetek! — zawołał Grey. Karol podał, ale zbyt mocno i piłka ominęła zarówno Bielaka, jak Witolda Górskiego, do którego była posłana.

Mimo wszystko rezultat półfinału był nie najgorszy dla partii Greya: Bielak wygrał na czysto z możliwych dwunastu — sześć punktów; Grey z możliwych sześciu — trzy. Zmieniono miejsca. Grey ujął palant. Piłka od pierwszego uderzenia poleciała w przestrzeń. Bachory pobiegły ile sił. Zanim któryś z chłopców Bielaka znalazł półłankę, starszy bachor Wirecki był już na mecie wraz z Ahrensem i Kozłowskim, a pozostali trzej na półmetku.

Za czwartym wybicciem znowu piłka wybiegła daleko, mijając metę. Karol zaczął biec z innymi, Zasapał się w połowie drogi i został trochę w tyle.

Tymczasem piłka dostała się w ręce Kramera, który zabiegał z boku, Karol miał uczucie osaczonego przez psy zająca. Znalazł się w ciasnym kole szybkonożnych przeciwników, naprzeciw zwinnego Kramera, który był coraz bliżej. Wytężył ostatek sił, aby ująć pogoni.

Ode mnie zależy wynik — myślał z rozpaczą mierząc wzrokiem odległość.

Kramer zbliżał się.

Nie zdążę, nie zdążę! — leciały przez głowę Karola prędkie, klujące wstydem myśli.

Zieleń trawy miga pod słabnącymi nogami, brak tchu, serce wali młotem...

Bęc! — Piłka z całą siłą rzucona z bliska trafia Karola w bok.

— Punkt, punkt dla Bielaka! — krzyczą chłopcy; Ciapa połyka łyżę żalu.

— Ja nie chciałem, przepraszam... — bąka pod nosem.

— Mam nadzieję — stwierdza z wyższością stojący obok Dymidecki.

„Fujara! Ciapa!” słyszy Karol wracając na swoją stronę z opuszczoną głową.

Musi raz jeszcze powtórzyć niebezpieczny bieg. Ale najgorsze jest to że Grey śmieje się. Śmieje się z niego, z Ciapy — Karola...

— Trzeba prędzej biec — mówi.

Grey mówi łagodnie, ale Zakrzewski wie, że mogą przegrać przez niego finał; że ta przegrana będzie zdradą zaufania, którego wyraz dał Grey, mówiąc: „Skończymy grę z honorem, prawda, chłopcy?”

— Dziewiąte uderzenie — woła Bielak: Piłka wylatuje za metę.

— Biegiem, Zakrzewski! — woła Grey.

Karol pędzi do mety sam jeden: wszyscy inni wrócili ¹ teraz bieg Karola śledzi pięciu towarzyszy i Grey.

Karol sam wie, że trzeba wracać, póki czas. Ale musi chwilę odpocząć: nie może złapać oddechu.

— Wracaj, Ciapa, wracaj! — wołają chłopcy z drugiej strony placu.

I Ciapa wraca. Zaciska zęby, co sił pędzi naprzód. Za sobą słyszy okrzyki: znaleziono wreszcie piłkę. A potem zbliżający się tupot nóg.

Jezus, Maria! Coraz bliższy...

Przed nim biały palik oznacza półmetek. Jeszcze parę kroków, jeszcze chwila... Karol czuje, że ktoś za nim zamierza się do rzutu.

— Na ziemię! — krzyczy Grey.

Karol pada na ziemię jak długi i otrzymuje uderzenie piłką w nogę. Ale jest na półmetku. Trafienie nie liczy się.

Dziesiąte i jedenaste uderzenie Greya chybia. Dwunaste wybija piłkę ledwie za półmetek; mimo to Karol dobiega szczęśliwie.

Niestety Paniczyk wykupując Greya posyła świecę prosto w prawą rękę Kramera, który uzyskuje drugi i trzeci punkt dla Bielaka.

Z bachorów wybili piłkę tylko Ahrens i Górski, co wprawdzie pozwoliło Greyowi wrócić, ale dało w sumie cztery punkty na dwanaście możliwych, podczas gdy partia przeciwna uzyskała trzy — na sześć.

— Finał: cztery do sześciu, na korzyść Bielaka — ogłosił Grey. — Trzykrotnie hip, hip, hurra! na cześć przeciwników!

— Hurra! Hurra! Hurra! — krzyknęli co sił. Znowu zmienili miejsca. Gra zyskiwała coraz szybsze tempo. Czarna półlanka śmigła w powietrzu i podskakiwała w krótko przyciętej trawie. Obie drużyny walczyły zajadle. Kilkakrotnie chłopcy Greya wychodzili w finale na remis, a po czwartej czy piątej zmianie placu uzyskali nawet dwa punkty przewagi. Jednak w ostatniej rozgrywce Zakrzewski został dwukrotnie trafiony piłką, co zadecydowało o wyniku na korzyść Bielaka.

Schodzili z placu gadając jeden przez drugiego. Tylko Karol szedł na końcu z opuszczoną głową, smutny i milczący. Nikt na niego nie zważał. Nawet Grey nie starał się go pocieszyć.

Paniczyk, który tego dnia był dyżurnym, ogłosił dalszy program:

— Kwadrans na podwieczorek, pół godziny wypoczynku i kwadrans na przygotowanie maszyn!

Grey poszedł do swego gabinetu. Chłopcy hurmem wpadli do jadalni, gdzie na długim stole oczekiwały pękate dzbanki mleka, chleb razowy z masłem i szereg porcelanowych kubków. Jedli prędko, gadając nieustannie jeszcze o palancie i już o lataniu. Panował taki gwar, jakby ich było co najmniej czterdziestu, a nie trzynastu...

Tylko „Klub Pomidorowej Piwnicy”, do którego należeli Dymidecki, Maliszewski, Ahrens i Kozioł, obradował szeptem na końcu stołu umawiając się na sobotni wieczór w swoim tajemniczym, zakonspirowanym „lokalu”.

Plichta trącił w bok Kramera.

— „Pomidory” znów spiskują.

— Uważaj na nich jutro. Może tym razem uda się ich wyśledzić. Urządzimy im wtedy porządny kawał.

— Ciekawym, co oni tam robią w tej swojej, „piwnicy”. — Ba! Nie wiemy jeszcze, gdzie ona jest.

— Dowiemy się.

— Mam wrażenie, że Wirecki też ich śledzi. Spójrz, jak się im przygląda.

— — Rzeczywiście, możliwe. Ale my będziemy działali oddzielnie. Zobaczymy, kto

pierwszy odkryje tajemnicę.

— Wszyscy do sypialni! — rozległ się głos Paniczyka. — Pięć minut milczenia.

Rumor odsuwanych krzesel, tupot nóg i zgrzyt sprężynowych materaców na łózkach.

— Koniec gadania!

Salę zaległa cisza mącona tylko mocnym oddechem młodych płuc i westchnieniami niepokieszonego Karola. Przez otwarte okna dochodził świergot wróbli i pianie kogutów. Z daleka terkotał agregat w elektrowni. Pod sufitem bzykały muchy. Z sadu otaczającego dom płynęły ciepłe fale powietrza pachnącego miętą, macierzanką i trawą. Promienie słońca kładły się na deskach podłogi między łózkami i sunęły powolnym, niewidocznym ruchem w kierunku pieca.

Wirecki leżąc w swoim łóżku patrzył na zegarek i myślał o „pomidorach”. Od kilku dni podejrzał członków tajemniczego „klubu” o jakieś nieczyste sprawy.

Wprawdzie opierał te podejrzenia na dość kruchych podstawach ograniczających się do kilku przypadkiem zasłyszanych urywków rozmowy, ale kiedy zapytał ich wprost, co to znaczy, odpowiedzieli mu tak opryskliwie, że utwierdził się tylko w domysłach.

Nie chcąc wtajemniczać Greya w szereg poszlak, które tymczasem zdołał zebrać, namyślał się, w jaki sposób uzupełnić to, co już wiedział, i jak postąpić z członkami „klubu” w razie gdyby podejrzenia okazały się słuszne.

Nie! Grey nie powinien o tym wiedzieć — zdecydował. — Muszę sam na nich wpłynąć i zmusić ich do zmiany postępowania, jeżeli tak jest, jak przypuszczam.

— Pięć minut przeszło — powiedział głośno. Chłopcy odetchnęli i zaczęli gadać. Ostatnia z pięciu minut milczenia jest zawsze najdłuższa...

Rozmowy toczyły się teraz wyłącznie na temat lotów. — Sztuka zrobienia ostrego zakrętu z gazem lub bez gazu wywołała gorącą dyskusję, w której wzięli udział wszyscy, nie wyłączając Paniczyka uchodzącego za najbardziej zaawansowanego w lataniu.

— Więc jak ty to robisz? — spytał ktoś z końca sali.

— Jak? Bardzo zwyczajnie: jak każdy zwykły zakręt.

Kładę maszynę lotkami i nogą, podciągam i wyprowadzam do poziomu. Czy ja wiem zresztą? Zakręt wychodzi sam. Umiem go zrobić, ale nie umiem go dokładnie opisać! Czuję płynność luku, wiem, jak to osiągnąć, ale nie mogę tego opowiedzieć. Tak samo jest z całym lataniem.. Przypuszczam, że tak samo będzie dalej. Czuję raczej, niż wiem, jak to trzeba robić.

— Gadanie — powiedział Bielak. — Czucie czuciem, a zasada zasadą. Wszystko to można przerachować, ułożyć we wzory matematyczne i zapisać jak receptę.

— Najgorzej! — z powątpiewaniem wykrzyknął Kramer. — Gdyby na wszystko były recepty, nie byłaby asów i patalichów. Wszyscy byliby jak ptaki albo jak Grey.

— I ja tak myślę — zgodził się Szczerbiński. — Latanie jest sztuką, dla której trzeba się urodzić. A jeżeli ktoś urodził się bez czucia, żadna recepta mu nie pomoże.

— Każdą rzecz w powietrzu można zrobić rozmaicie — powiedział Dymidecki. — Zdarza się, że dwóch pilotów robi jedną i tę samą ewolucję za pomocą różnej pracy sterami. Mimo to dla patrzącego z dołu obie ewolucje wyglądają jednakowo. Trzeba być takim asem jak Grey, żeby z pewnością powiedzieć, który sposób jest lepszy.

— Wcale nie trzeba być asem — zaoponował ktoś kategorycznie.

Spojrzano w jego stronę. To był Witek Górski, „konstruktor”.

— Tylko jak? — spytał Dymidecki.

— Na to są przyrządy. Aerometry i inne wskaźniki natężeń pracy, które się umieszcza w różnych miejscach samolotu. Jeżeli z dwóch pilotów każdy inaczej robi jakąś ewolucję, ten z

nich robi ją dobrze, którego zegary wykazują mniejszą pracę czy opór poszczególnych części składowych płatowca.

— To znaczy, że ja miałem rację — zauważył Bielak. — Recepta na zakręt, na przewrót przez skrzydło, na beczkę, na pętlę itd.

— Tak, ale i każdą sztukę można sprowadzić do recepty. Na przykład muzyka: nuty są receptą, ale inaczej gra je byle kto, a inaczej mistrz, prawda?

Bielak uznał się za pokonanego. Rozmawiali dalej, wspominając pierwsze loty Greya, który „przyzwyczajał ich do powietrza”. Nikt. wtedy nic nie rozumiał: ziemia była na prawo, na lewo, z tyłu, z przodu i nad głową. Tańczyła jak opętana, śmigła po łukach zakrętów, wirowała gdzieś w dole, znikwała, aby nagle wypłynąć tuż za zmiatającymi po niebie obłokami.

Tak to wyglądało z samolotu. Samolot z ziemi wyglądał nie mniej ciekawie. Wił się w górę, spiralnie, opadał jak liść, zakręcał, zataczał się, wiązał ciasne beczki i pętle, walił się na skrzydło, zarzucał ogonem w korkociągu i ślizgał się niemal do samej ziemi w ostrych, cienko rozspiewanych glisadach.

Potem zaczęła się nauka. Grey tłumaczył działanie sterów, pokazywał, powtarzał. Następnie każdy po kolei siadał do samolotu wyprowadzonego przed hangar i próbował.

Wreszcie: obsługa silnika, zapuszczanie, próba i pierwsze loty na dwusterze z Greyem.

Powoli, powoli przychodziło opanowanie równowagi, a wraz z nim — czucie. Powoli zaczęli rozumieć.

Teraz, kiedy największe trudności były za nimi, zdawali sobie sprawę, ile pracy przez tych kilka tygodni Grey włożył w szkolenie.

— Stalowy człowiek — powiedział Szczerbiński. — Nic po nim nie znać. Jest zawsze wesoły, rześki i sprężysty. Spi cztery albo pięć godzin na dobę, choć nieustannie jest w ruchu. Ja bym dawno umarł z wyczerpania, a on robi po pięćdziesiąt — sześćdziesiąt lotów dziennie, gra z nami w piłkę, pływa sam i uczy innych, jeździ konno albo stoi w maneżu i poprawia nasze błędy, „odstawia” po kilka partii tenisa, pół godziny boksu i pół — szermierki, a potem, jakby dopiero zaczynał, pracuje do późna w swoim pokoju. Jednocześnie — pamiętajcie o tym — wydaje dyspozycje, wszędzie jest, wszystko widzi, uczy Johnsona mlecznego gospodarstwa, a Gałęckiego obsługi silników, choć obaj są przecież doskonałymi specjalistami i, mój Boże, ma czas na czytanie! I co wy na to?

Pod tym względem nigdy jeszcze nie było w „szkole orląt” najmniejszej różnicy zdań. Grey był ich bożyszczem i gdyby ktoś powiedział chłopcom, że Grey sam jeden zamierza w ciągu tygodnia osuszyć błota pińskie, uwierzyliby w to równie łatwo, jak Gałęcki w owe ananasy, które z woli Greya mogłyby wyrosnąć na piasku w Siedliskach.

— Do maszyn — zawołał Wirecki spojrzawszy na zegar. — Raz— dwa, bo późno! Zagadaliśmy się.

Wstali i szybko wciągnawszy kombinezony wysypali się krótszą drogą przez okna do ogrodu, aby przelazszy przez płot dostać się na podwórze, a stamtąd do hangaru, gdzie już czekał Gałęcki z mechanikami.

Kilkanaście par rąk chwyciło lekki kadłub Morane'a. Samolot drgnął i z chrzęstem rozsypanego na betonowej podłodze piasku, który rozgniaty nogi chłopców, wytoczył się z hangaru. Potem, odciągnięty na bok, opuścił ogon na ziemię i zdawał się drzemać dalej w ciepłe słońca jak wielki komar rozleniwiony upałem.

Mechanicy wsunęli podstawki pod pneumatyki kół. Gałęcki siadł do kabiny. Wtedy samolot wstrząsnął się niechętnie, usiłując drzemać dalej.

Nie pozwolili mu. Bezceremonialnie kręcili śmigłem, aby zassać mieszankę do cylindrów. Strzyknął ostrzegawczo cienkim strumykiem benzyny. Nie pomogło.

— Kontakt! — dał hasło jeden z mechaników.

— Kontakt jest — odpowiedział Gałęcki.

Wyciągnięta jak struna i znieruchomiała na chwilę sylwetka mechanika nagle zgięła się w gwałtownym zamachu. Śmigło wykonało pół obrotu, zaterkotały wybuchy w cylindrach, zwały się zaraz w równy, rytmiczny szum i klekot, budząc samolot z drzemki lekkim dreszczem przebiegającym po skrzydłach i kadłubie. Szarobłękitny dymek, karbowany gęsto u wylotu maski, dalej falisty i kłębiasty, coraz bledszy, wymknął się przezroczyście zawojem z prawej strony maszyny.

Zza hangaru ukazał się Grey w kombinezonie z granatowego płótna ściągniętym skórzanym paskiem. Podchodząc do grupy chłopców i mechaników spojrział na dach hangaru, aby sprawdzić kierunek wiatru wskazywany przez rękaw zawieszony na krótkim maszcie.

— Możecie iść na start — powiedział wytrząsając popiół z fajki. — Zakrzewski do maszyny.

Grupa ruszyła na środek lotniska niosąc zapasowe koło i tablicę do zapisywania lotów. Karol zajął miejsce Gałęckiego. Grey siadł przed nim i zapinał pasy.

— Gotowe? — spytał mechaników.

— Gotowe,

Włączył przewód telefonu do swojej słuchawki:

— Wykręć pod wiatr — powiedział do Karola; Zakrzewski dodał gazu i z wolna kołował, dopóki maszyna nie zajęła odpowiedniego położenia,

— Start — powiedział Grey.

Karol dociągnął dźwignię do końca i pchnął drążek sterowy w przód. Samolot nabierał prędkości unosząc ogon coraz wyżej.

— Uważnie — poprawiał Grey. — Nie zadzieraj tak mocno ogona. Maszyna ma już szybkość. Lekko na siebie! Na siebie!!

Poprawił, wyrwał ją w powietrze i zaraz pozwolił znów kierować chłopcu.

Karol patrzył na horyzont, który równą, ciemną linią spływał w dół. Jak zwykle po dościsaniu do dwustu metrów zredukował gaz i leciał dalej prosto.

— Wisi na lewo⁹ — zrobił uwagę Grey.

Chłopiec popatrzył na linię skrzydła. Rzeczywiście, nie zauważył pochylenia maszyny: lewy koniec płatu¹⁰ szedł poniżej horyzontu, prawy wznosił się nad nim,

Poprawił.

Grey kazał mu wykonać zakręt w prawo. Samolot położył się miękko, ale już po chwili maska silnika zeszła poniżej poziomu.

— Trzymaj równo, nie na dół.

Karol poprawił, ale przeholował: silnik wznosił się ostro w górę.

— Za ostro — powiedział Grey ujmując ster.

Pokazał cały manewr prowadząc sam. Powtarzał kilkakrotnie ewolucję, póki chłopiec nie wykonał jej poprawnie. Potem to samo w lewo. I znów po chwili:

— Wisi na prawo.

Ciapa zaczerwienił się. Maszyna wisiła ze dwadzieścia stopni.

— Trzeba patrzeć od czasu do czasu na skrzydło — powiedział Grey. — Później wyczujesz to sam, ale tymczasem trzeba orientować się według horyzontu i położenia płatów. No, dosyć! Ląduj!

⁹ Wisi... — pochyła się na lewo.

¹⁰ Płat — skrzydło.

Dopiero teraz Karol spojrział na ziemię. Lotniska nie było... Wiedział przecież, że musi być gdzieś w pobliżu. Oglądał się na lewo, na prawo. Nie, nie ma. Z tyłu także nie ma.

Wczoraj było to samo — myślał gorączkowo. — Musi być tuż — tuż.

Raz jeszcze popatrzył na wszystkie strony. Okolica wydawała mu się zupełnie nie znana. I znów przypomniał sobie uwagi Greya z poprzedniego dnia, kiedy „zgubił się” w powietrzu.

„Trzeba zawsze wiedzieć, gdzie w danej chwili znajduje się lotnisko — powiedział wtedy Grey. — Trzeba patrzeć na ziemię i orientować się. A jeżeli kiedykolwiek mimo to zmylisz drogę, trzeba umieć ją odnaleźć. Więc po pierwsze: rzekę widać w promieniu piętnastu kilometrów. Popatrz wzdłuż jej biegu w obie strony. W ten sposób odnajdziesz zabudowania i charakterystyczną dla Siedlisk wieżę ciśnień. Obok jest lotnisko. Zapamiętaj, w której stronie leży miasteczko, tor kolejowy i szosa, a nie zabłądzisz tak łatwo”.

Wszystko to Ciapa przypomniał sobie teraz.

Trochę za późno — pomyślał. — Trzeba było uważać od początku.

Poszukał wzrokiem rzeki.

Ani śladu. Pod nim w dole błyskała tylko cieniutka niteczka jakiegoś nie znanego strumyka. Toru kolejowego i szosy nie mógł się doszukać. Ani miasta.

— Zgubiłeś? — spytała słuchawka głosem Greya: Karolowi zrobiło się gorąco.

Wszystko przepadło — pomyślał. — Nie, to jest... właściwie tak — przyznał się.

— Popatrz na wysokościomierz. Karol spojrział.

— Tysiąc metrów — odczytał ze zdziwieniem. — Byliśmy przecież na dwustu...

— Popatrz na licznik obrotów.

Obrotomierz wskazywał dwa tysiące dwieście na minutę, czyli pełny gaz.

Karol był zgnębiony: nie tylko zgubił się, ale także nie zauważył, że Grey dodał gazu i że maszyna wyszła na tysiąc metrów.

Oczywiście, z tej wysokości rzeka wydawała się wąskim strumykiem. Teraz bez trudu odnalazł białą linię szosy i ciemną, błyskającą słońcem na wypolerowanych szynach — toru kolejowego. Miasteczko było pionowo pod samolotem, na prawo zaś, między nim a rzeką, leżało jak na dłoni lotnisko.

— Masz? — spytał Grey.

— Mam, tutaj — pokazał palcem.

— No to spróbuj zejść na dół spiralą¹¹, tak jak tłumaczyłem i pokazywałem ci wczoraj.

Zakrzewski przypominał sobie na gwałt, co było wczoraj. Ogarnął go niepokój; wyglądało to wtedy, jakby jedno skrzydło stanęło nagle w miejscu skierowane wprost ku ziemi, a cała maszyna kręciła się dookoła niego. Potem już maszyna wisiała nieruchomo pochylona ostro na bok, a ziemia zbliżała się rosnąc w zawrotnym wirowym ruchu. Gwizdały linki, raz cienie, to znów grubiej i ciszej; szumiał pęd, drgały skrzydła i stateczniki.

Teraz Karol ma sam zrobić coś podobnego...

Zamknąć gaz, planować normalnie, położyć do wirażu, ściągnąć — to była esencja objaśnień Greya.

Zamknął gaz i jednocześnie, jak zwykle, usłyszał cichutki śpiew linek głuszony dotąd przez szum silnika. Odgłos ten zawsze denerwował go trochę. Raz zdawało mu się, że linki grają za silnie, to znów, że milkną, co — jak wiedział — oznaczałoby utratę prędkości. I teraz miał wrażenie, że śpiew linek zamiera. Pociśnął drążek sterowy, jak się okazało zupełnie niepotrzebnie, bo, Grey natychmiast poprawił.

¹¹ Spirala — figura akrobacji lotniczej polegająca na powolnym wytracaniu wysokości lotem ślizgowym po linii śrubowej o małym skoku, z nieznacznym pochyleniem samolotu w dół.

— Tak jak teraz — powiedział. — Kładź.

Zakrzewski lekko pochylił maszynę.

— Śmiało — zachęcał pilot.

Ziemia spłynęła na lewo i zaczęła uciekać pod skrzydło, w tył. Linki gwizdały coraz mocniej.

— Ster na siebie. Powoli.

Karol wykonał polecenie. Czuł opór drążka. Ciągnął do końca. Grey kręcił głową: maska silnika wyszła nad horyzont. Opór steru malał z każdą sekundą.

Nagle samolot runął w dół, jakby pchnięty potężną dłońią i... zawirował. Karol poczuł, że wszystka krew zbiega mu do serca, które nagle stanęło, a potem zatłukło się gwałtownie. Z całej siły trzymał rękojeść drążka nie rozumiejąc, co się stało.

— Korkociąg! Ster wolno od siebie — usłyszał głos w słuchawkach.

Jednocześnie dłoń Greya powstrzymała zbyt gwałtowny ruch. Morane wyskoczył w bok ze zwoju i popłynął w łagodnym locie ślizgowym.

— Za mocno i za szybko — powiedział Grey. — — Jeszcze raz.

Karol ciężko dyszał ze wzruszenia. Powoli opanowywał przestrasz. Skupił całą uwagę i zaczął kręcić spiralę. Grey poprawiał.

— Dość — rzekł po kilku zwojach. — Wyprowadź pod wiatr.

Samolot na trzystu metrach wrócił do poziomu. Lotnisko leżało przed nimi. Chłopiec zaczął lądować.

Zielone pole było coraz bliżej. Na jego środku, dokoła zatkniętej w ziemię tyki z płóciennym rękawem, stała grupa. Kiedy do ziemi pozostało nie więcej niż dwa metry, Karol nieśmiało pociągnął ster. Robił to już wiele razy, ale nie zdawał sobie dotąd sprawy, kiedy należy zacząć.

— Dobrze — powiedział Grey, — Tylko powoli, dobrze.

Kąt lotu załamał się miękko¹². Karol pociągnął znowu. Trawa sunęła pod nim równo, uciekała w tył porywając za sobą wzrok. Ale on wiedział, że nie można pozwolić oczom na zmianę kierunku spojrzenia. Nie wolno gonić wzrokiem uciekającego dywanu zieleni.

Patrzeć i czekać. W miarę jak maszyna opada, ściągać — powtarzał sobie w myśli.

— Ściągać, ściągać — przynaglił go pilot.

I znowu Karol za późno zauważył, że ziemia zbliżyła się zupełnie niepostrzeżenie. Grey musiał sam poprawić.

To zgnębiło chłopca do reszty. Wsiadł z samolotu smutny i zniechęcony.

— — Nieźle — rzucił mu Grey po raz pierwszy nieoczekiwaną pochwałę.

Dotychczas uwagi instruktora były tylko objaśnieniami błędów pilotażu albo zachętą do wytrwania, toteż Karol aż poczerwieniał z wrażeń. Ale zaraz pomyślał, że Grey powiedział tak, aby go pocieszyć.

— Nic ze mnie nie będzie, ja wiem — powiedział mutnie.

— Hę, co takiego? — zapytał porucznik groźnie. — Głupstwa! Po kolacji przyjdź do mnie, pogadamy — dodał łagodniej. — Wirecki, do maszyny! — zawołał głośno.

— Wejść — powiedział Grey nie przestając pisać. Drzwi cicho otworzyły się i Karol wszedł do pokoju.

— Siadaj, ja zaraz skończę — porucznik wskazał mu krzesło przy biurku.

Ciapa usiadł. Grey pisał dalej. Po chwili sięgnął po kopertę, zaadresował i odłożył pióro.

— No i cóż? — zwrócił się do chłopca.

¹² Załamanie kąta — wyrażenie lotnicze oznaczające pierwszy ruch sterem przy lądowaniu.

Zakrzewski był zakłopotany. Milczał.

— Słuchaj, mały — zaczął Grey serdecznie. — Tak nie można. Nie trzeba opuszczać rąk: to do niczego nie prowadzi. Obserwuję cię od paru dni. We wtorek Zygmunt Kozłowski wytargał cię za uszy. Nie bronieś się wcale i gdyby nie Bielak, oberwałbyś porządnie. Dziś przy palancie omal nie rozbeczałeś się z powodu przegranej, a moje uwagi w czasie lotu doprowadziły cię do rozpacz, tak że zwątpieś w szczerść tego „nieźle”, którym cię pożegnałem przy lądowaniu. Czy tak?

— Tak — brzmiała cicha odpowiedź.

— Myślisz o sobie, porównując się z innymi, że jesteś rozlazła ciapa, że nigdy nie będziesz mógł współzawodniczyć z tymi chłopcami, którzy robią sto metrów w ciągu dwunastu sekund na ziemi i w ciągu sześćdziesięciu pięciu w basenie; którzy strzelają bramkę z czterdziestu kroków, odbijają tuż nad siatką woleje, skaczą metr sześćdziesiąt, boksują się i fechtują, jeżdżą konno jak Królikiewicz, Szosland i Zgorzeliski¹³ ... Myślisz tak, prawda?

— Tak — — wyznał Karol bezdźwięcznym głosem.

— To źle. Nie powinienes tak myśleć.

— Co ja na to mogę poradzić? Nigdy nie uprawiałem żadnych sportów i nie gimnastykowałem się. Jestem niedołągą, wiem o tym. Każdy z nich może mnie pobić jednym palcem. Łatwo się męczę i... teraz widzę, że w lataniu też zostaję na szarym końcu. Ale ja bardzo chciałbym latać, proszę pana... — rozżalił się.

— No więc będziesz latał! Dziś naprawdę było nieźle. Byłoby jednak bez wątpienia jeszcze lepiej, gdybyś miał do siebie samego więcej zaufania. Pokażę ci jedyną drogę, która, według mnie, prowadzi do zdobycia koniecznej dla pilota pewności siebie. Czy myślisz, że Bielak, Wirecki, Ahrens i wszyscy inni zawsze byli silni, odważni, zręczni? Wcale nie. Warunki ich życia dały im sposobność rozwoju fizycznego. A teraz i ty masz tę sposobność. Tylko że oni — nie wiedząc nawet o tym — pracowali nad swoimi mięśniami i nerwami od wielu lat robiąc wolne postępy. Ty powinienes ich dogonić w ciągu roku pracując z pełną świadomością. Nie zniechęcaj się tym, że w szermierce, boksie i pływaniu jesteś na szarym końcu. Patrz uważnie, jak zadają i odparowują ciosy najzręczniejsi z twoich kolegów i staraj się ich naśladować. Jeśli ktoś zacznie z tobą bójkę, nie schodź mu z drogi. Nie tylko trzeba się bronić, trzeba także atakować. Bez wątpienia z początku będziesz brał lanie; to trudno. Ale nadejdzie czas, że i ty będziesz kładł kogoś na obie łopatki. Im więcej ćwiczeń fizycznych będziesz uprawiał, tym łatwiej i prędzej 'dojdiesz do wysokiej klasy w każdym z nich. Biegi pomogą ci w skokach, rzutach i pływaniu, tenis i palant — w szermierce i boksie, jazda konna wzmocni ci nogi i całe ciało. Wszystkie te sporty łączą się z sobą i wzajemnie się uzupełniają, mając za cel ostateczny — latanie. Wyrabiają pewność siebie, zręczność, odwagę, orientację i, co najważniejsze, „czucie”. Naucz się sam sobie radzić. Naucz się przewycięzać przeszkody; nie uda się raz — próbuj dziesięć razy, aż zrobisz. Stawiaj sobie cele dalekie: spróbuj prześcignąć pociąg w biegu, spróbuj płynąć szybciej od Szczerbińskiego i nie zrażaj się tym, że ci się to nie od razu powiedzie. Nie omijaj żadnych przeszkód: idąc na spacer, idź prosto. — Spotkasz rów? — przeskocz; płot zagrodzi ci drogę? — przełaz przez sztachety; rzeka? — przepłyn lub przejdź po kładce nie trzymając się poręczy; góra? — wspinaj się na szczyt. A co najważniejsze — nie wmawiaj w siebie, że mniej jesteś wart niż którykolwiek z tych chłopców. Raz jeszcze powtarzam : nie schodź nikomu z drogi. Walcz, póki sił starczy, zawieraj zawieszenia broni, ale nie zawieraj pokoju na złych warunkach — w końcu sam je będziesz dyktował. A o latanie bądź spokojny: to moja sprawa i kwestia mojej ambicji. Teraz już idź, jest późno. Trzeba od jutra zacząć pracować nad sobą, więc musisz się wyspać. Dobranoc.

¹³ Królikiewicz i in. — znakomici jeźdźcy, reprezentanci Polski na olimpiadach w okresie międzywojennym.

— Dobranoc i dziękuję panu — powiedział Karol ściskając mocno dłoń Greya.

Wyszedł na chwilę do ogrodu.

Noc była parna. Pachniały kwiaty i trawa. Powietrze ciężkie i nieruchome, gęste od mroku ściśniętego pokrywą chmur, zdawało się prężyć w oczekiwaniu burzy. Aksamitna cisza leżała w koronach drzew, gdzie żaden liść nie drgnął. Tylko skrzydła nietoperzy jak czarne płatki nocnego cienia wiosłowały nad głową chłopca w dziwacznych piruetach nerwowego lotu.

Karol myślał o tym, co mu powiedział Grey.

Czy dobrze zrozumiał jego rady? Grey żądał, aby Ciapa bił się z kolegami? Nie, to chyba niemożliwe? Czyżby to było potrzebne? Karol miał wątpliwości: bójka zawsze uważana była przez jego wychowawców za coś ordynarnego, coś, co nie przystoi przyzwoitemu chłopcu. A oto teraz Grey radzi mu, aby nie unikał bijatyk. Ba, twierdzi, że napadnięty powinien nie tylko się bronić, ale także atakować. Tego Karol nie robi. Trudno..

Poza tym jednak słowa porucznika podobały się Zakrzewskiemu. Natchnęły go nową chęcią do życia. Wróciły mu nadzieję osiągnięcia zamierzonego celu, upewniły go, że jednak robi postępy w lataniu. A przecież to było najważniejsze. Właściwie nawet nie to. Karol próbował zanalizować ciepłe uczucie, które na wspomnienie krótkiej rozmowy z Greyem zalewało mu serce.

Jak on powiedział? „To już moja sprawa i kwestia mojej ambicji”.

Grey płaci Karolowi dług wdzięczności za tamto w po— eiągu. Płaci hojnie, pełną dłonią i całym sercem. Grey chce zrobić pilota z Ciapy. Nie tylko pilota — asa. A więc Ciapa zostanie asem! Ależ tak: tego przecież chce Grey! To kwestia jego ambicji. Karol musi mu w tym dopomóc. Nie może przecież pozwolić na to, aby po raz pierwszy zamiary Greya obróciły się wniwecz z powodu niedoświadczenia takiego jak Ciapa fuszera. Karol musi dogonić innych chłopców w rozwoju fizycznym. O, będzie chodził na spacerzy prostymi drogami; na przełaj. Będzie się starał prześcignąć pociąg i zostawić Szczerbińskiego bodaj o ramię za sobą w basenie... I wiele jeszcze zrobi innych rzeczy, aby odwdzińczyć się... nie: ułatwić Greyowi trudne zadanie przemiany jego, Ciapy, w asa.

— Przysięgam — powiedział szeptem — przysięgam!

Z daleka zahuczał grzmot, przewalił się między chmurami i skończył gdzieś po drugiej stronie czarnego nieba. Liście kasztanów poruszyły się i zaczęły szeptać cichutko przed burzą.

7

W samym końcu ogrodu, za placami tenisowymi i sadem, tuż obok wzgórza, na którym ogrodnik Sorge hodował pomidory, była stara pusta oranżeria zamieniona na skład narzędzi i różnych gratów.

Bolek Maliszewski, włócząc się któregoś dnia samotnie po zarośniętych ścieżkach i między oknami inspektów w poszukiwaniu świeżych rzodkiewek, zaszedł tam, aby wybrać sobie przy okazji kawałek deski, z której miał zamiar zmajstrować „chłopca” do ściągania butów. Grzebiąc w graciarni zawałającej połowę długości oranżerii, z niemałym zdziwieniem odkrył pod stosem połamanych krzesel, stołków i ram okiennych małe drzwiczki w ścianie poniżej powierzchni ziemi. Spróbował je otworzyć. Klucz tkwił w zamku, ale zardzewiały zatrzask nie chciał odskoczyć.

Dla Bolka nie stanowiło to poważniejszej przeszkody. Kleszczami wykręcił śruby z zamka, po czym bez trudności zdjął go podważając kawałkiem żelaza.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem dawno nie oliwionych, pokrytych rdzą zawiasów. Z ciemnego korytarza powiało stęchlizną i wilgocią. Bolek zapalił zapałkę i szedł ostrożnie

przed siebie. Po kilku krokach zapalka zgasła i musiał zapalić nową.

Wtem zobaczył, że korytarz rozszerza się i przechodzi w suchą, obszerną, zupełnie pustą piwnicę. Sądząc po kierunku, w którym szedł, Maliszewski wywnioskował, że odkrył nikomu nie znaną, zapomnianą lodownię, znajdującą się pod wzgórzem pomidorów, tuż przy starej cieplarni.

Zapalka znów zgasła. Nie zaświecił nowej, aby przyzwyczajony się do ciemności zobaczyć, czy u góry nie ma jakiegoś otworu do wentylacji i światła. Rzeczywiście po chwili spostrzegł słaby odbłask dziennego światła wpadający przez częściowo zasypane ziemią i zarośnięte trawą okienko z grubą szybą przeplecioną drutami.

Na razie uznał badanie piwnicy za skończone i wrócił, starannie zamykając drzwi i przywalając je połamanym stołem. Potem skierował się w stronę domu i stanąwszy w cieniu krzaków jaśminu zagwizdał początek „arii z kurantem” ze „Straszego dworu”. Po chwili trzech chłopcy wyskoczyli oknem.

— Halo, tutaj! — zawołał Bolek stłumionym głosem. Odnaleźli go i zaszyli się głębiej w krzaki.

— O co chodzi? — zapytał Kazik Dymidecki.

— Zrobiłem odkrycie — zaczął szeptem Bolek. — Wielkie odkrycie. Pracowałem dla waszego dobra, podczas gdy wy zbijaliście baki gnuśniejąc w domu. Przyznajcie, że jestem wielkim człowiekiem.

— Powiedz najpierw, co to takiego — wtrącił Ahrens.

— Epokowe odkrycie — prawil dalej Bolek. — A przy tym genialny pomysł, za który powinniście mi być wdzięczni do... końca wakacji.

— Nie blaguj, tylko powiedz nareszcie, o co chodzi — Przerwał Koziół.

— Słuchajcie, słuchajcie! Wasz genialny mistrz i przyjaciel, Bolesław Maliszewski, odkrył... zgadnijcie co?

— Kopalnię złota — mruknął ironicznie Kazik.

— Powiedźże nareszcie — zniecierpliwił się Ahrens.

— Patrzcie! — tryumfująco wykrzyknął Bolek wtykając im pod nos zardzewiały zamek i klucz.

Nastąpiło ogólne rozczarowanie.

— Głupie kawały — powiedział Dymidecki wykręcając się na pięcie.

— I po to, żeby pokazać nam kawałek żelaza, zwołałeś nas tutaj? — zapytał z oburzeniem Zygmunt.

— Durny jesteś, Koziół. Wiecie od czego jest ten zamek?

— Wiadomo: od drzwi.

— Bardzo to bystrze skombinowałeś. Zamek jest od drzwi, ale od jakich?

Chłopcy spojrzeli po sobie. Dymidecki zaczął wojowniczo odwijać rękawy.

— Jeżeli zaraz nie powiesz wszystkiego, sprawimy ci lanie.

— Łapy przy sobie — pośpiesznie zaczął Bolek zasłaniając się od kuksańców Dymideckiego, który szybko od słów przechodził do czynów. — Łapy przy sobie, Kazik. Znalazłem pyszny lokal, o którym nikt nie wie. Nawet Grey. Tam założymy klub i nie będziemy musieli kryć się po kątach. Chodźcie, pokażę wam; ale najpierw — słowo, że pary z ust nie puścicie; lokal musi być zakonspirowany na amen. Słowo?

— Słowo, słowo.

— Dawaj ten twój lokal.

Poszli wzięwszy ze sobą świece, których kilka Ahrens zwędził pani Borowiczowej ze spiżarni.

Bolek zaprowadził ich do oranżerii okólną drogą pod parkanem, zachowując wszelkie środki ostrożności.

— Najpierw trzeba wywietrzyć — powiedział, kiedy przybyli na miejsce. — Koziół, chodź ze mną, a wy uważajcie, czy Sorge nie kręci się gdzieś w pobliżu.

Między grządkami pomidorów weszli we dwóch na szczyt wzgórza porośły krzakami jaśminu i leszczyny.

— Tu gdzieś jest okienko — powiedział Bolek. Znaleźli je i uchylili z niemałym wysiłkiem.

Potem wszyscy czterej znikli w oranżerii i usunąwszy na bok rupiecie, tak że utworzył się między nimi a ścianą wąski przesmyk, znaleźli się w ciasnym tunelu.

— To ci bycza dziura — zauważył z uznaniem Koziół, kiedy Maliszewski zapaliwszy świecę pokazywał im odkrytą przez siebie lodownię.

— A teraz powiedzcie, czy mistrz wasz i prezes nie jest wielkim człowiekiem? — triumfował Bolek.

— Jest, jest. Świetna piwnica. Nareszcie będzie można spokojnie pociągnąć „szmonia”, zamiast słuchać wieczorem, jak Paniczyk czyta na głos upajając się swoją dykcją.

— Tu przynajmniej można swobodnie zapalić i zagrać.

— A czasem wypić kieliszek — powiedział Bolek wyciągając spod bluzy butelkę.

— Brawo, Bolek! — zawołali chórem.

— Oblejmy otwarcie lokalu „pomidorowej piwnicy” — zaproponował Koziół.

— Doskonale: „Klub Pomidorowej Piwnicy” — podchwycił Maliszewski. — Pierwszy raz powiedziałaś mądre słowo, Koziół. W twoje ręce.

Butelka obeszła dokoła. Pili, wstrząsając się i krzywiąc. Prawdę powiedziawszy wódka nikomu nie smakowała. Robili to raczej dla przekonania się nawzajem, że są już dorosłymi ludźmi, niż dla przyjemności.

Potem zaczęli meblować piwnicę, do czego posłużyły w znacznej mierze graty z oranżerii.

Ponieważ obecność na wieczornym czytaniu była nieobowiązkowa, jeszcze tego samego wieczora „wypróbowali” swój lokal, grając talią nowych kart, po które Bolek specjalnie posłał do miasteczka syna jednego z fernali.

„Klub Pomidorowej Piwnicy” zbierał się odtąd w soboty i niedziele, w największej tajemnicy przed Greyem i kolegami. Wprawdzie Ahrens miał pewne wątpliwości i skrupuły co do wódki, po której kilkakrotnie członkom klubu robiło się niedobrze, ale zostały one zaraz na wstępie rozwiane przez resztę z Maliszewskim na czele.

Hazard wciągał ich teraz ze wzrastającą siłą. Niewielkie początkowo sumy, które przegrywali i wygrywali, rosły za każdym „posiedzeniem” coraz bardziej i Koziół, który stałe miał pecha, zadłużał się nie na żarty.

Rosnące długi karciane i wpływ alkoholu źle działały na jego nastrój. Dawniej wesoły i zawsze gotów do zabaw i sportów, stał się teraz ponury i ociężały. Opuścił się w lataniu (co zresztą Grey zauważył od razu, zarówno u niego, jak i u innych członków stowarzyszenia). Stał się opryskliwy i kłótlivy, unikał Greya i dopiero w „klubie”, rozpalony gorączką gry, ożywał się na przeciąg kilku godzin, aby popaść w większe jeszcze przygnębienie nazajutrz.

Ahrensowi dokuczały w dalszym ciągu wyrzuty sumienia stłumione chwilowo drwinami Bolka. Dymidecki i sam prezes, Maliszewski, też nie czuli się dobrze żyjąc w ciągłej obawie, że ich tajemnica zostanie ujawniona.

Mimo to brnęli dalej, ponieważ żaden z nich nie miał dość cywilnej odwagi, aby wystąpić z propozycją zaniechania gry i picia alkoholu. Każdy obawiał się drwin pozostałych, a przy

tym hazard omotał ich mocno i nie puszczał.

Niemalą rolę odgrywał także pewien nimb tajemniczości otaczający ich wobec młodszych kolegów, którzy wiedzieli tyle tylko o „klubie”, że nosi on nazwę „Klubu Pomidorowej Piwnicy” i że zbiera się na konspiracyjne posiedzenia w miejscu nikomu nie znanym w Siedliskach.

Jeden tylko Bielak wzruszał ironicznie ramionami nazywając całą tajemnicę bujną na resorach.

Nazajutrz po rozmowie Karola z Greyem była sobota ; Stefan Wirecki — — jak zwykle — miał czytać wieczorem głośno „Murzyna z załogi Narcyza”. Ale zaraz po lotach, w czasie mycia maszyn i napełniania zbiorników benzyną, zwolnił się od tego obowiązku składając go na barki Ciapy, który czytywał z nim na zmianę. Kramer i Plichta zapowiedzieli jeszcze wcześniej, że tego wieczora nie będą obecni, a ponieważ na członków „Klubu Pomidorowej Piwnicy” (czyli „pomidorów”, jak ich nazywano) też nie można było liczyć, grono słuchaczy zmniejszyło się do sześciu chłopców.

Wieczorem ochłodziło się i zaczął padać drobny deszcz. Zakrzewski czytał przy zapalanej lampie w bibliotece.

Tymczasem z sypialni przez ciemny korytarz wymknęły się cztery postacie wtajemniczonych i znikły w podwórzu. Tuż za nimi sunęły dwa niewyraźne cienie kryjąc się za występami ścian i pniami drzew.

Mijając sztachety ogrodu „pomidory” rozdzieliły się. Maliszewski i Dymidecki poszli dalej prosto w stronę szosy. Ahrens i Kozioł rozejrzawszy się bacznie dokoła przesadzili parkan i ukryci pod cieniem drzew zmierzali wprost ku starej oranżerii.

Siedzące ich cienie zatrzymały się, aby odbyć krótką naradę, której wynikiem był dalszy kierunek drogi za pierwszą parą skręcającą między zabudowania elektrowni i betoniarni.

Ahrens i Kozioł zwolnili kroku; musieli zaczekać na tamtych, którzy szli drogą okólną.

Wychodząc na otwartą przestrzeń przed wejściem do oranżerii Kozłowski nagle chwycił Ahrensa za ramię.

— Co takiego? — spytał Janek trochę przestraszony.

— Csss... tam — Zygmunt wskazał ręką na oranżerię.

— Co?

— Zdawało mi się, że ktoś tam wszedł.

— Eh, zdawało ci się. Tamci jeszcze nie mogli nadejść. ~ Właśnie! A jednak widziałem poruszający się cień.

Podeszli bliżej skradając się bezgłośnie i ostrożnie uchylili drzwi. Wewnątrz było cicho i ciemno. Przecisnęli się wąskim korytarzem wśród połamanych gratów i Ahrens przekręciwszy klucz w dobrze naoliwionym zamku otworzył drzwi piwnicy, po czym wszedł i zapalił świecę.

Kozłowski został w oranżerii. Po chwili usłyszał obok siebie szmer. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał z bijącym sercem. Szmer powtórzył się w stronie półotwartych drzwi. Jakby ktoś cichutko czołgał się na czworakach.

— Kto tam? — spytał nieco drżącym głosem. Żadnej odpowiedzi.

— Kto tam? — powtórzył głośniejszym głosem. We drzwiach ukazała się głowa Janka. —

— Woląłeś mnie?

— Nie.

Weszli Maliszewski i Kazik.

— Nikogo nie spotkaliście? — spytał Zygmunt.

— Nie, bo co?

— Nic, tak pytam.

Poszli do piwnicy. Bolek szedł ostatni i zamknął drzwi od wewnątrz. Polem sięgnął na półkę po papierosy.

— Dobry wieczór — odezwał się z ciemnego kąta jakiś głos.

Chłopcy skamienieli. Przed nimi skrzyżowawszy ręce na piersiach stał Wirecki i uśmiechał się.

Plichta wylazł spomiędzy stołków i desek, sprawdził, czy drzwi od piwnicy są zamknięte na klucz, po czym gwizdnął z cicha przez zęby. Ktoś wszedł do oranżerii.

— Jędrak?

— Ja.

— Widziałeś?

— Widziałem. Wszedł tu jeszcze przed nami. Potem Ahrens zostawił drzwi otwarte, a Kozioł stał na straży,

— Omal mnie nie rozdeptał, Wirecki przeszedł tuż obok niego. Słyszysz?

Przykucnęli pod drzwiami.

— Wcale nie myślę was sypać — mówił Stefan. — Przyszedłem z warni zagrać.

— Widziałeś ty, jaka sztuka? — trącił Kramer w bok Plichtę.

— Chce zdobyć ich zaufanie — szepnął Adam.

Głosy w piwnicy przycichły i zmieszały się w stłumiony gwar. Potem umilkły prawie zupełnie.

— Pałą — powiedział Adam pociągając nosem.

— Ciekawym, co z tego będzie — mruknął Kramer. — Zostań tu, ja pójdę zobaczyć, czy tam nie ma jakiego otworu.

— Gdzie?

— Na wzgórzu pomidorów. Nie rozumiesz?: „pomidorowa piwnica”...

— Ach, tak. Racja! Ale jeżeli jest okno, to zasłonięte: muszą być przecież ostrożni. Zobacz.

Andrzej wyszedł po omacku. Plichta został sam i nasłuchiwał dalej.

— Sto dwadzieścia w banku — doszedł go głos Wireckiego.

— Bagatela — mruknął mały szpieg do siebie.

— Po banku — powiedział Kozioł.

— Siódemka wygrywa.

— Wygrała! Dwieście czterdzieści do bicia.

— Biję — rzekł Ahrens, I znów po chwili.

— Czterysta osiemdziesiąt; Dymidecki zawahał się.

— Do spółki? — zapytał Boleki

— Nie: bank!

Wirecki znów wygrał od niego i od Maliszewskiego; W banku było tysiąc dziewięćset dwadzieścia złotych.

Do czego on zmierza? — pomyślał Plichta. Głosy znów przycichły i zmieszały się. Nad czymś radzono i spierano się o coś.

Minęła dłuższa chwila. Wreszcie Adam usłyszał głos Stefana :

— Dobrze. Daję wam tę szansę: możecie raz zagrać, do spółki we czterech. Więc tysiąc dziewięćset dwadzieścia złotych... No, dwa tysiące, dla równego rachunku. Potem wam coś proponuję.

Rozdał karty. Tamci spierali się jeszcze. Dokupili.

— Osiem — powiedział Kozłowski.

— Mało: ja mam dziewięć. Cztery tysiące do bicia.

— Biję — zduszonym głosem powiedział Kazik.

— Nie, bracie. Nie masz czterech tysięcy. Dość.

— Więc ja biję — powiedział Bolek. — Albo do spółki.

— Nie, nie chcę wygrywać od was tyle. Dałem wam wszystkie szanse. Dam wam jeszcze jedną: jeżeli teraz przegram, otrzymacie z powrotem gotówkę i kwity na dwa tysiące złotych; jeżeli wygram... otrzymacie je również w zamian za pewne zobowiązanie.

— Jakie? — zapytały cztery głosy jednocześnie.

— Dacie słowo, że to będzie ostatnia wasza gra tutaj. Zapanowało milczenie.

Potem rozległ się nerwowy, trochę drżący głos Maliszewskiego.

— Słowo honoru, jeżeli przegram.

— Słowo... Słowo... Słowo... — powtórzyli pozostali trzej.

Plichta uszczypnął się w udo, aby głośno nie wyrazić swego podziwu. Dałby wiele za to, aby znaleźć się wewnątrz.

Zaskrzypiały leciutko drzwi oranżerii. Kramer wszedł i półgłosem zawołał przyjaciela.

Adam podszedł do niego trochę zniecierpliwiony, że przerwano mu w najciekawszym miejscu.

Jędrak dyszał ciężko i był widocznie czymś silnie podniecony.

Wyszli z oranżerii, aby móc rozmawiać bez obawy, że usłyszycie ich ktoś w piwnicy.

— Co się stało? — zapytał Plichta.

— Grey tam był. Sorge coś musiał zwąchać i powiedział mu. Przyszli razem, potem Sorge odszedł, a Grey minąwszy krzak, za którym siedziałem, spojrzął w okienko. Widocznie zapomnieli zasłonić...

— No i co?

— Nic. Popatrzył, cofnął się i zaraz odszedł w stronę domku Sorgego.

Adaś zastanowił się.

— Biegiem do domu! — zakomenderował.

Pobiegli na przełaj. Po drodze Jędrak mówił dalej:

— Zajrzałem tam do środka. Okienko jest małe. ukryte w trawie i chwastach. Widziałem tylko Wireckiego. Inni siedzieli tak, że nie było widać twarzy, tylko ręce, karty i pieniądze. Furę pieniędzy i kwitów. Będzie wsypa.

— Myślisz?

— Pewnie. Widziałem twarz Greya: jakby w niego piorun strzelił!

Dopadli domu. Okno ich sypialni było uchylone i mogli tą drogą dostać się do wnętrza, ale Plichta spojrzawszy na swoje zabłocone buty zmienił zamiar.

Okrążyli dwór i weszli przez kuchnię tak cicho, że pani Borowiczowa nie zauważyła ich wcale, pogrążona w rachunkach gospodarczych.

Stefan po raz ostatni rozdawał karty. Przeżywał nową emocję, dotychczas nie znaną, ale choć czuł, że to, co robi, jest słuszne i zgodne z jego sumieniem, sam udział w grze o pieniądze ciążył mu nieznośnie.

To może wciągnąć — zauważył w duchu.

Dymidecki wziął dwie karty do ręki.

— Dosyc — powiedział.

Wirecki miał piątkę i króla. Namyslał się, czy dokupić jeszcze jedną kartę.

Muszą mieć dużo — kombinował. — W poprzednich grach wyszło niewiele młódek. Teraz powinny być.

Dokupił i wolno odsłaniał, W rogu wyłoniła się brzuchata ósemka.

Przegrałem — pomyślał. — Trzy — powiedział prawie szeptem.

— Cztery — westchnęli z ulgą członkowie „klubu”.

— Gdybyś nie kupował, wygrałbyś — miałeś piątkę — — zauważył Kazik.

Twarz Stefana poszarzała, ciężko wstał od stołu.

— Wygraliście — powiedział. — Pieniądze są wasze. Ale... — zawahał się.

Potem machnął ręką i ruszył ku drzwiom.

— Daję słowo, że grałem dziś po raz ostatni — powiedział głośno Bolek Maliszewski, patrząc wyzywająco na twarze trzech „pomidorów”. — I zwrotu długów nie przyjmuję — dodał jeszcze głośniejszym głosem.

Wirecki odwrócił się jak na sprężynie.

— I ja — powiedział Ahrens.

— I my — oświadczyli Dymidecki i Kozłowski.

Oczy Stefana rozświetlił nagły błysk. Potem na usta wypłynął mu uśmiech. Podeszedł z powrotem do stołu. Wyciągnął rękę. Uścisnęli ją kolejno w milczeniu, Uścisk był mocny, mówiący więcej niż słowa.

Wirecki opuścił „pomidorów” i skierował się wolnym krokiem przez park do domu. Było mu lekko i wesoło.

— Kiedy mijał domek Sorgego, spotkał się nagle oko w oko z Greyem,

— Skąd idziesz? — na pozór obojętnie zapytał porucznik.

Chłopak zmieształ się. Za nic w świecie nie powiedziałby Greyowi o tym, co przed chwilą robił. Nie tylko ze względu na członków „klubu”, których nie chciał wsypać, ale także — ponieważ musiałby wyjawić swoją rolę w całej tej sprawie.

— Byłem na spacerze — skłamał czerwieniąc się i natychmiast poczuł, że Grey mu nie wierzy.

Porucznik popatrzył na niego uważnie, ale było ciemno, a Stefan opuścił głowę.

— Źle robisz — powiedział Grey z naciskiem. — Źle robisz, Stefan. Jeżeli chcesz, wstąp do mnie teraz; porozmawiamy szczerze, zgoda?

Wirecki tego najwięcej się obawiał. Raz jeszcze postanowił milczeć.

Kiedy po upływie pół godziny wychodził z gabinetu Greya, ten ostatni nie wiedział nic więcej o całej sprawie niż przed tą rozmową.

Nie próbował rozwiązywać zagadki, jaką był dla niego udział Wireckiego w grze. Przypuszczał, że sama wyjaśni się wkrótce.

Nie mógł tylko pogodzić się z faktem, że Paniczyk uprawia hazard i wykręca się albo milczy zamiast otwarcie się przyznać. Nie mógł w to uwierzyć. Podejrzewał, że za tym zaciętym milczeniem kryje się coś, co być może zmienia zupełnie postać rzeczy. Mimo woli jednak odczuwał pewien zawód i żal do Wireckiego.

Wirecki natomiast opuściwszy pokój Greya odetchnął z ulgą. Wolał już wszystko inne niż badawczy, do głębi sięgający wzrok porucznika. Nie mógł znieść spojrzenia pełnego wyrzutu i wyrazu rozczarowania, jaki malował się na jego twarzy.

W korytarzu spotkał Plichłę i Kramera w tak podejrzanie małej odległości od drzwi gabinetu, iż mimo woli przyszło mu na myśl, że podsłuchiwali.

Przystanął i odwrócił się, ale obaj mieli miny doskonale obojętne, jakby ich nic nie

obchodziły wszelkie inne sprawy poza własnymi myślami, w których zdawali się być pogrążeni.

— Co wy tu robicie? — zapytał ich zniecacka.

— Czekamy na pana Gałęckiego, ma tu zaraz przyjść — odrzekł Adam i Paniczyk uspokojony odszedł.

Zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, Jędrzek jednym susem znalazł się obok Plichty.

— No i co ty na to? — szepnął podniecony.

— Ba, to było do przewidzenia. On woli sam być w fałszywej sytuacji wobec Greya niż fagasować na nich.

— Trzeba to jakoś załatwić. Nie pozwolimy przecież, żeby on... żeby Grey o nim tak myślał. Trzeba powiedzieć Greyowi...

— Powoli, powoli, bo zrobisz głupstwo.

— Ależ...

— Słuchaj: jeżeli Paniczyk nie chciał fagasować na „pomidorów”, i my też nie możemy tak zrobić. Pomyślą, że to on. Nie, zrobimy inaczej. Chodź.

Poszli do sypialni.

Nadchodziła już pora udania się na spoczynek. Plichta i Kramer sypiali razem z „Klubem Pomidorowej Piwnicy” i z Ciapą. Pozostali chłopcy zajmowali pokój sąsiedni.

Kiedy weszli do sali, klubowa czwórka wsuwała się w milczeniu pod kołdry.

Zaczęli się rozbierać. W pewnej chwili Adam mrugnął na Kramera:

— Jak myślisz, Jędrzek, ile jest warte słowo honoru? — spytał niewinnie.

— Cztery tysiące złotych — rzeczowo odparł zagadnięty, — Bez targu: cena stała.

— Zawracanie: każdy kupuje inaczej. To jest cena, która płaci Wirecki. Ja bym tyle nie dal.

— O czym wy mówicie? — spytał Ahrens.

— Słyszysz przecież — zbył go Plichta; — Ciągniesz do piątki? — zwrócił się do Andrzeja.

Cztery głowy podniosły się z poduszek. Cztery pary oczu spojrzały na obu przyjaciół.

— Dobranoc — powiedział Adam.

— Dobranoc.

— Zaraz, zaraz — zaprotestował Ahrens. — Jedno wyjaśnienie: skąd wiecie o tym, co zaszło dziś wieczorem?

— Oh, mój drogi, wiemy. Niech ci to wystarczy. Gorzej, że wie o tym Grey. Jeszcze gorzej nawet: Grey widział Stefana. Tylko Stefana i miał z nim rozmowę. A Stefan nie pisał słówka o was. To wszystko. Rozumiesz?

— Dobrze. Jutro wyjaśnimy Greyowi, jak było.

— W porządku — zgodził się Plichta. I wszystko było w porządku.

8.

— Start! — powiedział Grey i dał znak ręką? Zakrzewski odciągnął dźwignię do końca, Zawarczało śmigło.

Rzucił ostatnie spojrzenie za siebie i wlepił wzrok w horyzont.

Pod nim uciekała w tył krótko skoszona trawa lotniska. Na przedzie rósł, grubiał, zbliżał się pas rozfałowanego żyta, widoczny dobrze przez delikatny, przeźroczyście połyskliwy wachlarz śmigła.-

Maszyna sama oddzieliła się od ziemi. Rozpędzone koła kręciły się jeszcze, gdy horyzont zaczął schodzić w dół zataczając coraz szerszy krąg, przez co kopuła nieba uwypuklała się i wznosiła wraz z samolotem.

Serce Karola biło mocno. Strach przyczajony gdzieś głęboko próbował nim zawładnąć raz po raz. Ale Karol trzymał się.

Pierwszy zakręt omal nie pokonał jego nerwów: wzrok chłopca padł na przednie siedzenie, gdzie dotychczas zawsze były plecy Greya. I nagle Karol zdał sobie sprawę, że nie może już liczyć na nikogo; że jest sam, zupełnie sam. Przed nim, pochylony w wirażu na burtę, lekko poruszał się drążek sterowy instruktora kierowany teraz tylko dłonią Karola, Nikt nie poprawi błędu, jeśli jakkolwiek błąd zostanie popełniony. Nikt nie pomoże.

Samolot, za długo wytrzymany w zakręcie, zaczął ześlizgiwać się łagodnie ku ziemi. Zakrzewski przypomniał sobie, że czas wyrównać.

I znowu przedni ster wykonał ruch jednocześnie z jego sterem. Chłopiec nie mógł od niego oderwać oczu. Zdawało mu się, że poruszenia tego steru są zbyt wielkie i co chwila oczekiwał niebezpiecznych wychyleń maszyny, które jednak nie następowały.

Wtem przypomniał sobie o konieczności obserwowania lotniska i drogi, którą leci; mógł się przecież zgubić. Ale lotnisko leżało na lewo w dole widoczne wyraźnie z małej wysokości, na której się znajdował. Poszukał miejsca, gdzie miał wykonać następny zakręt. Znał je dobrze: grupa białych brzoź, o długich, rozczesywanych wiatrem warkoczach. Potem krótki prosty lot z wiatrem, aż za żółte, pachnące słodko pole lubinu i następny zakręt.

Jakoś wszystko szło dobrze. Zakrzewski uświadamiał to sobie z lekkim zdziwieniem, które przechodziło w radosną pewność siebie, póki nie zaczął myśleć o lądowaniu.

Z tą chwilą zbudziły się nowe wątpliwości. Zetknięcie z ziemią wydawało mu się groźne, a gładkie doprowadzenie samolotu bez niebezpiecznych dla podwozia wstrząsów i podskoków — prawie niemożliwe.

Trzeba jednak było zacząć. Przymykał gaz powoli, z mimowolną obawą przed ciszą następującą po warkocie silnika. Przez chwilę zdawało mu się, że maszyna pozbawiona ciągnącej siły śmigła opadnie w dół jak kartka papieru, i zawahał się — Ale przezwyciężywszy nierozsądną obawę, zamknął gaz.

Silnik ścichł. Śmigło szeptało, seplenilo, linki nośne szemrały pogwizdując cichutko, wiatr dmuchał i uciekał gdzieś raz po raz w bok, aby po chwili zadać znowu. Pod kadłub samolotu wsuwały się jedno za drugim zielone pola wielkiej szachownicy-ziemi i nikły za statecznikiem. Na wprost, szeroko rozpostarte, leżało lotnisko z białym, wysypanym wapnem kołem i napisem „Siedliska”.

Obok stała grupa. Tam trzeba było wylądować.

Karol włączył na chwilę kontakt, aby przekonać się, czy cylindry należycie zasysają mieszankę. Silnik cyknął raz i drugi, wypuścił pod siebie czarny skłębiony ogon dymu i pociągnął. Linki gwizdnęły o jeden ton cienie.

Dobrze — westchnął Zakrzewski z ulgą, wyłączając.

Samolot zniżał się. Był już nad skrajem lotniska.

Ciągnąć? — pomyślał chłopiec, ale było jeszcze za wysoko.

Czekał. Wreszcie zdecydował się. Pociągnął lekko na siebie. Ster w przednim siedzeniu gondoli powtórzył jego ruch. Ale przy lądowaniu nie można patrzeć na ster. Karol widzi tylko ziemię coraz szybciej pędzącą pod maszyną. Potem na lewo przelatuje grupa, potem... leciutkie dotknięcie kółkami.

Ciągnąć! Trochę zbyt gwałtownie zdarta maszyna ostatnim wysiłkiem prędkości unosi się

nico w górę. Niewiele: trzydzieści-czterdzieści centymetrów, aby lekko przepaść¹⁴, ponownie odbić się, zawadziwszy tym razem także płożą i wreszcie potoczyć się w równym dobiegu.

„Start!” — kiwa ręką Grey.

Zakrzewski widzi jego wesoły uśmiech. I zanim jeszcze Morane może ukończyć dobieg, znów silnik wyrzuca go w powietrze.

Karol lata. Sam prowadzi maszynę, sam daje sobie radę!

Coraz mniej miejsca w świadomości zajmuje niebezpieczny sprężysty załazek strachu. Coraz cieplej po całym ciele rozplywa się pewność siebie i zaufanie do maszyny.

Drażek sterowy w przednim siedzeniu odchyła się w prawo i w lewo, w tył i w przód...

Niech sobie — myśli chłopiec, już z lekceważącym uśmiechem.

Jak zwykle po pierwszym powodzeniu w powietrzu rośnie zwycięska brawura: położyć mocniej na skrzydło w wirażu, podciągnąć.

I nagle... silnik przerywa!

Tym gwałtowniej zapala się teraz żagiew strachu. Rozszerzone źrenice szukają lotniska: prędko, prędko... Na karku siada okrakiem przerażenie palące grzbiet gorącym, to znów lodowatym oddechem.

Ratunku, co to?!

Ale to nic wielkiego: już dalej szumi jednostajnie silnik i mocno wpierają się skrzydła w masę gnanego śmigłem powietrza.

Wreszcie — znów lądowanie:

Już, czy jeszcze nie? Ciągnąć czy trzymać?

Ciągnąć!

Sypią się pod maszynę zielone źdźbła trawy jak prążki smyrneńskiego dywanu. Horyzont zajmuje należne mu miejsce. I Karol zapomina przez krótką chwilę, że jest sam w maszynie. Zdecydowanym, płynnym ruchem ściąga ster na siebie tak, jak to robił z Greyem.

W tej samej chwili jednak wzrok jego pada na nie zajęte miejsce instruktora w gondoli i ów niesamowicie żywy sterowy drażek, śmiało, za śmiało może ściągnięty.

Przecież jest sam, zupełnie sam...

Maszyna przyciera gładko tuż obok grupy; przyciera, jakby Grey siedział na swoim miejscu w kabinie.

Karol wysiadł trochę oszołomiony. Tak dziwnie jest chodzić tu w dole. I wszystko stoi w miejscu! I jest się tak głęboko, głęboko, na samym dnie przestrzeni. A głosy ludzkie i cisza są dziwnie łagodne i mile brzmiące po jednostajnym warkocie silnika.

Najmilszy zaś jest głos Greya:

— No, dobrze. Zwłaszcza drugie lądowanie; niepotrzebnie głęboki zakręt; za pierwszym razem poślizg na skrzydło; to dlatego, że ster za mało ściągnięty w krzywiźnie, Zresztą dobrze. Silnik przerwał, zdaje się, teraz?

— O nie!

Sympatia Zakrzewskiego jest całkowicie po stronie silnika: nie trzeba go oskarżać o byle co.

Potem gratulacje kolegów; Karol jest zmieszany. Ale już wkrótce znika skrępowanie sytuacją.

¹⁴ Przepadanie — nagła strata wysokości (od jednego do kilkudziesięciu metrów) wskutek przejścia samolotu przez strefę chłodnego prądu lub wskutek straty prędkości.

Wylaszował się¹⁵ wprawdzie ostatni, ale za to niemal bez błędu. Unosi go radość. Karol mówi. Jak startował i brał zakręty, jak szedł do lądowania, jak za drugim razem na chwilę przerwał silnik...

— Więc jednak przerwał? — rzuca z przekornym uśmiechem Grey.

Chłopcy roześmiali się. Zakrzewski umilkł zaczerwieniony i ze skruchą spojrzął na Greya. Ale Grey śmiał się także. Wszystko dokoła Gapy miało jasny blask uśmiechu tego szczęśliwego dnia.

W samo południe, po przygotowaniu maszyn, brudni, usmarowani czarnym olejem, poszli do basenu omawiając po drodze warunki wyścigu. Grey zaproponował odległość dwieście metrów i wyznaczył nagrodę w postaci nowych okularów lotniczych.

— Dwieście metrów to za mało — oświadczył Szczerbiński. — Nie można się nawet dobrze rozpedzić.

Po krótkiej naradzie zgodzili się na trzysta.

Ahrens, który był najgroźniejszym przeciwnikiem Leszka Szczerbińskiego obok dorównujących mu na krótszych dystansach Radlicza i Nowaka, obiecywał sobie tym razem zwyciężyć.

Radlicz trenował wytrwale od kilku tygodni, zaniehbując nawet piłkę nożną dla zaoszczędzenia sił i skupienia ich w jednym kierunku. Ale i Bielak, górujący siłą fizyczną i wytrzymałością nad nimi wszystkimi, też trenował dużo w ostatnich dniach. Wynik był więc bardzo niepewny.

Rozebrali się szybko i przeciągnawszy wzdłuż basenu równoległe linki kierunkowe stanęli na mecie?

Basen był tak szeroki, że mieścił doskonale wszystkich trzynastu. Stali schyleni nad wodą i czekali. Grey z przyjemnością patrzył na ich mięśnie, stwardniałe i wypukłe pod dobrze naciągniętą skórą. Widział już rezultaty kilkutygodniowego ich pobytu w Siedliskach.

Trzymając w lewej ręce stoper, prawą wyjął z tylnej kieszeni pistolet.

„Uwaga” — powiedział.

Pochylili się więcej jeszcze.

„Raz — dwa...”

Na „dwa” huknął strzał, a po sekundzie nastąpił plusk.

Grey widział, jak skakali: Szczerbiński płasko na piersi, prawie nie zanurzając się; Radlicz z mocnego odbicia sprężystych, wyćwiczonych w piłce nożnej nóg; Bielak jak ciężka, wielką siłą wyrzucona torpeda; Ahrens lekko, niemal samym wymachem ramion w przód.

Ci czterej skoczyli pierwsi i razem plasnęli o wodę. Dopiero za nimi rzucili się pozostali przedłużając bryzgliwy okrzyk fali.

Zaczęli płynąć: Szczerbiński, Radlicz i Ahrens czałem.

Bielak po kozacku, sadząc ogromnymi susami; pozostali trudgenem-, over-arm i jak kto umiał. Na końcu płynął Zakrzewski spokojnym długim rzutem żabiego ruchu¹⁶.

Grey szedł wzdłuż poręczy basenu, aby zanotować wyniki wszystkich pięćdziesięciometrowych nawrotów.

Bielak prowadził. Tuż za nim parł Ahrens, potem równoległe obok siebie Szczerbiński i Radlicz. Woda burzyła się tysiącem bryzgów, zalewała twarze i napływała do otwartych ust wraz z powietrzem wciągany przez płuca gwałtownie, krótkimi przydecbami. Dalej bulgotała i burzyła się pod śrubową pracą nóg bijących jednostajnym, mocnym tempem. Ręce

¹⁵ Wylaszować się — wykonać pierwszy samodzielny lot bez instruktora.

¹⁶ Kozacki i in. — style pływania.

pracowały dokoła głów na powierzchni, siekać, zagarniając masy piennej, rozchełstanej wody; nogi meły bezgłośnie, tworząc za sobą płynne wzniesienia i bulgoczące-wiry. Spalone słońcem ciała ślizgały się płytko, wygięte w krzyżach, rozkołysane z boku na bok.

Czterej pierwsi odszadzili się od reszty o dobre dwa metry i już zawracali kolejno w nie zmienionym porządku. Ktoś z tyłu zachłysnął się i zakaszłał. Reszta mijala go szybko. Ciapa był drugi, potem trzeci, od końca.

Bielak ciągle prowadził, wysoko, niemal do pasa wynurzony z wody.

Gdyby płynął czałkiem — pomyślał Grey — nie daliby mu rady. A. i tak nie wiadomo...

„Sto metrowi” — zawołał głośno, kiedy pierwsza czwórka ponownie odbiła się od gładkiej ściany basenu.

Szczerbiński o parę cali zbliżył się do Ahrensa. Radlicz chciał mu dotrzymać placu, ale widocznie był już zmęczony; nogi jego pracowały świetnie, najlepiej bodaj ze wszystkich, ale ramiona z mniejszą pewnością przegarniały wodę.

Wtem Szczerbiński zawadził ramieniem o linkę odgradzającą go od sąsiada po lewej stronie. Rzucił się jak szczupak szerokim wymachem omijając przeszkodę, ale zanurzył się z głową i stracił pęd. Radlicz wyprzedził go o dobre pół długości; Ahrens i Bielak zawracali po raz trzeci. Leszek dostrzegł to wszystko jednym krótkim spojrzeniem poprzez mieniące się tęczo krople wody na rzęsach. Zaciśnął szczęki. Jego mistrzostwo wisiało na włosku. Pracował teraz co sił, z rzadka tylko pozwalając sobie na oddech. Mimo to na dwustu metrach był czwarty.

Bielak sapał jak miech kowalski. Serce waliło mu w piersiach młotem. Obejrzał się: Ahrens był tuż za nim. Równymi, lekkimi posunięciami ramion odpychał się naprzód. Mogło się zdawać, że płynie bez najmniejszego wysiłku.

Dalej pruł wodę Radlicz, raz po raz uderzając fontanną bryzgów spod nóg, niebezpieczny pomimo oddalenia Szczerbiński, a za nim wydłużony ogon pozostałych.

„Dwieście pięćdziesiąt!” — usłyszeli głos porucznika.

Bielak odepchnął się od ściany basenu. Był ciągle jeszcze na przedzie. Skupił wszystkie siły i parł przed siebie, daleko odrzucając masy wody spod muskularnych ramion, jakby nieczułych na zmęczenie. Po chwili znów się obejrzał. Płynąc po samej powierzchni wody Ahrens dopędzał go długimi szczupakami. Wił się jak piskorz, z twarzą w wodzie i młyńcem rąk nad głową. Radlicz zostawał w tyle.

Szczerbińskiego nie było widać. Pozostała po nim smuga fali pełna wirów i piany, nabrzmiąca z przodu chlaszczącym rozpryskiem. Od czasu do czasu jego ramię migało w powietrzu tuż nad wodą, aby zanurzyć się z pluskiem i rozedrzeć gładką powierzchnię przed sobą...

Grey patrzył na finisz z rosnącym, zaciekawieniem. Już był zwątpił o zwycięstwie Szczerbińskiego, ale teraz...

Leszek płynął jak łódź motorowa. W połowie długości basenu minął Radlicza zostawiając go daleko w tyle. Potem jak torpeda przemknął obok lekkiego Ahrensa i zrównał się z Bielakiem, który zajadłe pracował całym ciałem. Ostatnie pięć sekund płynęli równo, głowa przy głowie. Bielak wyżył całą moc ramion. Górował nad przeciwnikiem siłą. Zaczął wysuwać się naprzód.

Ale Szczerbiński wykazał zręczność i technikę węgorza: w chwili kiedy do mety pozostało najwyżej trzy metry i kiedy Bielak brał go o dłoń, nagle zwinął się w kłębek i rozciągnął jak sprężyna wyskakując na powierzchnię w błyskawicznym rzucie.

Dłonie klasnęły o kamienny brzeg: najpierw — Leszka, w pół sekundy później — Bielaka, w dwie — Ahrensa, wreszcie w dwie i pół — Radlicza.

Grey nie mógł rozpoznać, kto płynie piąty, bo chłopiec miał twarz zanurzoną w wodzie.

Dopiero po chwili ze zdumieniem ujrzał zaczerwienione wysiłkiem policzki i posiniały nos Karola.

Zakrzewski, jedyny z pozostałych chłopców, miał ambicję przybyć w możliwie najlepszym czasie. Inni, widząc przygniatającą przewagę pierwszej czwórki, nie śpieszyli się.

I Gapa gorąco poparty przez Greya po raz pierwszy triumfował.

Zmęczeni wysiłkiem pokładli się opodal na piasku. Gorące, do białości rozpalone słońce ssało z ich skóry kropelki wody. Piasek oblepiał ciepłym plastrem mokre plecy i ramiona. Błękitny dymek z fajki Greya snuł się w nieruchomym powietrzu.

— Niech pan nam coś opowie — zwrócił się do porucznika Stefan.

— Tak, tak, koniecznie — prosili. — Coś o sobie.

— Dobrze. Opowiem wam coś, co przypomniał mi dzisiejszy wyścig pływacki — powiedział Grey. — Ale to nie będzie o mnie. I nie o lataniu.

Było im wszystko jedno o czym: to, co opowiadał Grey, budziło zawsze najwyższe zaciekawienie.

Nabił fajkę, zapalił i zaczął mówić.

— Jednym z najważniejszych czynników w każdym zawodach sportowych jest ambicja wytrwania, mimo przeciwności i niepowodzeń, do końca. Dziś Zakrzewski dał przykład takiej właśnie ambicji sportowej. Opowiem wam o podobnym zdarzeniu, choć wtedy sportowiec, o którym będę mówił, miał większe szanse zwycięstwa, a jedynie pech nie pozwolił mu ich wykorzystać.

Było to dwa lata temu na międzynarodowych wyścigach samochodowych w Paryżu. Przyszedłem na krótko przed startem na olbrzymi tor otoczony tłumem ludzi. Dzień był gorący jak dziś. Tłok okropny. Na mecie stało ze czterdzieści maszyn, a wszystkie były wspaniałe.

Jesienne wyścigi w Paryżu należą do najbardziej znanych zawodów w Europie i ściągają automobilistów ze wszystkich krajów. Do biegu bywa zapisanych czasem po sto samochodów, z których po jazdach eliminacyjnych pozostaje kilkadziesiąt.

Za kierownicą każdego z nich siedział człowiek w białym kombinezonie, w białych rękawicach, z białą zamszową haubą lub kaskiem korkowym. Siedział i denerwował się. Obok stali pomocnicy i mechanicy gotowi do wypchnięcia maszyn za linię startu.

Przechodząc obok tej linii, zauważyłem piękną maszynę nie znanej marki, bez kierowcy. Była długa, niska, z szeroko rozstawionymi kołami. Obok niej stał niepozorny, suchy człowiek z odkrytą głową, w jasnym podniszczonym ubraniu i oparty o maskę silnika palił cygaro.

„Czy to członek jury?” — zapytałem jednego ze znajomych.

„Nie”

„Więc kto?”

Mój znajomy uśmiechnął się.

„To najlepszy kierowca Anglii, Taylor. Jedzie na maszynie własnej konstrukcji, która po raz pierwszy bierze udział w wyścigach”.

W tej samej chwili sędzia dał sygnał do odjazdu pierwszego samochodu. Pięćsetkilometrowy bieg rozpoczął się.

Ale całą moją uwagę pochłonął Taylor i jego wóz oznaczony numerem dziewiętnaście. Zdziwiłem się, że silnik nie jest w ruchu. Inne maszyny warczały głucho, drżały, dymiły spalinami.

Wóz z numerem dziewiętnaście stał spokojnie; zdawał się drzemać. Jego właściciel obojętnie puszczał kłęby dymu z cygara. Nie miał nikogo do pomocy; był sam.

Z mety wyrwał się dziewiąty i dziesiąty wóz. Odjeżdżały co dziesięć sekund. Za półtorej minuty Anglik powinien wyruszyć.

„Dlaczego nie zapuszcza pan motoru?” — zapytałem. Spojrzał na mnie wyblakłymi oczami. „Motor jest w ruchu” — powiedział nie wyjmując z ust cygara.

A widząc moje niedowierzanie odwrócił się i odkrył maskę.

Zobaczyłem długi rząd cylindrów. Zawory pracowały bezgłośnie równym rytmem. Wyjął z bocznej kieszeni ołówek i ostrożnie postawił go na korku chłodnicy; Nacisnął pedał. Silnik zasyczał miękko i cicho. Przy dużych obrotach ołówek stał i nawet nie drgnął. Motor był wyregulowany idealnie.

„Siedemnasty uwaga!” — zawołał sędzia startowy; „Jazda!” — skinął chorągiewką, „Osiemnasty, uwaga!” „Jazda!”

Tuż obok mnie runął w przestrzeń Packard, zasłaniając się błękitnym wachlarzem spalin, Taylor siadł za kierownicą.; „Dziewiętnasty, uwaga!”

Nie ma okularów — pomyślałem, — Jak on będzie jechał?

„Jazda!”

Czarny samochód Taylora znikł. Jakby go kto wystrzelił w skrót perspektywy na popielatym torze. Pozostała po nim tylko czarna smuga niknąca w mgnieniu oka.

Po tłumie przeszedł szmer podziwu: czarna smuga minęła zakręt z pełną prędkością, jak burza przeszła obok Packarda i dwóch Daimlerów, pomknęła po prostej w takim pędzie, że ledwo wzrok mógł za nią nadążyć.

Uwagę tłumu odwróciły teraz najwcześniej wypuszczone wozy przelatujące przez metę po pierwszym okrążeniu.

Powiało od nich wicherem pędu: sto trzydzieści na godzinę.

Ja jednak patrzyłem tylko na Taylora.

Jak on jechał! Na drugim zakręcie maszyna zarzuciła tyłem, omal nie wpadła na barierę, zesłała w dół po bandzie i wyprzedziwszy jeszcze trzech innych zawodników, śmignęła przed trybuny.

Zdawała się lecieć w powietrzu nad popielatym torem. Witały ją zamarłe ze zdumienia twarze tysięcy widzów. Odprowadzały — pełne podziwu spojrzenia.

„Taylor... Taylor...” — szło wołanie jak fala.

A Taylor wyprzedzał jedną maszynę po drugiej. Dwa Bugatti wyprzedził mistrzowskim, ledwo widocznym ruchem kierownicy i runął w dół z wysokiej bandy.

Z wyciem pędu przemknął przez metę. Pierwsze okrążenie zrobił w niecałe trzy minuty, osiągając dwieście dziesięć kilometrów na godzinę. Był czwarty; po minucie wysunął się na drugie, po dwóch — na pierwsze miejsce. W niespełna kwadrans zdystansował wszystkich o dwadzieścia kilometrów.

Właśnie po raz szósty wpadał jak pocisk na metę, kiedy nagle rozległ się huk i czarna maszyna skręciła w lewo, w prawo i znów w lewo, potarła bokiem o barierę i stanęła.

Tłum zakochał się. Francuzi z nie ukrywaniem zadowoleniem zaczęli sykać i gwizdać.

Taylor miał pęknięte obie tylne dętki.

Zanim jeszcze jego wóz zatrzymał się w miejscu przeznaczonym na postój, już klęczał obok i zdejmował koła. Jak spod ziemi wyrósł jego mechanik z jednym kołem. Drugie zdjęli z podstawki za karoserią. W trzy minuty maszyna była gotowa. Obok niej przelatywały inne, jak cienie.

Ruszyła od razu z wielką prędkością. Widać było, że bije wszystkich bez trudu.

Ale zaraz na drugim zakręcie pękły znów dwie dętki; tym razem lewa przednia i prawa tylna. Czarna dziewiętnastka zakręciła się w miejscu jak bąk. Omal nie runęła przez bandę w

tłum.

Podniósł się krótki krzyk i umilkł. Taylor zjechał ku barierze, wysiadł i spokojnie zapalił cygaro.

Z drugiego końca toru na przełaj mknął ku niemu na motocyklu mechanik wiozący zapasowe koła. Założyli je i Anglik zaczął odrabiać czas stracony.

Był na czwartym miejscu, gdy pęknięcie dętki rzuciło go bokiem o bandę.

Znów zmienił koło i wyprzedzał kolejno współzawodników. I znów na jakimś wirażu omal nie przekoziółkował, gdy przednie opony z hukiem zsunęły się z obręczy.

Tym razem zabrakło zapasowych kół.

Musiał czekać. Stał oparty o maskę i z doskonałą obojętnością palił kolejne cygaro.

Tłum gwizdał, ale on nie zważał na to.

Dziewięć maszyn biło go o dwanaście okrążeń. Prowadzący Packard miał ich czterdzieści, Taylor — dwadzieścia osiem. Zwycięstwo było niemożliwe.

„Na co pan liczy?” — zapytałem podchodząc do czarnej maszyny.

„Packard leż ma gumowe dętki” — odparł z uśmiechem.

„Ale przed panem jest dziewięć maszyn!”

„A trzydzieści już odpadło. Zresztą... nie wycofam się dlatego tylko, że nie będę pierwszy”.

Siadł i pojechał. Mimo wszystko zdawało się, że wygra. Packard zrulował przy czterdziestym piątym okrążeniu, grzebiąc pod szczątkami kierowcę i raniąc pomocnika.

Taylor jechał jak piorun. Tarł bokiem na wirażach, wylatywał w górę na bandach i spadał z nich w dół z wariacką prędkością, dochodząc na prostej chyba do trzystu kilometrów na godzinę. Zdobył szóste czy też siódme miejsce. Nawet Francuzi bili brawo.

— A teraz — powiedział Grey wstając — macie dziesięć minut. Gońcie mnie.

Zerwali się na równe nogi. Nieraz już nad brzegiem basenu Grey opowiadał im takie historie sportowe. I zawsze gonitwa w wodzie lub na łące stanowiła ich zakończenie, a wiedzieli, jak trudno go złapać.

I tym razem, jak zwykle, zanim zdążyli wstać, już go nie było między nimi: jednym susem przeskoczył przez najbliższych leżących Plichtę i Kramera, śmignął przez rozłożysty krzak olszyny i tyle go widzieli.

Wirecki, Radlicz, Bielak i Ahrens okrążyli kawał łąki, aby mu odciąć odwrót. Pozostali, tworząc szeroki łuk, zbliżali się ku nim tak, że nie mógł się wymknąć.

Ale kiedy zeszli się w środku, Greya nie było.

„Zwycięstwo!” — rozległ się jego okrzyk za nimi, po przeciwnej stronie basenu, gdzie stały wysokie drabiny i platformy odskoczni.

„Śmierć wrogom!” — huknęli śmiejąc się.

Skoczyli prawym brzegiem. Grey umykał na lewo. Dzięki go od chłopców szeroki basen, za którym czuł się bezpieczny. Ale tym razem chłopcy użyli podstępów: Radlicz, Ahrens i Bielak zostali, ukryci w krzakach po lewej stronie. Kiedy Grey był od nich nie dalej niż o dziesięć kroków, wyskoczyli nagle otaczając go zewsząd.

Chciał się cofnąć, ale zobaczył za sobą Wireckiego. Z boku nadbiegał Szczerbiński. Pozostała jedyna droga ucieczki na drabiny skoczni i Grey w kilku susach był na górze. Bielak i Ahrens stali po obu stronach nad wodą, gotowi do skoku. Szczerbiński wchodził na drabinę. Wirecki objawszy komendę nad pozostałymi otoczył basen gęstym łańcuchem wart.

„Zwycięstwo!” — ryczał Grey z rozpaczą w głosie, bo minęły zaledwie cztery minuty, a już był w matni.

„Śmierć wrogom!” — odpowiedziano mu bez litości.

Szczerbiński był tuż; biegł przez ostatnią platformę.

Wtedy Grey skoczył, wykręcając salto w powietrzu.

Jednocześnie skoczyli Bielak i Ahrens. Szczerbiński czatował na wysokości kilku metrów nad wodą.

Kiedy opadły bryzgi, na powierzchni ukazały się dwie głowy chłopców. Greya nie było...:

Leszek zobaczył go płynącego pod wodą w stronę przeciwległej ściany basenu.

„Tam, tam!” — krzyknął wskazując kierunek:

Wszyscy skupili się przy schodach. Bielak i Ahrens płynęli co sil naprzód.

Głowa zbiega ukazała się o pięć metrów przed nimi.

„Zwycięstwo!” — zabulgotało głucho i Grey znikł, zanim ktokolwiek zdołał go dosięgnąć.

Na próżno szukali go w głębi nurkując na zmianę. Przepadł dosłownie „jak kamień w wodzie”. Nawet Szczerbiński nie mógł go dojrzeć z góry.

Dopiero po dłuższej chwili Zakrzewski pierwszy odkrył jego obecność pod małym pomostem prawego brzegu.

„Śmierć wrogom!” — zapiszczał z zapalem skacząc prosto na kark porucznika.

Ale Grey już dał nurka i wypłynął po drugiej stronie, gdzie nikogo nie było.

Teraz mógł się wymknąć. Szczerbiński jednak czuwał i skoczył. Odbił się tak mocno, że wpadł do wody między uciekającym a nie obsadzonym brzegiem. Rozprysk fali zalał Greyowi twarz, ogłuszył go na chwilę, zatrzymał w miejscu. I właśnie ta chwila zamroczenia znów go uratowała. Leszek nie wziął jej pod uwagę; przypuszczał, że Grey natychmiast da nura w bok, i nie czekając na to, rzucił się w kierunku prawdopodobnej jego ucieczki. Tymczasem porucznik został na miejscu, a odzyskawszy oddech, z triumfem krzyknął: „Zwycięstwo!” i raz jeszcze ponowił próbę dotarcia do wolnego od prześladowców brzegu.

Było jednak za późno: Kozłowski i Nowak co sił zabiegali mu drogę; Szczerbiński, odkrywszy swój błąd, płynął wielkimi rzutami tuż za nim i Grey musiał dać rozpaczliwego nura pod jego brzuchem.

Wtedy wszyscy znaleźli się w wodzie. Powstał nieopisany zamęt. W basenie zakipiła jak w garnku. Co chwila ktoś chwycił pod wodą czyjąś rękę lub nogę i wrzeszczał „Śmierć wrogom!”, aby natychmiast zostać pogrążony przez sąsiada. Głowa Greya ukazywała się to tu, to tam i nikła natychmiast w tłumie chwytających go ramion. Nikt już nie wiedział, która ręka i noga do kogo należy.

W końcu Szczerbińskiemu udało się przekrzyczeć wszystkich i zorganizować zasadzkę. Umilkli i pływając w miejscu czekali z zapartym oddechem: wróg musiał zaczerpnąć powietrza.

Wychynął obok Wireckiego i natychmiast kilka par rąk chwyciło go za ramiona.

Był pokonany: brakło dwóch minut do końca gonitwy.

„Poddaję się” — zawołał dysząc ciężko.

Wywlekli go na piasek. Musiał krzyknąć wraz ze wszystkimi „Śmierć wrogom”. Za nic nie odstąpiliby od tego przywileju: jeżeli Greyowi udawało się zostać nie schwytanym, oni musieli krzyczeć „Zwycięstwo!” na jego cześć.

9.

Andrzej Kramer wyrabiał się na mistrza rapieru. Jego cięcia i finty były tak błyskawiczne, że nawet Grey coraz częściej obrywał po kilka ciosów w każdym spotkaniu z małym, zwinnym zabijaką z krakowskiego zaułka. Jędrak bronił się umiejętnie i spokojnie, atakował zajadłe, jak mały, ostry foksterier. Był niedosiężny i zwinny jak wąż. Rapier aż furczał w jego drobnej dłoni. Krótkimi błyskami fint wprowadzał w osłupienie przeciwnika, odpierał każde natarcie i natychmiast ripostował krótkim jak błyskawica cięciem.

Ostatnie assault z Greyem skończyło się wynikiem cztery do pięciu, z tym jednak, że porucznik pierwszy otrzymał manchette w prawą dłoń, co właściwie stanowiło remis.

W tenisie przodował Wirecki, bijąc nawet Greya w zaciętych ośmio— lub dziesięciogemowych setach. Górski, Nowak i Dymidecki grali niemal równie dobrze.

W jeździe konnej najlepsi byli Maliszewski, Kozłowski Bielak, który zupełnie nieoczekiwanie kilkakrotnie wysunął na czoło w biegach z przeszkodami.

Do czwórki najlepszych pływaków przyłączył się końcu sezonu Zakrzewski, który — dzięki rozbudzonej przez Greya ambicji — trenował po całych dniach i rozwijał się nadzwyczajnie. Dawne jego zalęknienie i nieśmiałość znikły bez śladu. Nabrawszy sił, z każdym dniem osiągał nowe przewagi sportowe, męźniał i rozrastał się w barkach, zyskiwał na wadze i zręczności.

Właściwą jednak dziedzinę, w której był asem, stanowiła teoria. Nawet Górski, wiecznie zatopiony w obliczeniach swoich modeli lotniczych, nie rozporządzał tak gruntownymi wiadomościami w tym przedmiocie.

Niedościgłym wzorem zręczności i wisusem o niewyczerpanych zasobach psot, figlów i kawałów był od samego początku Adam Plichta.

On to wymyślił i przy pomocy nie wykrytych sprawców wykonał „warkocz z krowich ogonów” w oborach Siedlisk, zaplatając rzeczne ogony w jeden ogromny sznur przez całą długość stajen.

On rozsadził prochem fajkę Johnsona w czasie, gdy stary Holender drzemał z długim cybuchem w żółtych zębach. Tegoż dnia kupił mu wprawdzie nową, stokroć piękniejszą, ale Johnson, mimo zadowolenia z takiego obrotu sprawy, omal nie rozchorował się ze strachu. On wreszcie wmówił we wszystkich, że od latania może spuchnąć czaszka...

Ten ostatni efekt osiągnął bardzo prostym sposobem: codziennie po lotach wpadał na chwilę do szatni, gdzie wisały czapki chłopców i do każdej z nich wsuwał pod rondo pasek papieru, zmniejszając stopniowo ich objętość. Wreszcie, po trzecim czy czwartym takim zabiegu, wszyscy odczuli jakąś zmianę w obwodzie głowy...

Adam pierwszy wszczął alarm. Zaczął od Zakrzewskiego.

— Bój się Boga, Ciapa, co ci się ze łbem zrobiło? — zawołał robiąc przerażoną minę.

Karol poczuł się nieswojo.

_ Co takiego? — zapytał niepewnie, na próżno usiłując wcisnąć głębiej czapkę.

— Nie boli cię głowa? — zatroszczył się Adam.

— Bo co?

— Człowieku, przejrzyj się w lustrze: łeb masz spuchnięty jak dynia.

Zakrzewski spojrział w lustro i choć zobaczył w nim zwykłe odbicie swojej twarzy, uległ sugestii.

W tej samej chwili Radlicz, który nie słyszał ich rozmowy, zaczął kłąć: jakiś „kosynier” zamienił widocznie jego czapkę! Sprawdziwszy jednak litery wewnątrz, sam wyraził przypuszczenie, że „spuchła mu makówka”. Kiedy inni też doszli do tego wniosku,

postanowiono zainterpelować Greya w sprawie wpływu łatania na objętość czaszki.

Plichta korzystając z zamieszania ukrył się w sadzie, a chłopcy zorientowani przez porucznika co do natury dziwnego zjawiska zorganizowali obławę na kpiarza.

Wkrótce odkryto go na wzgórzu „pomidorowej piwnicy” i zaatakowano ze wszystkich stron. Ale Adam wyśliznął się jak piskorz i zwał w kierunku dworu.

Skoczył z rozpędu przez okno do kuchni, wystraszył spokojnie drzemiącego w słońcu kota pani Borowiczowej, który uciekając wylał mleko z dzbanka, jak wicher przebiegł korytarzem i popędził krętymi schodami na strych.

Radlicz deptał mu po piętach, za nim sunęła reszta prześladowców. Dostali się na dach. Tu Plichta miał nad nimi przewagę: skoczył z dachu na pień wysokiej brzozy, a stamtąd, zsunąwszy się błyskawicznie na dół, umknął do obory.

Kiedy tam za nim dotarli, w oborze było pusto i cicho, tylko Johnson chrapał pod derką wystawiwszy na światło dzienne swoją nową fajkę na ogromnym cybuchu.

Musieli dać za wygraną. Ledwie jednak oddalili się o kilkanaście kroków, spod derki wyrzuciła rozczochrana głowa Adama.

Triumf jego nie trwał zresztą długo; złapali go jeszcze przed obiadem, kiedy właśnie zamierzał dobrać się do śmietany w podręcznej piwnicy pani Borowiczowej, i mimo jego rozpaczliwej obrony, każdy kolejno przyłożył mu soczystego klapsa.

Wieczorem, już w najlepszej zgodzie, łapali żaby przeznaczone do łóżka intendenta Siedlisk, pana Dziewulskiego.

Płynęły dni i tygodnie. Mijały szybko wakacje i zbliżało się zakończenie kursu.

Chłopcy zżyli się z sobą i związali mocnym, serdecznym węzłem koleżeństwa w najpiękniejszym z zawodów — lotnictwie.

Znali się wszyscy na wylot i wiedzieli, że mogą wzajemnie liczyć na siebie. W ciągu tych dwóch miesięcy Grey zrobił z nich pilotów wyszkolonych wprawdzie tylko na jednym typie, ale j a k wyszkolonych!

Takich lądowań mogli im pozazdrościć nawet piloci fabryczni, nawet instruktorzy...

Takie amerykańki przy starcie, takie skoble i spirale, takie ślizgi można było zobaczyć tylko na zawodach akrobacji, choć nie stanowią one akrobacji właściwej i są tylko wstępem do niej.

Grey nauczył chłopców panować nad maszyną w najwyższym, najdoskonalszym stopniu; wpoił im najbardziej prawidłowe zasady lotu i uczynił z tych zasad „ewangelię”, którą znali jak własne nazwiska. Grey zaszczerpił im pewność siebie i zimną krew, wyrobił w nich spokój i zaradność, odwagę i samodzielność. Grey wiedział, że każdy z tych chłopców wylądował na najgorszym nawet lotnisku, na jakim, bądź kawałku pola i wystartuje z każdej stumetrowej równi. Grey już zrobił z nich asów lotnictwa sportowego; miał zrobić asów akrobacji i walki w następnym sezonie.

Tymczasem zaczął przerabiać z nimi loty grupowe i orientacyjne. Wysyłał ich kolejno do Białegostoku, gdzie stał lotniczy dywizjon wojskowy i gdzie budzili szczery podziw swoją techniką startów i lądowań. Przyjmowano ich serdecznie i mówiono o nich z szacunkiem: „uczniowie Greya”.

*

Na dziesięć dni przed końcem wakacji wytoczono przed hangar świeżo zmontowane maszyny zapasowe. Chłopcy nic o tym nie wiedzieli i kiedy je zobaczyli, serca Ich zabiły

żywszym tempem.

Hurmem rzucili się do Gałęckiego i otaczających go mechaników.

— Co to będzie z tymi maszynami? Ale Gałęcki był małomówny:

— Wietrzą się, żeby ich mole nie zjadły — odpowiedział.

Rzecz jednak była zrozumiała sama przez się: skoro zmontowano maszyny, to chyba po to, żeby na nich latać.

Przyszedł Grey. Oczy śmiały mu się na widok samolotów i promieniejących chłopaków.

Siadł do pierwszego z brzegu Morane'a i wypróbował silnik ruszył pod wiatr.

Osiemdziesiąt koni mechanicznych ryknęło na pełnym gazie. Samolot z miejsca wyrwał się w powietrze. Pilot z lekka tylko wytrzymał go nad ziemią i zaraz położył w tył, na siebie. Szaleńczy łuk wypadł nie wyżej trzydziestu metrów.

Chłopcy stali jak skamieniali z wrażenia. Przez chwilę widać było spokojną, uśmiechniętą twarz Greya siedzącego głową w dół i górne powierzchnie skrzydeł maszyny zdartej w iście wariackim immelmanie tuż nad równiną lotniska.

Nagle samolot okręcił się dokoła swej podłużnej osi, zaczerpnął lekko powietrza spod siebie w płytkim przewrocie przez skrzydło i wyszedł z wiatrem do linii lotu straciwszy zaledwie parę metrów wysokości.

Patrzyli nie mogąc wymówić słowa. Coś podobnego Grey zrobił po raz pierwszy za ich bytności w „szkole orląt”.

— Ładnie, co? — powiedział Gałęcki ze spokojnym triumfem w głosie. — Ćwierć centymetra za duży ruch sterem i — trach! Ale wy też tak będziecie kiedyś.. pewnie...

Nie słuchali go; patrzyli. Morane leżąc głęboko na skrzydle zawracał pod wiatr. Potem szedł w górę.

Wtem zamarł silnik. Jeszcze nie wysoko: dwieście — dwieście pięćdziesiąt metrów. Samolot zwolnił. Zawisł w miejscu przekreślając błękit nieba rozkrzyżowaną sylwetką. Zawahał się i pośliznął w lewo, w prawo, znów w lewo... Podciągnięty, ostatnim wysiłkiem rozwiewającej się szybkości zadarł łeb w górę.

W nabrzmiewającą oczekiwaniami ciszę sączył się ledwie dosłyszalny, niski gwizd; rósł, cieniał, nabierał płaczących tonów, przeginał się, falował. Morane szedł ogonem w dół zataczając się jak pijany, ślizgał się, przepadał, aż wreszcie runął stromym łukiem piejąc rozpaczliwie statecznikami.

Wtem ogon wychylił się w górę, a zaraz potem zagrał silnik.

Chwila wahania: porwie go zdradliwy zwój korkociągu czy nie? I zwycięski, płynny wiraż nad zadartymi głowami chłopców.

A potem...

Ciasne pętle i becзки, szybkie jak myśl przewroty z linii lotu na plecy i z pleców w zakręt, trawersy, świece, ślizgi. Maszyna rzucona z jednej figury w drugą, z loopingu w korkociąg i z korkociągu w looping, kreśliła po niebie szaleńcze zygzaki, co chwila była gdzie indziej i w coraz to innym położeniu.

— Porucznik używa — powiedział z uśmiechem Gałęcki.

Wreszcie pionowa pika¹⁷ bez gazu, ostry trawers tuż pod hangarem i najłżejsze z możliwych do pomyślenia lądowanie.

Potem druga i trzecia maszyna.

— W porządku — mówi Grey zapalając fajkę.

Żaden z chłopców nie śmie otworzyć ust: co tu można powiedzieć? Myśleli jeszcze

¹⁷ Pika (właśc. nurkowanie) — lot stromo w dół.

wczoraj, że umieją już tak dużo... Dziś widzą, ile jeszcze jest do zrobienia.

Grey dojrzał w ich oczach cień zwątpienia.

— Pokazałem wam to, co zaczniemy w przyszłym sezonie — rzekł. — Nie trzeba myśleć, że to coś nadzwyczajnego. Każdy z was będzie mógł tak latać po sześciu lub siedmiu godzinach ćwiczeń na dwusterze. Tylko z ziemi te figury wyglądają tak efektownie. A teraz co do maszyn: kazałem je zmontować, aby dać wam krótki, cztero— lub pięciodniowy trening w większych grupach. Jeżeli dobrze pójdzie, polecimy razem na dłuższy przelot.

Czy mogło pójść źle?

Szóstka pod koniec tygodnia latała w pięciometrowych odstępach między skrzydłami jak najlepsza myśliwska eskadra. Na lekki, niedostrzegalny z ziemi sygnał przodownika rozpryskiwała się na boki albo ścieśniała w ostry grot żurawiego szyku. Maszyny w głębokich wirażach przechodziły jedna nad drugą zmieniając miejsca. Przy zwrocie w tył, ściągane jednocześnie, wszystkie razem parły wzwyż, kładły się na skrzydła i wychodziły w przeciwną stronę.

Tańczyły na wielkiej scenie nieba jak baletnice. Zwijały się jedna za drugą w ciasno wiązanych ósemkach, rozsypywały się w luźny szereg, aby zaraz połączyć się znów w klucz; gnały na wprost i nagle na sygnał formowały półkole, zagarniając ogromny szmat przestrzeni.

Grey zmieniając kolejno przodowników, sam latał na coraz innych miejscach w grupie; uczył, poprawiał, dawał rady i wskazówki. Doprowadził do tego, że szóstka wykonywała skomplikowane ewolucje jak automat.

Latali godzinami nie oszczędzając benzyny, której spory zapas został z pierwszego miesiąca. Potem zmęczeni, ogłuszeni warkotem silników, osmaleni dymem spalin szli do basenu i wykąpowali się, długo leżeli na żółtym piasku plaży w sierpniowym słońcu.

Po obowiązkowym odpoczynku poobiednim grali w tenisa albo w palanta i znów siadali do maszyn.

Brzęczący rój wylatywał nad płowe rzyska i ciemnobrunatne podorywki, mijał zapyłone drogi i linię kolei, niósł się nad ciemne, kudłate lasy i ginął daleko na horyzoncie. Zgubiony gdzieś w przestrzeni, kreślił wysoko dziwne rysunki zwrotów i manewrów, przekształcał się wielokrotnie, błyskając odbiciem promieni coraz niższej słonecznej tarczy, wreszcie wracał nad drzemnącą w liliowym zmierzchu rzekę i cichł osiadając na równinie lotniska.

Raz jeszcze wrzawa silników, przez chwilę próbowanych na ziemi, roznosiła się dalekim echem po zapadających w sen polach i cisza zalegała przestrzeń pod gasnącym kloszem nieba.

*

W niedzielne wieczory stary ogrodnik Sorge, Johnson i Gałęcki schodzili się zwykle u pani Borowiczowej na herbatę i pogawędkę. Rozmawiano o różnych rzeczach przy syczącym samowarze. Najczęściej jednak o duchach i o snach które się sprawdziły. Był to niewyczerpany, ulubiony temat. Borowiczowa żegnała się co chwila, słuchając jak Gałęcki łączy na potęgę, wymyślając coraz mniej prawdopodobne i coraz straszniejsze historie, w których zazwyczaj odgrywał główną rolę.

Sny były specjalnością pani Małgorzaty. Miała i ona wprowadzić swoje historie z duchami, ale najczęściej były to duchy nieszkodliwe, potulne, ustępujące przed znakiem krzyża świętego.

Duchy werkmistrza natomiast nosiły wszelkie znamiona sił nieczystych, były zawsze

bardziej diabelskie, złośliwe i ponure.

Johnson opowiadał legendy ze swego kraju wody, mielca i wiatraków z tęskną melancholią starego emigranta albo mówił o morzu, co najbardziej lubili.

Jeden tylko Sorge odnosił się do wszystkiego sceptycznie, za co Gałęcki nazywał go cynikiem.

Rozmowy przeciągały się do późna w noc i goście Borowiczowej rozchodzili się po nich niechętnie, z mimowolną obawą patrząc w ciemność. Tylko Sorge szedł pewnym krokiem przez sad do swego domku i spokojnie układał się do snu.

Czasem zjawiał się w kuchni i siadał obok Sorgego także intendent Dziewulski, sekundujący z zasady ogrodnikowi.

Różnica między nimi polegała na tym, że Sorge rzeczywiście trzeźwo i sceptycznie zapatrywał się na nadzwyczajne zjawiska, o których mówili, Dziewulski zaś, podszyty w istocie tchórzem, udawał tylko zucha. Przechodząc przez ciemny korytarz do swego pokoju intendent szczękał zębami ze strachu.

Nikt chyba o tym nie wiedział?

Owszem: wiedział Plichta.

Przyciął się i czekał sposobnej chwili. Za historię z żabami dostał porządną burę od Greya — to nic. Ale Dziewulski nazwał go łobuzem i włączył w obecności kilku kolegów, którzy (stado baranów!) pękali ze śmiechu. Tego nie można było darować...

— Na przykład taka historia — mówił Gałęcki. — przyjeżdżam do jednego dworu, gdzie wylądował przymusowo samolot. Trzeba nocować, bo późno. Ano dobrze. „Tak i tak — powiadają — jak pan chce: tu czy na sianie, bo w tym pokoju straszy”. „Straszy? — mówię. — Niech straszy!”

Jesień była, zimno jak diabli; co mam marznąć?

Zapaliłem lampę, rewolwer pod poduszkę i spać. Nic cicho. Zasnąłem. Budzę się: bije zegar. Zgrzyta, dzwoni, jęczy jak potępieniec. Dwunasta. Oglądam się po pokoju: nic. Już miałem dalej spać, aż tu patrzę... Z kąta, spod portiery, gdzie się ktoś tam kiedyś zastrzelił, wyłazi sześcian. No, taki metrowy „kubik”. Szary, gładki, lśniący. Przechyliła się na jednej krawędzi i klap! — w moją stronę. Znow się unosi, jakby go kto toczył, kantował, i — klap! Wolno, równo, na tempa: klap!... klap!... klap!..

Usiadłem na łóżku i przetarłem oczy. Żeby duch jakiś, zjawa, mara czy upiór, to rozumiem. Ale sześcian?

Niby nic: geometryczna bryła. Martwa rzecz; nie ukąsi, nie zabije; ale właśnie dlatego włosy mi — dęba! Łap za rewolwer i zaraz myślę: po co? Cóż tu z rewolwerem na sześcian? A on się dalej toczy po podłodze: klap!... klap!... i do łóżka. Coraz bliżej. Stanął obok, zawahał się jakby sił nabierał. Potem: bęc! Wtoczył się na pościel. I chylił się na mnie.

Uciekłem. A on za mną. Coraz prędzej: klap! klap! klap! — po całym pokoju.

„Jezus Maria!” — krzyczę.

Nic: głucho dokoła. Tylko sześcian łązi: klap! klap! — tuż za piętami. Cóż? Otworzyłem okno i hyc! — na ziemię; tyle, że płaszcz złapałem po drodze. Poszedłem spać do stajni, między konie.

Na drugi dzień wracam do tego pokoju, a tu mundur zgnieciony w kącie, łóżko stratowane, powywracane meble—

Jak i co nie wiadomo, nie pierwszy raz podobno...

Dzewulski, któremu w ciągu całego opowiadania oczy wyłaziły na wierzch, przybrał na twarz drwiący uśmiech.

— Wszystko dobrze — powiedział — wszystko dobrze, ale po co pan uciekał?

— Po co? Po co?... — Trzeba tam było być na moim miejscu, tobyś pan nie uciekł, tylko umarł ze strachu.

— O, wielkie rzeczy! Mnie nieraz chcieli nastraszyć. Nie dałem się nigdy wziąć na kawał. Ja mam nerwy — groził palcem. — Przetrzepałem nieraz skórę takim ananasom.

— W jednym dworze u nas na Litwie — zaczęła pani Borowiczowa — u podjazdu znów takie historie działały się. Cała okolica wiedziała, jakże! Młoda jeszcze wtedy byłam i za pomocnicę u gospodyni. Tak pierwszego dnia do podwieczorku szykuję, a okna i drzwi oszklone wychodziły na taras; właśnie na on sam podjazd. Stół jak raz nakryłam, pani przysłała, aż tu strzelanie z bata słyszę, turkot, jakby czterokonna kareta podjechała i stanąwszy. Konie, słyszę, parszają, uprząż dzwoni: na pewno ktoś z gości, a pani wcale nie rusza się. Pędzę ja patrzeć — nikogusieńko! Podjazd pusty. Wtem słyszę tuż przede mną: drzwiczki od karety trzaskają, stukają kopyta, turkoczą koła, dźwiękają łańcuszki u wędzideł. Przejżdża tuż-tuż. I coraz dalej, dalej, przez bramę wytoczywszy się ścichło. Ja do pani. „A, to — mówi — u nas tak zawsze, odkąd moja prababka na ślub swój jadąc w karecie otruta była”.

Sorge zaruszał wesoło wąsami.

— To, pnie, najdziwniejsze, że choć prababka, pnie, przed ślubem umarła, ale potomstwa się, pnie, doczekali!

— Jak to potomstwa? — zdziwiła się gospodyni.

— A co, panie, jakżeby inaczej prawnuczka mogła pani te bzdury opowiadać?

— Tego już ja wiedzieć nie mogę — mruknęła obrażona.

— Młinarz był taki, pod Hoogeveen wiatrak miał. Dobry był człowiek, ale mówią, diabeł u niego pracował. I dlatego mało kto u niego mlii. Kiedy wiaterek od morza szel, mlin się za wiatrem krencił. A monka bielutka była jak mliki. I z cetnara ziarna cetnar monki dawał. Raz umarł ten młinarz w nocy; ze smutku umarł, że go każdy omijał; to tak cicho było, jak mak posieli. Wcale wiatru nie było. A wszystkie wiatraki płakali i krencili się. I z rana wszędzie zboże było wymielone. Wtedy poznali ludzie, że to nie diabeł u niego, tylko dobry duch pracował. O!

— Strasznie tam głupi naród, pnie, w tej waszej Holandii, kiedy wcześniej tego nie zauważył — mruknął Sorge.

— Przypomniało mi się, jak to pani o prababce mówiła — podjął Gałęcki zapalając papierosa. — Opowiadał mi to jeden znajomy ksiądz, staruszek — popatrzył na Dziewulskiego, jakby podkreślając prawdziwość opowiadanej historii i niedopuszczalność sceptycznych uwag. — Było to jeszcze przed wojną rosyjsko-japońską. Ksiądz był wikarym w wiejskiej parafii. Zima była wtedy, na dworze noc, śnieżycy i wichry. Wikary siedział sam na plebanii, bo proboszcz położył się wcześniej: jeździł gdzieś daleko tego dnia, przemarzył i czuł się chory ze zmęczenia. Wikary czytał gazetę i pił herbatę. Wtem pod oknem zadźwięczały dzwonki śniegu i ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Wikary poszedł otworzyć: co, jak? Ślub dawać zaraz umierającej osobie. Proboszcza nie dali budzić. Zabrali księdza niemal przemocą. Zawiazali oczy, żeby nie wiedział, dokąd jedzie. I... ani pary z ust.

Pojechali. Kręcili, kluczyli dobre dwie godziny. Nareszcie przyjeżdżają, prowadzą (ciągle z zawiązanymi oczami). Opaskę zdjęli dopiero w wielkiej sali z marmurową podłogą z białych i czarnych płyt. Sala pusta, tylko stół, krzyż i dwie świece. Jeden z tych co księdza przywieźli, młody przystojny gość, pod rękę prowadzi dziewczynę w bieli. Śliczna miała być jak anioł, a blada jak papier, ledwie żywa. Dwaj inni za świadków. Cóż było robić? Ksiądz ślub dał, pobłogosławił.

Po skończonej ceremonii patrzy, aż tu świadkowie odwalają cztery płyty z podłogi. Pod płytami loszek niewielki, jakby grób, a w grobie trumna czarna, metalowa. Kładą tę pannę

młodą do trumny, w dół opuszczają, zakrywają płytami. Ksiądz chciał bronić, krzyczeć, choć się dziewczyna nie opierała, ale zemdlął z wrażenia.

Kiedy się ocknął, był już na swojej plebanii. A zaraz na drugi dzień sprawnik przyjechał z żandarmami, wzięli go i na Sybir wywieźli. Co roku w tę noc przychodziła do niego mara w ślubnej sukience i płakała krwawymi łzami.

Minęły lata. W roku 1919 ksiądz wrócił. Dostał parafię pod Siedlcami. Pojechał raz z wizytą do dworu. Wszedł do salonu, patrzy — podłoga z płyt marmurowych. Coś mu się przypomniało. „Czyj to był dwór dawniej” — pyta. „Dwór w jednej rodzinie od wieków”. Oglądają obrazy, portrety. „A to portrety czyje?” „Ten w ślubnej sukni wojewodziny takiej a takiej; sprzed trzystu lat. A ten obok jej mąż”. „Bójcie się Boga, a toż ja im ze dwadzieścia lat temu ślub dawał!”

Popatrzyli na niego jak na wariata. A ksiądz im dopiero wszystko, co i jak było. „Tu — mówi — pod tymi płytami jej trumna stoi”.

Rada w radę, odwalić płyty. Odwalili. Ano, trumna jest. Sniedź tylko na niej grubym kożuchem leży. Wydobyli, otwarli: leży wewnątrz dziewczyna jak anioł piękna, jak papier błada. Dziw wszystkich wziął: jakby z portretu zesła.

Zamieszanie się zrobiło, rwetes. Postawili trumnę na katafalku. Pogrzeb mieli urządzić. Na drugi dzień przychodzą, patrzą: nie ma panny młodej. Szkielet tylko leży i trochę popiołu z trumny się sypie. I to pogrzebali. A jak i co, dojść nie można.

— Och, ludzie najmilsi — westchnęła Borowiczowa. — Tak ona, niebożatko, temu księdzu już nie ukazywała się?

— A nie.

Dziewulski z niedowierzaniem wzruszył ramionami.

— Gadanie! Kto się tam będzie ukazywał po śmierci?

— E, to bywa, panie, bywa we śnie — powiedział Sorge.

— We śnie? Mnie się tam nikt nie pokazuje. A jeden odgrażał się nawet i... i nic.

— Jak to odgrażał się?

— A tak. Jeszcze przed wojną, kiedy pracowałem w ministerstwie, był taki jeden urzędnik. Mówiono, że szpieg. Niemiec. Wzięli mnie na świadka, że widziałem, jak coś tam fotografował w kancelarii. Poświadczyłem, bo rzeczywiście zawsze się z tym aparatem nosił.

Wtedy mi powiedział, że się z za grobu zemści, że nieprawda, że niewinny... Powiesili go, I cóż? Nie przyszedł ani we śnie, ani na jawie...

— Ba, jeśli był winien, panie, pańskim obowiązkiem naturalnie prawdę mówić — westchnął Sorge. — No, ale późno już, chodźmy.

— E, można posiedzieć jeszcze. Która to? — spytał Dziewulski.

— Wpół do dwunastej.

— Johnson, opowiedz pan co o morzu — — prosił Gałęcki. Borowiczowa dolewała herbaty. Johnson uśmiechnął się melancholijnie.

— Rybak by! taki. Breda Hans se naziwał... — zaczął śpiewnym głosem.

Pod drzwiami korytarza coś zachrobotało i rozległ się cichy szmer kroków.

— Kto to? — szepnął intendent ściskając kurczowo ramię Sorgego.

Ogrodnik uśmiechnął się, wstał i otworzył drzwi. Wszystkie spojrzenia poleciały w tamtą stronę.

— Nikogo nie ma — mruknął wracając na swoje miejsce. — Myszy, panie.

Johnson mówił dalej...

*

„Myszy” wyjątkowo uparcie i bezczelnie gospodarowały tego wieczoru w pokoiku intendenta. Co najdziwniejsze, porozumiewały się między sobą cichym szeptem ludzkich głosów.

— Słuchajcie — płynął ten szept — może jednak lepiej dać spokój. Przestraszy się...

— Niech się przestraszy. Zawsze udaje zucha.

— Zapalki, macie?

— Są.

— Przymocować u spodu drzwi, tak żeby główkami potarły o boki pudełek przy otwieraniu. Dobra.

— Teraz proch.

— Ostrożnie, żeby pożaru nie było.-

— Nie będzie. Szerzej syp, kołem. Z lampą zrobione?

— Zrobione. Zapali się w piętnaście sekund po otwarciu drzwi.

— Manekin się trzyma?

— Jak młody bóg. Doskonale.

— Chodźmy. Która godzina, Ciapa?

— Za pięć dwunasta.

— Zaraz przyjdzie, śpieszcie się.

Cienie przemknęły korytarzem i wionęły przez sad pod okno pokoju. Do szyb przyłgnęły rozgorączkowane twarze. Czekali z zapartym oddechem.

— Zginon Hans Breda w falach. Zakryli go zielonym całunem. Tylko mewy płaczo po nim i śpiewają jego piosenke.

Johnson skończył opowiadać. Sorge wstał i zaczął się żegnać. Gałęcki wyszedł z nim razem, aby zajrzeć jeszcze do elektrowni.

Dziewulski ociągał się: a nuż w ciemnym korytarzu coś go ułapi z tyłu za kark? Brrr...

Mimo wszystko trzeba było pójść.

Niedaleko — pocieszał się. — Ale też, psiakrew, porządki: od tygodnia brak żarówki.

W tej chwili przypomniał sobie, że to jego wina. Powinien był wcześniej o tym pomyśleć.

Z determinacją zagłębił się w cieniu korytarza. Namacał pierwsze, drugie drzwi. To tu. Po lewej stronie na ścianie jest wyłącznik.

Nacisnął klamkę i wszedł. Rozległ się lekki trzask, syk; i po ziemi popęzł szybko wąż ognia.

— Jezus, Maria! — krzyknął.

Nic więcej nie mógł z siebie wydobyć, Syczący wąż oświetlił migotliwym, żółtym blaskiem pokój.

Intendent spojrzął i zamarł. Oczy wyszły mu na wierzch; W gardle uwiązł krzyk i dusił go.

Na miejscu gdzie zwykle wisiała lampa, w niepewnych pełgających blaskach kołysał się wisielec: trup niemieckiego szpiega z ministerstwa.

Wtem wszystko zgasło i ciemność bezszelestnie otoczyła Dziewulskiego.

Chciał uciec — nie mógł: nogi wrosły mu w ziemię. Chciał krzyczeć ratunku — gardło ścisnęły mu kleszcze strachu; Stał więc i trząsł się jak galareta.

Wtem zapłonęła stojąca lampa przy łóżku. Zapaliła się sama, jak za dotknięciem różdżki

czarodziejskiej. Jednocześnie za oknem gruchnęła salwa śmiechu i Dziewulski zdołał dostrzec znikające postacie chłopców.

Wtedy zrozumiał. Chwycił za nogi manekina, rzucił nim o ziemię i z wściekłością zaczął go kopać. Po chwili opamiętał się: na ziemi leżało jego własne palto i części ubrania.

Zaklął i pomyślał, że dobrze byłoby zawezwać tu teraz Gałęckiego na świadka własnej odwagi.

Ale gdy wspomniał ciemny korytarz, dał spokój i położył się spać nie gasząc lampy.

Chłopcy zerwali się przed świtem. Z hałasem otwierali wrota hangaru i kolejno wytaczali maszyny przygotowane dnia poprzedniego. Stały w równym rzędzie pod wiatr, w odstępach co dwadzieścia metrów.

Było ich siedem, bo Grey otrzymał jeszcze jedną z Warszawy na tydzień.

Lekka mgielka włóczyła się po rżyskach i stała nad łąkami, a rzekę otulała nieprzejrzystym, mlecznym tumanem. Słońce schowane jeszcze za horyzontem zalewało niebo różowym blaskiem. Było chłodno. Kropelki rosy drgały na źdźbłach trawy, srebrzyste nici babiego lata snuły się w powietrzu, zwisały z drzew, czepiały się płotów i okapów.

Jaskółki śmigały w powietrzu, stado wróbli rajcowało gdzieś w krzakach. Daleko, daleko leciały dzikie kaczki długim, wyciągniętym kluczem.

Gałęcki zwijał się: raz, dwa! Przeglądał, poprawiał. Zawsze są jeszcze poprawki przed takim lotem.

Wreszcie był gotów. Akurat na przyjście Greya.

— W porządku, Gałęcki?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Umówiliście się, chłopcy, kto z kim leci?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Proszę mi podyktować załogi, Wirecki.

Stefan dyktował. Grey zapisał i obejrzał się na Zakrzewskiego, z którym miał lecieć.

Karol stał przy samolocie trzymając mapę.

— Ja startuję i lecę pierwszy — powiedział porucznik. — Klucz idzie za mną w zwartym szyku. Aby was nie nużyć zbyt długo wyjątkową uwagą, jako sygnał „baczność” będę strzelał rakietą. Poza tym wszystko tak, jak wczoraj było umówione. Gotowiście?

— Gotowi!

— Do maszyn!.

Rozprysli się jak stado wróbli z krzaka.

Jednocześnie zakręcili śmigła. Prawie jednocześnie skoczyły dobrze nassane silniki.

— Na miejsca! Start!

Karol u steru; prowadzi. Za nim siedzi Grey.

Maszyna rusza pierwsza. Wyłamuje się z samego środka równego rzędu, mknie naprzód, nabiera pedłu, unosi się. Tuż za nią, po obu bokach dwie inne, a dalej jeszcze dwie. Idą równo, schodami, jak dzikie gęsi albo żurawie. Jak ptactwo przelotne — na południe.

Morane Zakrzewskiego bierze wysokość. Jeżeli spojrzeć na ziemię, widać, jak coraz wolniej suną w dół strzępy waty mgielki, jak zapadają się coraz niżej szerokie ramiona horyzontu.

Za chwilę wyjrzy słońce. Wyraźnie widać granicę mętnych oparów odcinających się teraz na tle czystego powietrza wyżyn prostą, poziomą linią. I nagle ociekająca krwią strzała słońca trafia w skrzydło samolotu, zalewa je purpurą i widać już na lewo, trochę poniżej lotki, brzeg tarczy, z której ta strzała wypadła.

Upredziliśmy wschód — myśli Zakrzewski. — Przyśpieszyliśmy go.

Jeżeli patrzeć nie na ziemię, lecz w bok lub za siebie nieco w górę, widać balansujące ciemne sylwetki samolotów, jakby zawisłe w przestrzeni na niewidzialnych niciach. Zbliżają się do siebie lub oddalają nieznacznie, wznoszą się i opuszczają. Zaledwie można zauważyć, że lecą wszystkie razem naprzód. Wyglądają jak stadko ryb płynących pod prąd z prędkością równą prędkości tego prądu. Zbliżają się i oddalają, opadają i unoszą się, ale stoją właściwie w miejscu.

Przede wszystkim jednak trzeba patrzeć na ziemię, aby nie zmylić drogi. A ziemia ciemnieje coraz bardziej, przez kontrast z płonącym niebem. Ach, to niebo! Tylko lotnik wszystko wie o nim, o jego kolorycie, o jego wszystkich barwach i o ich zmienności. Nie malarz, nie poeta, lecz właśnie artysta nieba: lotnik. On jeden tylko zna niebo do głębi. Zna je lepiej nawet niż astronom liczący gwiazdy i może lepiej nawet niż pastuch grający na fujarce wiosenny duet ze skowronkiem.

Tylko lotnik, jak nikt inny, może nurzać się w tych wszechbarwnych blaskach, jednym rzutem przenosząc się z błękitu w fiolet i z seledynu w purpurę.

Jeżeli zechce, wyleci rankiem nad oddychające spokojnie rozlewisko mgły popielatej od spodu, różanej pośrodku, przetykanej złotem z wierzchu. Wzniesie się wyżej, nad puchy lekkich szarobłękitnych obłoczków, a kiedy minie ich granicę, ujrzy, jak płynie pod nim cała rzeka płatków różanych, z wierzchu nakryta miedzianozłotym kłosem grubej chmury, zlanej pełgającym ogniem gdzieś z boku.

Dalej zobaczy tęczę uciekającego deszczu. Nie taką sobie ogromną dугę, jaką widać z ziemi, gdy się rozkracza przez mokry świat. Nie: równo wyciętą pełną elipsę blasku siedmiobarwnych cudów. Dotykalną niemal, jarzącą, rzucającą kolorowe promienie! Dogoni deszcz i tęcza zniknie, a w tej samej chwili zjawi, mu się przed oczyma miliard lotnych brylantów. Na jedno mgnienie oka: wnet zaczną pędzić dokoła maszyny, wydłużać się, aż oprzędą świat szarymi niemi.

Takie tam cuda są w górze. Ziemia za to jest monotonna i płaska, chyba że lecis nad nią nisko, na sto czy dwieście metrów.

Wtedy widać bufiaste lasy podparte rdzawą kolumnadą pni. Widać ruch na wstęgach popielatych dróg i czarne gąsienice pociągów pełznące po torach, przykryte puszystymi ogonami dymu z parowozów. Widać rąbki białych ścian domów spod czerwonych dachów i głębokie szczerbate uliczki. Widać pola i zboża kołysane wiatrem, szerokie rzeki, w których się przegląda niebo, wałęsające się pomiędzy zaroślami i lasami zamyślane rzeczki, a czasem — pianą zaplute jeziora. Widać rany ziemi — głębokie parowy; bąble, guzy i zmarszczki — góry umęczone śniegiem.

Widać morze. Morze jest czasem prawie tak piękne jak niebo. Mieni się stalą i malachitem, błyszczy srebrną łuską, skrzy się drobną falą albo zakwita łanami chryzantem, białych grzywaczy.

Bywa czarne od ciężkich chmur, a gdy spojrzeć z wysoka — wklęsłe jak olbrzymia misa żelazna, nie objęte i nieskończone. Tylko głupawe, dymiące statki są na nim zbyteczne: stoją w miejscu nieruchomo, a zdaje się im, że nie wiem jak prędko płyną, że zwyciężają morze... O ileż milsze są wzdęte żagle o brzuchach pełnych wiatru!

Pod wzrokiem Karola suną jednostajne płowe pola jak olbrzymi kraciasty pled, gdzieniegdzie sfałdowany w niewielkie wzgórza, przesyty błękitną tasiemką rzeki. A tu i ówdzie wypelza włochaty dywan lasów.

Jak rozrzucone kupki drobnych kamyków bieleją, różowią się w słońcu domy miasteczek.

Mija godzina i oto w poprzek drogi, tam na ziemi, rzuca się błękitna wstęga. To Niemen. Brzegi ma w tym miejscu niskie i rozlewa się szeroko po łąkach o bujnej, ciemnozielonej

trawie. Po chwili znika już, smużąc się tylko daleko w tyle.

Pod kluczem samolotów wyrasta kamienny Augustów i kładą się między lasami lśniące słońcem lustra jezior.

Lesisty i bagnisty kraj nadnarwiański, zalany blaskiem pogodnego, dnia, świeci się, błyska wodą spomiędzy kęp suchego gruntu. Klucz mija wreszcie tor kolejowy i — już pod przewodnictwem krętego koryta Narwi — dopada Łomży.

Grey wskazuje Karolowi lotnisko. Tuż za miastem, po prawej stronie rzeki.

I już w błękit nieba leci rakieta, rozpryskując się na pięć czerwonych gwiazd, które spadają uciekając w tył: Uwaga!! Sygnał do lądowania pojedynczo.

Karol z pewnością siebie — jakże inaczej niż w pierwszych dniach samodzielnych lotów — ogląda z powietrza lotnisko, sprawdza kierunek wiatru, szuka najdogodniejszego miejsca do posadzenia maszyny. Lotnisko jest małe, ale z podejściem równym ze wszystkich stron. Trzeba zacząć z daleka.

Z tego zagajnika brzozowego.

Grey potakuje z uznaniem. Siadają z samego brzegu, równo, jak w szkole.

*

Było dopiero pół do ósmej, a Grey postanowił zatrzymać się tu do dziesiątej. Wirecki pobiegł do miasta, aby zobaczyć się z rodzicami. Wszyscy inni zajęli się przygotowaniem maszyn.

W pół godziny skończyli i na wniosek Szczerbińskiego poszli nad rzekę, żeby się wykapać, a dopiero potem zjeść śniadanie,

Wracali na lotnisko odświeżeni znakomicie, gdy na szosie od miasta dopędził ich samochód wiozący Stefana z ojcem.

Pan Wirecki wysiadł i szli już razem dalej.

— Chciałem was wszystkich zaprosić do siebie, ale Stefan stanowczo twierdzi, że musicie jechać dalej.

— Lecieć — poprawił Stefan.,

— Lecieć, przepraszam — uśmiechnął się starszy pan:

— Tak — powiedział Grey. — Chcę dziś jeszcze być w Poznaniu.

Pan Wirecki z uznaniem pokiwał głową:

— To jest komunikacja!

Zaczęli rozmawiać o liniach lotniczych w kraju i we Francji, skąd pan Wirecki wrócił właśnie przed tygodniem.

— I muszę panu powiedzieć — kończył — że u nas jest większy porządek.

— Cieszę mnie pańskie obserwacje — odrzekł Grey,— — Musimy mieć u siebie większy porządek, bo nie mamy środków na nieład.

Podeszli do maszyn. Tak jak było umówione, Stefan siadł do samolotu Greya z Bielakiem, by doprowadzić klucz do Warszawy. Grey zajął jego miejsce na prawym skrzydle szyku.

Nie mogli startować w grupie, bo było za mało miejsca. Korzystając z tego, Stefan przytrzymał maszynę nad ziemią i położywszy mocno na burtę ściągnął we wspaniałym amerykańskim.

Za nim w lewo i w prawo rwały się amerykańskie starty, aż na końcu Grey wystrzelił

świecą pod niebo bijąc wszystkich pionowo wziętą wysokością.

W panu Wireckim dech zaparło. Patrzył na krążące nad miastem samoloty, póki nie zebrały się w klucz i nie znikły. Potem westchnął, uśmiechnął się, pierś mu wezbrała ojcowską dumą. Jego syn sterował jedną z tych pięknych maszyn.

*

Warszawa ukazała się oczom Wireckiego jako wielka ruda chmura dymu. Wleciał w nią bez wahania i przeszedłszy nad miastem strzelił rakietę.

Grey spojrzął na skrzydła prowadzącego klucz Morane'a poprzez dwie maszyny dzielące go od przodownika. Stefan dawał sygnał do zwrotu w tył, prosto pod wiatr.

Zobaczył wolne lotnisko i chce zrobić fason — pomyślał z uśmiechem. „Przewrót przez prawe skrzydło do lądowania!” — krzyknął w ucho Karolowi.

W tej samej chwili Karol wykonał manewr. Samolot jak gdyby „wygiął się w krzyżu”, wyskoczył w górę, doszedł do momentu utraty prędkości i natychmiast zawinął w prawo. Pochylił się w dół przez prawe skrzydło, zwiśł na jedną krótką chwilę i właśnie miał runąć na łeb na szyję, gdy podciągnęła go wprawna dłoń pilota. Zapłakał spojeniami zastrzałów, spłaszczyl się jakby, przysiadł i wypłynął w przeciwnym do poprzedniego kierunku.

Grey patrzył na inne maszyny.

Niebo wykonało dokoła jego głowy gwałtowny skręt, jakby olbrzymia jakaś dłoń obróciła je kolejno dokoła dwu prostopadłych do siebie osi. Mimo to ani na chwilę nie stracił z oczu klucza.

Samoloty wyszły w górę, zawisły w miejscu, przerzuciły się przez prawe skrzydła i wypłynęły wszystkie równocześnie, jak na sprężynach precyzyjnego mechanizmu.

W tym samym czasie Wirecki machnął pod siebie ciasny wywrót i już wolnym korytarzem między nimi przemknął na pełnym gazie naprzód.

Majster — pomyślał Grey. — Artysta — poprawił się. — Tylko trochę za wcześnie to zrobił: nie starczy mu miejsca, żeby usiąść — dodał prawie głośno, widząc, że wchodzi nad skraj lotniska na wysokości dwustu metrów.

„Jakże on chce usiąść? — niecierpliwił się już.

Ale Wirecki wiedział, czego chce. Nieoczekiwanie dla wszystkich padł sygnał: samolot zakolysał się w dół i w górę, po czym dwa razy w lewo.

Grey zrozumiał: ślizg.

Maszyny przed nimi już kładły się na skrzydła. Karol w tej chwili położył ster na lewą burtę i z wolna pocisnął orczyk¹⁸ w prawo.

Szli jednym równym posuwem w dół. Stateczniki i końce skrzydeł drgały, pęd uderzał z boku i smagał twarze.

Żaden z pilotów nie zepsuł szyku, nie wyłamał się ani o metr. Klucz wspaniale, majestatycznie schodził ślizgiem w dół. Na trzydziestu metrach Wirecki szarpnął go w przód i poderwał krótkim włączeniem silnika, jak hasłem, którym okrzykuje się dzikie przelotne ptactwo. Powtórzyli kolejno sygnał.

« 173 »

¹⁸ Orczyk — część mechanizmu sterowego służąca do poruszania sterem kierunkowym. Składa się z rury stalowej lub beleczki drewnianej umocowanej na pionowej osi przechodzącej przez jej środek w kabinie pilota w odległości pozwalającej na poruszanie beleczką nogami w lewo i w prawo.

Siedem maszyn dotknęło jednocześnie ziemi zrównawszy się w jednej linii. Potem popęzły do hangaru za Morane'em Greya, który znalazł się najbliżej budynków.

Zatrzymali samoloty w zwartym szeregu, skrzydło przy skrzydle. Od hangarów bieгло kilku oficerów.

— Od razu wiedziałem, że to Grey prowadzi klucz swoich asów — wołał z daleka jeden z nich.

Wirecki zaczerwienił się.

— Klucz prowadził Stefan Wirecki, mój uczeń — wyjaśnił Grey.

— Świetnie, świetnie!

— Zupełnie dobrze — powiedział Grey.

I ta pochwała była dla Wireckiego najcenniejsza.

Start został wyznaczony na czwartą po południu. Maszyny mieli przygotować miejscowi mechanicy. Chłopcy rozeszli się po mieście.

Grey postanowił przy sposobności odwiedzić Stensona. Pojechał do niego wprost z lotniska, ale go nie zastał. Bankier nie wrócił jeszcze ze wsi.

Porucznik nie bardzo wiedział, co ma robić z czasem. Włączył się po zapyłonych, rozgrzanych upałem ulicach, wstąpił do restauracji, zjadł koło dwunastej obiad i przekonał się, że zostało mu mnóstwo czasu.

Wolnym krokiem szedł Alejami i słuchał rozmów przechodniów. Co chwila obijały mu się o uszy strzępki zdań o lotnictwie i samolotach.

Ludzie zaczynają nareszcie mówić o tym, co najważniejsze — pomyślał z zadowoleniem.

Doszedł do Belwederu i pojechał na lotnisko. Przeszedł na przelaj do cywilnego portu, aby zobaczyć główny węzeł tych linii, o których rozmawiał rano z panem Wireckim.

Przed nowym hangarem stał dwusilnikowy Lockheed.

Dwaj mechanicy myli go i czyścili wewnątrz pluszowe obicia elektrycznym odkurzaczem.

Grey zajrzał do środka. Dwanaście wygodnych foteli, umywalnia, przy każdym siedzeniu stolik, rozkład lotów, mapa. Pod fotelami miejsce na bagaż. Z przodu kabina pilota z tablicą zegarów.

— Może pan zechce zwiedzić nasz nowy budynek portowy? — usłyszał Grey za sobą uprzejme pytanie...

Obejrzał się. Za nim stał młody człowiek ze znaczkiem Lotu w klapie marynarki.

— Za czterdzieści minut przybędą maszyny z Poznania i Gdańska. Czy pan leci dzisiaj?

— Nie, dziękuję panu. Ale chętnie skorzystam, z pańskiej propozycji. Jestem Grey — przedstawił się:

— O, wiem, kto pan jest. Moje nazwisko Dymek: Poszli w stronę białego żelbetowego bloku o ogromnych oknach. Grey zastanawiał się, skąd zna nazwisko towarzyszącego mu pilota.

— Pan przyleciał z Siedlisk? — zagadnął go Dymek. — Jak się spisuje w „szkole orląt” mały Kramer? To mój kuzyn — wyjaśnił.

Teraz Grey przypomniał sobie.

— Jędrzek jest w Warszawie. Przyleciał ze wszystkimi; Nie widział pan naszego klucza? Lądowaliśmy przed dwiema godzinami.

— Może te siedem maszyn ze ślizgu?

— Właśnie:

— To Andrzej też pilotował?

— Tak.

— No, wie pan, panie poruczniku...: Zawsze wiedziałem ile jest warta pańska ręka na sterze, ale żeby w dwa miesiące zrobić z tego smarkacza takiego pilota! Żeby zrobić tylu. Pozwoli pan porucznik złożyć sobie powinszowania.

— Dziękuję. A co pan robi w cywilu? Słyszałem, że pan służy w lotnictwie wojskowym.

Dymek zaczął opowiadać o swoich losach, które zresztą nie były zgoła ciekawe i nadzwyczajne. Porzucił służbę wojskową przed miesiącem i przeniósł się do Lotu. Greya znużyła wkrótce ta rozmowa przeplatana komplementami Dymka pod jego adresem. Z ulgą pożegnał pilota, kiedy ten został gdzieś odwołany. Sam w dalszym ciągu oglądał nowe budynki: poczekalnię, restaurację, biuro pocztowe, stacje reflektorów i radio, biuro meteorologiczne, hangary i warsztaty remontowe.

Niespodziewanie natknął się na Zakrzewskiego, Ahrensa, Plichtę i Nowaka, którzy tak jak on zwiedzali tereny Lotu. Poszli dalej już razem.

Wszędzie panował ład, czystość i porządek. Na ścianach wisiały tablice statystyczne w poglądowy sposób przedstawiające rozwój komunikacji powietrznej.

Robimy coś przecie, nie tylko gadamy — pomyślał Grey.

Ucieszyło go, że samoloty pasażerskie przybyły jeden po drugim punktualnie co do minuty; znów miał sposobność stwierdzić, jak sprawnie tu wszystko działa: odprawa celna, informacje dla pasażerów, komunikacja z miastem.

Przesiedzieli tam aż do pół do czwartej. I wcale się nie nudzili; ani Grey, ani chłopcy.

*

Komunikat meteorologiczny był niepomyślny: od Bałtyku, przez Gdańsk i Toruń, szła burza. Odradzano Greyowi przelot.

— Jeszcze mnie nigdy burza nie zatrzymała — powiedział. — Polecę.

— Tak, ale chłopcy.;

— Oni będą wkrótce najlepszymi pilotami Polski, Polecimy razem.

— Jak pan chce — mruknął komendant portu, nieco urażony.

— Nie gniewaj się pan — powiedział Grey. — Dziękujemy za uprzedzenie; przyda się nam. Ale polecimy. Chłopcy muszą kiedyś przejść burzę. Lepiej, że to będzie w mojej obecności.

Polecili. Grey z Zakrzewskim na przedzie, aby przeprowadzić klucz przez nawałnicę idącą — jak doniosły ostatnie depesze — w kierunku na Włocławek i Kutno.

Serca chłopców były żywszym tempem: czekała ich pierwsza poważniejsza walka, pierwsza przeszkoda, którą należało pokonać. Jeżeli przedtem lubili Greya, to teraz lubili go bardziej jeszcze.

Że nie dał się zastraszyć. Że poleciał mimo wszystko.

*

Aż do Gostynina powietrze było spokojne i czyste. Po prawej stronie zbliżała się i oddalała kapryśna Wisła, szarozielona, pełną jak wąż między polami. Wreszcie umknęła

pod Płock i znikła. Za to z lewej strony podsadził się pod samoloty gładki, lśniący tor kolejowy do Kutna. Podbiegał bliżej i starał się pociągnąć za sobą klucz, aby sprowadzić go z drogi licznymi odgałęzieniami błyszczących, wypolerowanych szyn.

Nikt na to nie zważał. Lecieli dalej prosto według mapy, a może więcej jeszcze według wskazówek Greya, który „miał w głowie” wszystkie szlaki lotnicze Polski.

Tymczasem niebo pokryło się mglistym nalotem, a horyzont, zamazany burą, półprzezroczystą zasłoną, ciemniał coraz bardziej.

Zanim upłynęło dziesięć minut, zwały się z północnego zachodu ciężkie, pękate wory chmur, zbiły się w gromadę, szerniały, zakryły słońce. Przed nimi, gnane pierwszym podmuchaem wiatru — niby czujki i zwiady — płynęły wystrzępione, rude płachty obłoków, Maszyna Greya przechodząc między nimi zapadła nagle w „studnię powietrzną”, szarpnęła się w górę, zabalansowała. Tuż za nią nurzały się inne, podrzucane, targane za skrzydła zdradliwym nurtem.

Burza parla szerokim półkolem, ale w stalowosinym jej cielsku widać było jaśniejsze rude wnęki, jakby sklezione przejścia i korytarze. W kierunku jednej z takich jaśniejszych wnęk Grey skierował swoją eskadrę.

Wchodzili już pod nisko wiszący okap chmur, z którego raz po raz skakały zygzaki błyskawic. Burza szczyrzyła ogniste zęby, warczała grzmotem, zanosila się wichrem. Przed nią, tam gdzie się teraz znajdowali, pędziło niewidzialne kłębowisko skłóconych prądów powietrznych, wśród których maszyny wspinały się i zapadały w dół, miały się na boki, chygotały i tańczyły. Klucz szedł podrzucany w górę, szarpany i zbijany wichrem z wytkniętej drogi. Mimo to trzymał się razem:

Pod nim, na ziemi hulał już cwałujący wiatr; kurz podnosił się ze wszystkich dróg, zakrywał cienką przesłoną pola albo — uchwycony przez wiatr za ogon — wił się w konwulsyjnych skrętach gęstym tumanem. Drzewa wyciągały gałęzie na południowy wschód, jakby chcąc uciec przed zawieruchą. Dymy z kominów, rozwijane i zwijane w kręte welony, pędziły nisko nad ziemią. Z zapóźnionego wozu zrywało snopy, konie biegły galopem, popędzane przez wywijającego batem parobka.

Nagle między ostatnią parę maszyn klucza z hukiem rymnął piorun, rozdzierając na ziemi wysoką topolę:

Zaraz też lunęło, zasięło deszczem, a jednocześnie sprężona fala zimnego powietrza wyparła klucz w górę jak przez próg:

Otuleni w szarosrebrzyste smugi wody lecieli za Mora-ne'em Greya regulując gazem i sterami prędkość, wysokość i odległość. Rzucalo tak, że zaledwie mogli nadążyć w wyrównywaniu szyku. Raz po raz ginęli sobie nawzajem z pola widzenia i odnajdywali się znowu.

Wyglądało to, jakby ktoś zonglował siedmiu maszynami naraz, jakby podrzucał je i chwytal w lot, aby w następnym ułamku sekundy znowu podrzucić. Nurt powietrza urywał się nagle, zapadał nie wiadomo gdzie, zjawiał się tuż przed maszyną albo pod jednym jej skrzydłem, kanciasty, pełen przepaści, schodów, uskoków i skręconych lejów.

Błyskawice szalały dokoła, ziemia zakryta falami ulewy znikła i tylko daleko na przedzie jaśniejsza ruda plama, jak wylot tunelu między chmurami, wskazywała kierunek.

Stery tańczyły, maszyny kładły się głęboko na burty, wolno wygrzebywały się z odmętu wichrowych porywów.

Wiatr uczepony stateczników i skrzydeł targał, kołysał, ponosił i wyl coraz cienie, coraz rozpaczliwiej... Spazmowały linki, piał, jęczały stójki. Nierówno zanoszącym się rykiem warczały silniki.

Klucz równał i parł naprzód.

W najciaśniejszym przejściu, między dwoma walącymi na siebie taranami chmur, runął nań zdradziecki boczny prąd huraganu. Wyniósł w górę prawą część szyku, wtłoczył ją w gęstą, chłodną parę obłoków, zasłonił mgłą i ulewą. Resztę maszyn zmiotł potężnym uderzeniem na ukos, za zwisające warkocze deszczu. Wiercił się w miejscu, wyszarpywał wielkie płachty chmur i rozbijał je w puch, szalał. Zdawało się, że rozproszy, pogubi samoloty.

Nie zdołał. Po chwili wyłoniły się zza kurtyny mroku, zeszyły niżej i znów zwartym, ostrym grotem gnały naprzód.

Coraz jaśniej prześwitywała ruda wnęka. Coraz gwałtowniej zataczał się wściekły wiatr burzy. Coraz mocniej siekły po skrzydłach fale ulewy.

Chłopcy trwali w nerwowym napięciu: a nuż się zerwie linka sterowa? Nuż skrzydło nie wytrzyma naporu?

Ten i ów z obawą spoglądał po maszynie. I zaraz przy. chodziło uspokojenie: najsilniejszy wiatr nie zdoła tego dokonać. Wytrzymają!

I wytrzymały.

Ni stąd, ni zowąd zrobiło się jasno i czysto w powietrzu. Zza rozprutej chmury wyrzało błękitne porcelanowe niebo, a potem lunął potop słońca. Z wolna ustały chyboty i rozkołychy, skończył gdzieś wiatr. Uśmiechnęły się zielone lasy i płowe pola rozcięte czarnymi po deszczu drogami.

Uśmiechnęły się twarze chłopców: „Zwycięstwo!”.

Z Poznania przez Kalisz i Wieluń lecieli do Krakowa.

Już poczynając od Częstochowy osnuły ich gęste czarne dymy hut i kopalń Górnego Śląska. Potem wlecieli nad wielkie rojowisko ludzkie, nad nie kończące się, olbrzymie miasto przemysłu i węgla.

Setki torów kolejowych, szos i ulic; setki pociągów, samochodów i wozów; setki tysięcy ludzi i kominy, kominy, kominy... Potężne piece z czerwonej cegły, zakłady przemysłowe, huty, fabryki patrzące w zadymione niebo mętnymi szybami okien z dachów hal. Drgający życiem i pracą polski warsztat, wydarty Niemcom po wielowiekowej niewoli.

Szmat kraju, krwią i potem polskiego robotnika nasiąkły, stanowiący o życiu, rozwoju i szerokim rozmachu państwa.

Przelatywali nad hałdami czarnego, polśniewającego w słońcu węgla, nad owym lasem kominów, nad niegasnącymi ogniami pieców. Mijali splecione srebrne nici. szyn, czarne od pyłu węglowego drogi i czarne dachy domów, między którymi pełzały żółte tramwaje.

Aż wreszcie daleko, bardzo daleko na południu zobaczyli ostre zarysy gór, bledsze niż błękit nieba. Tatry witały ich śnieżnobłękitnym dalekim pozdrowieniem i szły — zdało się — ku nim zza wygiętej klingi Wisły.

Kraków witał ich krzyżami złocącymi się na szczytach wież kościelnych.

Przeciągnęli nisko nad Wawelem zaglądając do wnętrza koronkowych galerii podwórca, zawrócili na Rakowice i wydłużając szyk siedli w równych odstępach przed gościnnie otwartymi, hangarami.

10

Pan Maliszewski nie miał zwyczaju długo wylegiwać się w łóżku. Wstawał równo ze świtem, pił mleko, przegryzał coś niecoś i obszedłszy sławne na całą okolicę obory zaleskie siadał na konia.

Pracy było w Zalesiu dosyć. Zwłaszcza w okresie żniw i młocki. Do samego południa administrator uwijał się po polach.

Tego ranka postanowił przede wszystkim obejrzeć podorywki pod oziminy, długim

szeregiem ciągnące się od lasu. Jechał stępą, zatrzymując co kilka staj konia, aby popatrzeć na buraki cukrowe stanowiące przedmiot jego dumy w tym roku. Przeprowadzał wzrokiem rwące się gęsto stadka kuropatw i jechał dalej.

Pod lasem zsiadł z konia i wszedł między bruzdy tłustej brązowej ziemi. Wprawnym okiem przemierzył ilość wykonanej pracy i czekał na zbliżający się pług, który sapiąc i rżąc krajał równe skiby.

Porozmawiał chwilę z mechanikiem obsługującym traktor i dosiadłszy znów konia wjechał w las.

Objęła go cisza przetykana świergotem ptaków, dalekim pianiem kogutów i brzęczeniem owadów. Przez gałęzie sączyło się ciepłe przedjesienne słońce i kładło pod nogi wierzchowca drgające plamy światła. Gdzieś opodał porwał się krzaków bażant, śmignął w górę jak raca, załopotał skrzydłami i znikł między czerwonymi pniami sosen. Dalej na drodze kicał z wolna zając. Usłyszał najpierw bażanta, potem stąpanie konia. Stał słupka, rozejrzał się i nagle pomknął w las.

Pan Maliszewski myślał o synu.

Nie mogąc jeszcze pozbyć się dawnych przesądów, był jednak z wyrozumowania demokratą i życzył sobie, aby Bolek był nim w większym jeszcze stopniu. Dotychczasowy sposób myślenia syna niezupełnie szedł po linii tych życzeń: Bolek w szkole przestawał przeważnie z synami ziemian, jego przyjaciele przesiadywali w kawiarniach, grywali w karty i na wyścigach konnych, rozprawiali o swoich koligacjach, podróżach zagranicznych, znajomych z MSZ, o arystokratycznych małżeństwach i skandalach, o modnych aktorkach filmowych i o konkursach piękności. Prowadzili bezmyślny tryb życia, w którym Bolek zaczynał smakować.

I oto nagle zjawił się Grey ze swoją szkołą lotniczą, w której obok synów inteligencji znaleźli się synowie rzemieślników i robotników, kolejarzy, drobnych urzędników i sklepikarzy. Czy Bolek potrafił jakoś żyć z nimi? Czy umiał ich ocenić? Jaki wpływ wywarło na nim to nowe środowisko?

Gdybym to mógł zobaczyć ich wszystkich — westchnął Pan Maliszewski.

Skręcił w boczną drogę i wyjechał na rżysko, gdzie stała młocarnia.

Spojrzał w tamtą stronę. Wśród ludzi panowało jakieś zamieszanie. Pokazywali sobie coś na horyzoncie za lasem, z którego wyjechał administrator Zalesia.

— Co tam widzicie? — zapytał podjeżdżając bliżej.

— Eropłany musi lecać — wyjaśnił któryś z chłopaków. — Całe stadko — dodał wskazując palcem.

Rzeczywiście zza lasu ukazał się klucz samolotów. Sunęły klinem i rosły w oczach zbliżając się szybko. Przeleciały tuż nad dworem i zaczęły go okrążyć, leżąc na lewych burtach, niemal trącając końcami skrzydeł wierzchołki starych lip.

Serce pana Maliszewskiego zabiło mocniej.

— Na pewno Bolek! — zawołał głośno ku zdumieniu wyrostków i dziewcząt.

W tej samej chwili klucz wykręcił znad dworu pod wiatr i ścichł. Maszyny jedna za drugą szły do lądowania.

Po chwili pierwsza z nich zatrzymała się obok młocarni. Bolek zręcznie wyskoczył z kabiny. Za nim szedł Kazik.

Pan Maliszewski nie wytrzymał. Jakby mu ze trzydzieści lat ubyło, zsunął się z siodła przerzucając prawą nogę przez łeb koński i padł w objęcia syna.

Baczone obserwacje rozwiały wątpliwości administratora Zalesia. Bolkowi dobrze zrobiła ta demokratyczna szkoła. Stracił wiele zarozumiałości i nauczył się cenić ludzi według ich pracy. Rozmawiał z mleczarzem, witał się z gospodynią, chodził po sadzie z ogrodnikiem,

opowiadając mu coś żywo i wypytując o nowo szczepione tej wiosny drzewa:

Przedstawił ojcu kolegów ze „szkoły orląt” po prostu i naturalnie, bez cienia protekcyjnego tonu, jaki dawniej lubił przybierać. Widać było, że ich lubi i że oni lubią go także.

Stracił też wszelkie zainteresowania dla gry w karty. Pan Maliszewski dowiedział się o tym z jego własnych ust, przy rozstawianiu stolików po obiedzie, na który zjechała się cała okolica.

— Szkoda czasu — odrzekł Bolek na pytanie w tej materii.

Wieczorem opowiedział ojcu, jak to było z „Klubem Pomidorowej Piwnicy”, a potem mówił o Greyu. Ze to złoty chłop. Ze przecież mógł wiercić dziurę w brzuchu przez parę dni ale gdzie tam! Miał do nich zaufanie. Uwierzył im na słowo i od tego dnia nie było o tym więcej mowy. Raz tylko zapytał: „Wszystko w porządku, chłopcy, prawda?” Naturalnie wszystko było w porządku.

— W ogóle Grey... — i znów pół godziny o Greyu. — Żebyśmy mieli w gimnazjum takich wychowawców... — westchnął w końcu.

Spać mu się chciało, ale jeszcze gadał i gadał.

Wreszcie usnął.

A pan Maliszewski wracając z jego pokoju odetchnął z ulgą.

*

Odlecieli z Zalesia nie doczekawszy się przyjazdu Sten sona, który, mimo zapowiedzi, nie zjawił się ani tego dnia, ani w nocy.

Wystartowali o ósmej, mimo deszczu i niskiego pułapu chmur. Ziemia była mokra i zamglona, widoczność miejscami nie przekraczała półtora kilometra, więc Grey znów zajął miejsce na czele klucza. Minęli Wieprz i pod Włodawą złapali Bug, który zaprowadził ich aż do Brześcia. Wylądowali tam, aby uzupełnić zapas benzyny i polecieć dalej.

Następnym lotniskiem miała być Lida, bo port lotniczy w Wołkowysku został zamknięty na okres zakładania nowych drenów. Był to najtrudniejszy etap: dwieście trzydzieści kilometrów, Puszcza Białowieska i odludne, nadniemeńskie okolice, a w dodatku, nieustanny deszcz.

Rod skrzydłami samolotów sunęły lasy, lasy, lasy... Bufiaste korony sosen, ostre szczyty świerków, bielejące z daleka zagaje brzoźowe, czarniawe i czerwone od jagód poręby, wielkie partie dębiny, buczyny i potężnie rozrosłych olch, młode zagajniki, polanki i jeziorka okryte welonami mgieł, strzeliste modrzewie, jesiony, już złocące się klony i, wczesna zapowiedź zbliżającej się jesieni, czerwone jarzębiny.

Czasem, zarośnięta po brzegach leszczyną i olszyną, przewijała się kręta rzeczka, czasem z komina samotnej chaty płynęła cienka smuga dymu albo na ziemi ogołoconej z drzew, wymoszczonej wiórami i trocinami terkotał wesoło fukający parą, pracowity tartak, białe sterty desek, uwijali się ludzie, a drogą ciągnęły sznury furmanek.

Zresztą puszcza leżała w dole cicha i ogromna, ze wszystkich stron jak zielony ocean podtrzymująca horyzont. Aż w końcu daleko przed płynącym nad nią kluczem samolotów zaczęły wyrastać wzgórza i na jednym z nich miasto mętnie przezierające przez zasłone deszczu.

— Wołkowysk — powiedział Grey do Karola. — Teraz trochę bardziej w prawo. Za trzy kwadransy będzie Lida.

Klucz posłusznie wykręcał za przodownikiem, ostatnie maszyny podciągały na dużych obrotach. Grey wiedział, że pozostającą najbardziej w tyle pilotuje Plichta. Miał z nim zawsze najwięcej kłopotu: Adam zachowywał się dość niesforne, szczególnie podczas dłuższych przelotów. Odbijał w bok, gubił się i odnajdywał, porzucał wytknięty szlak, aby prześcignąć pociąg albo samochód, okrążyć wieżę kościoła czy zapędzić się z biegiem rzeki. Był w swoim żywiole: podróżował szybko, przemierzając duże przestrzenie, czuł w uszach pęd wiatru, widział uciekające w tył miasteczka, wsie, jeziora, pola i lasy. W ciągu paru dni przebył prawie dwa tysiące kilometrów. Nie lubił postojów, najchętniej leciałby bez odpoczynku, aby patrzeć, jak samolot „połyka przestrzeń”. Dopiero sygnał przodownika skłaniał go do kolejnego lądowania.

Zaraz za Wołkowyskiem klucz minął Zelwę i Charę, a wkrótce potem zazieleniły się pod nim nadniemeńskie łąki i błękitna wstęga rzeki wywinęła się kręto, uchodząc na wschód aż do Nowogródek i Nieśwież. Objęta ramionami leśnych ostępów, z daleka ukazała się Lida.

*

Do Wilna przybyli wieczorem, po zachodzie słońca. Deszcz ustał i powietrze było „jak masło”. Płynęli w nim gładko, zataczając „rundę” nad lotniskiem, z którego wystrzelono zieloną raketę na znak, że mogą lądować. Zaraz też zapłonęły trzy ognie u wierzchołków trójkąta wskazującego kierunek wiatru, a klucz wylądował obok nich i samoloty podkołowały pod hangar.

11

Jesień szła szybko ciągnąc już za sobą zimę wśród słoty i smętnego zawodzenia zimnych wiatrów. Zasnuwała ranki mgłą, rozwieszała po nagich gałęziach drzew pajęczyny babiego lata, wlokła je na rzyska i ugory, obwieszała nimi płoty i strzechy. W rozmokłych drogach głęboko zakłęśły koleiny wozów i chlupotała mętna woda nieustannych deszczów. Wiatr zamiatiał liście w sadzie, buszował między zielskiem, podwiewał krzaki porzeczek i gwizdał w kominach.

Czasami słońce udawało, że jeszcze będzie ciepło, ale wkrótce znów nadciągały chmury i zaczynała się plucha.

Po szarych polach włóczyły się pługi i brony, a z koni buchała para. Gęsto dymiły kominy chat, ludzie wdzielali ciepłą odzież i wozili drwa z lasu. Górą po niebie ciągnęły przelotne ptaki na południe.

Wreszcie któreś nocy ziemię ubielił szklany szron, a z rana w śmiertelnej ciszy opadły z drzew wszystkie pozostałe liście. W południe zerwał się wiatr i pozwiewał je pod płoty i ogrodzenia.

Stada wron odprawiły smutny pogrzeb jesieni, nadleciały wielkimi stadami od lasu i osiadły na stałe w pobliżu Siedlisk, kracząc i szukając żeru na podwórzu i w śmietnikach.

Tylko wróble po dawnemu wieczowały i kłóciły się o ziarno, a wieczorem niby szare gruszki obsiadały krzaki bzu przed domem.

Potem, w mroźnych podmuchach północnych zawiei przyszła biała, zacięta zima. Uwalila się puszystą pierśią na pola, wdziała zwisające kapice śniegu na dachy domów i na korony drzew, skuła rzekę w lustrzane tafle lodu, zapiekła mrozem, zapłonęła krwawymi zachodami słońca.

Na zawianych, kopnych drogach z rzadka dźwięczały dzwonki sań, po nocach psy wyły

do księżycy, w karczmach huczały wieczorami hołubce, a w stodołach przez cały dzień młóciły cepy.

Siedliska opustoszały i ucichły. Jeszcze na jesieni, zaraz po skończonym rajdzie „szkoły orląt”, nie odczuwało się tego tak bardzo. Grey rozszerzał betoniarnię i robił zapasy żwiru, porządkował obory i ulepszał przetwórnę nabiału.

Później cała armia jego doborowych robotników budowała bocznice kolejową do Siedlisk. Ukończyli ją przed pierwszym mrozem.

Potem już cisza zapanowała na polach okrytych śniegiem. Tylko dymił komin betoniarni i głucho buczała elektrownia, a czasem stękały zderzaki przetaczanych wagonów i pluł parą sapiący parowóz.

Mimo tej pozornej ciszy praca wrzała nadal. Grey spłacał długi i gromadził zapasy. Prawie co tydzień bywał w Warszawie, załatwiał transakcje z eksporterami w Gdańsku i w Poznaniu.

Jego solone masło, sery i mleko kondensowane zdobywały wciąż nowych odbiorców. Zwiedziwszy wielkie mleczarnie w Holandii, dokąd wyjechał w październiku, Grey pierwszy w Polsce zaczął fabrykować mleko w proszku.

Kiedy przed Bożym Narodzeniem odwiedził go Stenson, mleczarnia w Siedliskach przewyższała już zakłady zaleskie.

— Robi mi pan konkurencję — śmiał się bankier trzęsąc okrągłym brzuszkiem. — Mówiłem panu, że zrobi pan na krowach pieniądze.

Grey rzeczywiście robił pieniądze, które wkładał w coraz nowe inwestycje. Sprowadzał maszyny, budował chłodnie, montował nowe akumulatory. Transporty pustaków szły mimo mrozów do Wilna, wielkie partie masła i serów, skrzynie sproszkowanego mleka i specjalnie preparowanej śmietany docierały do Gdańska i za granicę. Grey stał się jednym z bardziej znanych producentów w Polsce.

O „szkole orląt” zapomniano albo mówiono, że Grey „bawi się w lotnictwo”.

Grey nie „bawił się” wcale: po prostu musiał coś robić, a że robił zawsze z rozmachem, więc i teraz paliło mu się wszystko w rękę. Ale cała ta praca była tylko dla szkoły i z myślą o jej dalszym rozwoju.

— Za dwa, trzy lata będziemy mieli szkołę sportów dla dwustu chłopców — powiedział kiedyś do Gałęckiego.

To akurat do ciebie podobne — pomyślał w duchu werkmistrz, choć nie umiał sobie wyobrazić, jak Grey tego dokona.

Od chłopców przychodziły listy pełne przeróżnych spraw młodości, opisów z łyżwiarskiego i saneczkowego toru, ze skoczni narciarskiej i ze szkolnego podwórza.

Pisali do Greya o wszystkim, jak do zaufanego przyjaciela. I o tym, jak jest z łaciną i matematyką, i o tym, jak się prowadziło tańce z tą nieznośną dziewczyną Halą (która mimo wszystko woli marnego podchorążego z piechoty niż lotnika ze „szkoły orląt”), a także o zjazdach i zebraniach aeroklubu akademickiego, o zawodach szermierczych, o rodzicach, o braciach, siostrach, zabawach, bójkach, przyjaźniach i nienawiściach, szczęśliwych i nieszczęśliwych sztubackich miłościach, jednym słowem — o wszystkim.

Każdy z tych listów niezmiennie kończył się westchnieniem, żeby już te wakacje prędzej nadeszły i żeby znów latać...

Między innymi przyszedł także list od Stefana Wireckiego, pogodny i wesoły, pełen zapału i chęci do życia.

„...Wiem już teraz z pewnością — pisał Paniczyk — że nie zostanę dyletantem: będę pilotem zawodowym, bo nie mógłbym żyć bez latania. To jest nałóg gorszy, a raczej stokrotnie lepszy niż wszelkie narkotyki. Jestem już nałogowcem. Z utęsknieniem czekam

wiosny, aby rozpocząć trening w aeroklubie, a z większym jeszcze — lata, aby wrócić do mego właściwego zawodu. Poza tym studiuje na wydziale lotniczym politechniki; pewnie mi się to przyda.

„...Zaraził mnie pan wesołością. Śmieję się sam do siebie i uważają mnie tu za nieszkodliwego wariata. Gwizdzą na to; chce mi się pracować i latać.”

Poza tym w listach było mnóstwo pytań: co słyhać w Siedliskach i u każdego z domowników „szkoły orląt”? Jakie będą nowe maszyny i czy już nadeszły? Czy basen zamarzał i jak wygląda lotnisko przykryte śniegiem? Czy dużo jest zajęcy? Czy Grey poluje? (O to pytał Maliszewski, który był zapalonym myśliwym.) Czy zobaczą się przed wakacjami, czy aby na pewno będzie drugi kurs w lecie?

Porucznik znajdował czas na odpowiedzi, choć nieraz musiał odpisywać w nocy, bo nie starczało mu dnia na załatwienie wszystkich spraw bieżących. Korespondencję tę uważał za równie ważną, a może ważniejszą nawet od umów z odbiorcami i od interesów pieniężnych. Radził, zachęcał, Pocieszał, gawędził, utrzymywał ścisły kontakt ze wszystkimi. Wiedział, jak im tego trzeba i jacy mu są wdzięczni. Musiał mieć na to czas.

Na długim korytarzu gimnazjalnym, na który z obu stron wychodziły oszklone drzwi sal wykładowych, zadzwieczał dzwonek. Głos jego, hałaśliwy i obojętny jednocześnie ochrypli i donośny, wpadł do klasy wywołując na wszystkie twarze wyraz ulgi: półgodzinna przerwa.

Między ławkami przepłynął szmer słów zamienianych szeptem i półgłosem, skrzyp pulpitów, szelest kartek w zeszytach. Potem rumor czyniony przez wstających chłopców, gdy nauczyciel złożony czarny dziennik skierował się ku drzwiom.

Czwarta godzina lekcji dobiegła końca, a na podwórzu szkolnym był biały, cierpko skrzypiący śnieg!

Granatowe mundurki hurmem sypnęły się przez zgorszony krzykiem dostojny korytarz obwieszony tablicami przyrodniczymi i przekrojami anatomicznymi.

Przez mniej już dostojne schody, trochę znudzone ciszą, płynął teraz szeroki, granatowy strumień chłopców i grzmiał tupotem nóg. Wesoły gwar młodych głosów, których nie trzeba było już tłumić, niósł się przez szkolne mury, aż wybuchnął krzykiem na świeżym, mroźnym powietrzu.

Siódma i ósma klasa, jak zwykle, walczyły po jednej stronie. Szósta, piąta i czwarta — po drugiej. Pędraki z niższych klas sporadycznie tylko mieszały się do walki po stronie liczniejszej przewagi młodszych.

Główną szansę zwycięstwa stanowiło wcześniejsze zajęcie dogodnego stanowiska pod szczytową ścianą sąsiedniej kamienicy, na małym wzgórzu, skąd łatwiej było bombardować przeciwników śnieżnymi pigułami. Właśnie kiedy Grey wchodził na podwórze, pozycja została zajęta przez ósmaków. Siódma przedzierała się ku sojusznikom, obficie i na bliską metę obrzucana kulami.

Ku swemu wielkiemu zadowoleniu Grey zobaczył na jej czele Karola, biegnącego z bojowym okrzykiem naprzód i zdającego się przewodzić całej klasie. Tego samego Karola, który przed rokiem był jeszcze gamajdą i ciapą, którym pomiatali wszyscy koledzy, którego „wielki” Bogucki (ten, co już golił wąsy) targał za czerwone uszy i dawał mu prztyczki w wiecznie zakatarzony nos.

Dziś Zakrzewski nie miał ani zakatarzonego nosa, ani potulnej miny. Dopadłszy wzgórza powitany został z radością i widocznym szacunkiem przez ósmą, zupełnie bez protekcyjnego tonu. Ósmej potrzebna była na gwałt pomoc: grad śnieżnych kul sypał się na nią, zbijając czapki z głów, zalepiając usta, rozplaszczając się na nosach i czołach.

Wróg podchodził wciąż bliżej i — ośmielony widoczną przewagą — zamierzał już walką wręcz zdobyć wzgórze. Nawet teraz, kiedy ilość obrońców zwiększyła się, pozycja była

trudna do utrzymania. Mimo to, a może właśnie dlatego, ósma i siódma walczyły jak lwy. A Zakrzewski walczył w ich pierwszej linii.

Na próżno z wrzaskiem ruszyły do ataku liczne zastępy „trójporozumienia”, wsparte mało celnym acz gęstym ogniem flankowym pędaków. Na próżno wdzierali się na zbocza pozycji co odważniejsi piąto— i szóstoklasiści. Zdziętkowani pigułami śniegu, spychani przez „dwuprzymierze”, musieli cofać się za każdym razem, chroniąc rozbite nosy i podsiniące oczy przed gradem pocisków. Białe kule kreśliły sieć paraboli, rozpryskując się tu i tam na rozczochranych łbach albo z głośnym pacnięciem rozplaszczając się na murze.

Wtem z ciemnej wnęki klatki schodowej wybiegł rosły dryblas i przyłączył się do szeregów atakujących.

— Bogucki idzie! — zawołał któryś z pędaków.

Przybycie jego „trójporozumienie” powitało głośnym szykiem triumfu, „dwuprzymierze” zaś wzmocnionym gradem pocisków.

Grey z zainteresowaniem śledził rozwój wypadków, podchodząc coraz bliżej mimo ewentualności otrzymania śnieżnego postrzału. Jakoż dostał raz i drugi pigułę, ale nie zważał na to.

Tam na wzgórzu rozgrywała się decydująca batalia. Dryblas przybyły z pomocą napierającym miał, zdaje się, przeważyc na ich korzyść szalę zwycięstwa; prowadził szturm generalny. Łazł po zboczu w górę rozgarniając potężnymi łapami obrońców. Mimo woli rozstępowali się przed nim. Wyglądał jak byk idący z pochyloną głową przez wiotkie zarośla. Była w nim niezgrabna siła słonia, pozbawiona jego łagodności.

Wtem drogę zastąpił mu Karol. W obu jego dłoniach białły mocno ubite kule śniegu. Zamachnął się i rzucił jedną po drugiej. Obie trafiły: pierwsza w brodę, druga w kark i za kołnierz.

Bogucki wstrząsnął ramionami i zaryczał tocząc dokoła złym spojrzeniem. Tymczasem Zakrzewski uskoczył w bok, aby przygotować nowe piguły. Mimo to dryblas dostrzegł go.

— Ty tchórze! — zawołał. — Chowasz się za plecy innych.

Wtedy twarz Karola pobladła, by wnet zapłonąć się jeszcze mocniej.

— Ja tchórze? Powtórz to!

— Tchórze — powtórzył Bogucki.

Pęc! — piguła rozbiła się na groszkowatym nosie. Pęc! — druga trafiając w usta, zalepiła pół twarzy napastnika.

Gruchnął śmiech. Dryblas sięgnął do ucha Zakrzewskiego.

— Ja cię nauczę! — ryknął.

Ale w tej samej chwili zwałił się z nóg na ziemię. Karol błyskawicznym uderzeniem w szczękę, uderzeniem nabytym w systematycznym treningu bokserskim „szkoły orląt — jak stwierdził Grey — wytrącił go z równowagi.

— Wstawaj! — zawołał potem z błyskiem w oczach. — Będziemy się bili.

Bogucki wstał. Zaczęła się walka na pięści. Jednocześnie ustała śnieżna kanonada: otoczono ich kołem, wysłano pikiety alarmowe we wszystkich „niebezpiecznych” kierunkach, aby zapobiec niespodziewanemu wkroczeniu władzy, i robiąc zakłady śledzono przebieg pojedynku.

Przeciwnicy przez chwilę mierzyli się wzrokiem stojąc naprzeciw siebie. Potem starli się gwałtownie.

Od samego początku widać było, że wielki szóstoklasista góruje nad Zakrzewskim siłą. Jego razy, jeżeli trafiały, odrzucały Karola o kilka kroków w tył. Uderzenia w żebra miały głuchy odgłos, a te, które zatrzymywały się na osłonie ramienia, sprawiały wrażenie ciosów

toporem. Ale cała technika Boguckiego polegała na młóceniu obu pięściami z góry lub z boku, tak jakby miał do czynienia z nieruchomym manekinem.

To właśnie stanowiło szansę Karola. Unikając razów, sam miał możliwość zadawać je z całą pewnością i precyzją. Jego małe pięści pracowały szybko i pewnie, krwawiąc już zresztą, pokaleczone o guziki munduru przeciwnika.

W jakiejś chwili kułak dryblasza trafił go w nos pomimo prawidłowej zasłony. Karol zobaczył wszystkie gwiazdy i na mgnienie oka podniósł obie ręce do twarzy. Wtedy otrzymał uderzenie kolanem w brzuch, zatoczył się i upadł.

Wśród otaczających powstało zamieszanie. Odezwały się głosy oburzenia i kiedy Zakrzewski powstał blady i zakrwawiony przygotowując się mimo to do dalszej walki, próbowano ich rozdzielić. Ale Karol zaprotestował: może bić się dalej; nic mu nie jest.

I namiętna ciekawość walki przemogła chwilowy nastrój pokojowy otoczenia.

Zderzyli się znowu. Zakrzewski zaciął zęby i postanowił "Zwyciężyć lub zginąć". Oczy zachodziły mu mgłą od potężnych uderzeń przeciwnika. Bolały go wszystkie mięśnie, a knykcie poobijane do krwi sprawiały mu niewymowne cierpienia za każdym razem, kiedy pięść trafiała w cel. Mimo to zdołał na czas uskoczyć przed nowym nieprawidłowym kopnięciem. Noga Boguckiego trafiła w próżnię, a Karol błyskawicznie wykorzystał tę jego chwilową utratę równowagi: oszczędzając obolałe palce, pochylił się i runął całą siłą naprzód mierząc głową w brzuch przeciwnika.

Poczuł, że pada w śnieg i już nie może się podnieść.

Potem zobaczył twarz Greya, który rozcierał mu skronie śniegiem, a potem tuż obok bladą twarz Boguckiego, który trzymał się za brzuch jęcząc.

Wtedy Zakrzewski wstał i zwrócił się do pokonanego wroga.

— Cofnij to, co powiedziałeś — zażądał spokojnie. — Cofnij, albo bij się dalej.

Grey roześmiał się głośno. Zakrzewski piorący na kwaśne jabłko dwa razy silniejszego od siebie draba, to był zaiste triumf sportowy „szkoły orląt”. Waśnie dlatego, że to był Zakrzewski i właśnie dlatego, że sam zaczął bójkę.

Bogucki miał dosyć: wyciągnął rękę do zgody.

Pierwszym uczuciem, jakiego doświadczył Zakrzewski po zwycięstwie, była rozsadzająca pierś duma i radość. Nawet Grey był tym zdziwiony i trochę zaskoczony: Karol zwierzał mu się, że dopiero teraz zrozumiał jego rady. Dopiero teraz poczuł, że żyje; właśnie bezpośrednio po zwycięstwie.

Spojrzenie Greya było po tym oświadczeniu jakieś niepewne i — jakby zatroskane. Zaraz jednak pokrył je wesoły uśmiech i wróciła dawna pewność siebie: nie mógł mylić się co do tego chłopca. Pożegnał go wesoło, nie wspominając słowem o swoich obawach i wątpliwościach.

Zakrzewski natomiast wnet po rozstaniu z porucznikiem zaczął rozmyślać. Myśli te pochłonęły go całkowicie na lekcji fizyki, po skończonej pauzie.

Podniecenie opadło, a jednocześnie napłynęła fala refleksji. Sam wszczął bójkę. Tak, niewątpliwie dał do niej powód. Pokrwawił ręce na zębach kolegi i uniemożliwił wcześniejsze zakończenie burdy przez bardziej od siebie kulturalnych chłopców. Cywilizacja, kultura, ogłada towarzyska, dobre wychowanie, wszystko to, czym się różni człowiek od zwierzęcia, opadło z niego przy pierwszym uderzeniu pięścią. Stał się dzikiem, który dąży do powalenia wroga i zadania mu decydującego ciosu. Pięścią wymierzył sobie sprawiedliwość.

Jest się z czego cieszyć i być dumnym — pomyślał z gorzką ironią.

Mimo to jednak w głębi duszy czuł radość i dumę. To było mocniejsze. Wstydził się sam przed sobą tego uczucia. Czyżby zewnętrzny pokost cywilizacji był tak cienki? — pomyślał. — Czyżbyśmy tak niedaleko odbiegli od obyczajów jaskiniowca? Czyżby siła pięści miała

decydować o wartości człowieka?

— Nie — powiedział prawie głośno. — Nie: to było po raz pierwszy i ostatni.

Wiedział, że tego postanowienia dotrzyma. Był zupełnie pewien siebie.

I nagle przyszło mu na myśl, że ta pewność ma jednak swoje źródło w wyniku tej właśnie bójki z Boguckim. Przecież gdyby go nie pokonał, nie mógłby z całym spokojem tak twierdzić. Jedyne świadomość własnej przewagi nad jednym z najsilniejszych kolegów dawała mu spokojną pewność siebie i pozwalała uniknąć na przyszłość starcia. Wiedział, że rozporządza siłą; mógł sobie pozwolić teraz na spokojne zawinie wszelkich spraw, bez uciekania się do tej siły. Więc o to chodziło Greyowi! — zaświtało mu nagle w głowie.

Śnieg był skrzący, złotoróżowy, głęboki po kolana, sypki jak puch. Góry błękitniały ku szczytom coraz bardziej i tylko dzięki czarnym, kosmatym sylwetkom świerków można było zauważyć granicę między nimi a niebem.

Progu skoczni wcale nie było widać: rozpląwał się gdzieś w szklanym mroźnym powietrzu przed wzrokiem, złudzoną mieszaniną błękitu i bieli. Tylko słupy i belki podpierające wygięty tor świadczyły, że gdzieś blisko znajduje się krawędź, za którą leży biała przepaść przechodząca w zbocze o coraz łagodniejszym spadku.

Na samym dole, u podnóża, stał gęsty tłum i czekał, spoglądając wśród gwaru głośnych rozmów na furkające flagi przy masztach wbitych dwoma szeregami aż do samej skoczni.

Kiedy ponad linią masztów u szczytu toru zjawiała się sylwetka w białym swetrze z przepaską o barwach jednej z flag, po tłumie przechodził prąd głośniejszych okrzyków. Potem sylwetka narciarza mknęła w dół i ginęła z oczu za krawędzią skoczni. Wtedy zalegała krótka cisza i słychać było poklaskiwanie chorągiewek o drzewca.

Nagle wysoko nad nimi wypryskiwała para nart i zgięta postać zawodnika. Potem człowiek opadał w dół i dotknąwszy nartami śniegu sływał między masztami po zboczu, by wreszcie wyorawszy bruzdę przy zakręcie zatrzymać się u końca dobiegu.

Sypały się brawa, rósł gwar, przez megafony podawano wyniki skoku i znowu po stromym, wygiętym torze pędził narciarz, znowu zapadał w otchłań poprzedzającą krawędź skoczni, wylatywał w górę, zawisał na tle błękitu aż gdzieś ponad czarnymi wycinankami świerków i sływał w dół, przed tłum. Czasami dotknąwszy śniegu padał, płacząc długie płozy nart i wtedy toczył się, sunął po równi pochyłej jak kruchy i wiotki owad pozbawiony skrzydeł, rozpylając biały puch goleniami długich kończyn.

Wtedy u końca szpaleru masztów powstawał niepokój i stłumiony gwar zamiast braw.

Czasem na szczycie toru stawał zawodnik w polskich barwach.

Wtedy tłum cichł bardziej jeszcze, ludzie podnosili do oczu lornetki, a po udałym skoku oddychali z ulgą i głośnieji bili brawa.

Dwaj Szwedzi i Estończyk wysuwali się na pierwsze miejsca: mieli już po siedemdziesiąt metrów w skokach próbnym. Podobno w decydującej chwili mogli osiągnąć do osiemdziesięciu. Polacy mieli nadzieję na czwarte miejsce pomimo silnej konkurencji Czechosłowaków, Finów i Francuzów. Nadzieja ta opierała się na znanych asach narciarstwa z lat ubiegłych. Prócz nich skakało kilku nowych, co do których nie było wątpliwości, że zostaną daleko w tyle: same nie znane nazwiska, z wyjątkiem Radlicza z „Pogoni”. Ale Radlicz znany był głównie z boiska piłki nożnej. Zaczął skakać dopiero w ubiegłym sezonie...

Toteż pierwszy jego pięćdziesięciometrowy skok wzbudził uznanie wyłącznie wśród znawców. Tłum pozostał obojętny: nie zaimponowała mu klasa, odległość zaś była niewielka.

Radlicz nie miał zwyczaju zwracać uwagi na tłum. Stanąwszy ponownie u szczytu skoczni obliczył każdy ruch i moment odbicia z pedanterią zawodowego badacza. Odsadził się i pomknął w dół. Daleko przed nim czerniał próg skoczni. Tam należało odbić się z całej siły, wyprysnąć głową naprzód, wlecieć!

Radlicz znalazł się na wygięciu toru i zgięty w pół, pochylony z lekka naprzód, czekał.

Poczuł wzmożony ciężar ciała, jak przy loopingu. Ciemna krawędź pędziła pod jego nogi mocno wparte w uwięzie nart.

Teraz — pomyślał i sprężył się w sobie.

Nagle śmignęły pod nim wierzchołki czarnych świerków ze spływającymi po gałęziach kożuchami śniegu. Wskoczył szpaler masztów i flag; zaczerniało w dole mrowie tłumu.

Leciał z przyciśniętymi do boków ramionami, z piersią pełną mroźnego powietrza, ze wzrokiem wbitym w biel zbocza, gdzie miał zetknąć się z ziemią.

Tłum zbliżał się, roste świerki pomknęły w górę, przepaść ciągnęła go ku sobie z szaloną, wciąż rosnącą prędkością. Wysiłkiem całego ciała przedłużał drogę lotu i zwiększając opór powietrza wzniesionymi pod kątem nartami oddalał chwilę lądowania. Ziemia szła ku niemu twarzą w twarz. Przeczul jej bliskość i lekko ugiąwszy kolana wzniosł ręce.

Już!

Pryśł śnieg, przemknęły błyskawicznie maszty, zaczerniała na chwilę masa tłumu.

Ostra christiania. Brylantowy pył sypnął spod pochylonych płóz.

„Sześćdziesiąt cztery metry!”

I brawa. A potem krzyk. Długi, rozedrgany śmiechem czy może wzruszeniem.

Radlicz wzruszył ramionami.

Czego oni tak wrzeszczą? To przecież próba. Jeżeli już muszą bić brawo i krzyczeć, niech to załatwią po decydującym skoku.

W tej chwili jeden ze Szwedów skoczył siedemdziesiąt pięć, a Estończyk siedemdziesiąt osiem metrów.

Też sens! — pomyślał Janusz. — Tak się natężać...

Ale w decydujących skokach Szwedzi mieli osiemdziesiąt jeden i osiemdziesiąt metrów, Estończyk — osiemdziesiąt i pół, a Francuz — siedemdziesiąt siedem.

Polska dotychczas była na piątym miejscu z siedemdziesięcioma metrami Gąsienicy.

Nagle zdystansował ją Fin skacząc siedemdziesiąt sześć.

Zapanowało milczenie. Na torze stanął Radlicz. Zrobiło się zupełnie cicho. Słysząc było skrzyp śniegu, oddechy i nieledwie bicie serc tłumu. Ostatnia nadzieja, słaba jak nikły płomyk na wietrze, walczyła z niepewnością i powątpiewaniem.

Po takich skokach?...

Słońce pochyliło się ku zachodowi, różowiac coraz mocniej śnieg. Niebo wyblakło i na jego tle widać było wyraźnie szczyty gór. Wiatr ustał zupełnie i flagi zwisły nieruchomo na drzewcach. Cisza w powietrzu i cisza na ziemi zdawały się dzwonić sennemu światu pożegnanie dnia.

W tę ciszę padł ostry, krótki sygnał gwizdka. Startowy opuścił czerwoną chorągiewkę.

Radlicz zsunął się w dół. Odprowadzały go niespokojne oczy tłumu, póki nie zapadł na krótką chwilę pod wzniesioną krawędź skoczni.

Milczenie leżało dokoła skostniałe w oczekiwaniu. Ktoś głośno wytarł nos. Ktoś zakaszłał. Ktoś westchnął.

Stojącym tuż pod skocznią zdawało się, że jakoś zbyt długo nie widać sylwetki narciarza.

I oto nagle, jak piłka wybita z bramki, śmignął nad zaróżowione szczyty gór. Para długich nart równoległe przekreśliła gładki, biały klosz nieba. A potem zgięta postać runęła w dół. Dotknąwszy białobłękitnej pierzyny śniegu wyrosła, rozprostowała się i pomknęła w szpaler masztów.

Tłum milczał i patrzył. Narty Radlicza wykreślały pieniaące się srebrem i brylantami

śnieżnego tumanu chrystianie...

Jeszcze było cicho...

Wtem głos z megafonu obwieścił:

„Osiemdziesiąt trzy metry”.

Poszło przez tłum i buchnęło nagle tysiącem głosów:

„Osiemdziesiąt trzy!”

„Osiemdziesiąt trzy!” — jak huk burzy.

„Osiemdziesiąt trzy!” — dostojnie powtórzyło echo.

A potem... ulewa braw.

Tłumem targnął dreszcz radości. Tłum oszalał. Rzucił się ku zwycięzcy. Padali i biegli, prześcigali się, aby porwać go na ręce.

Radlicz stał na uboczu i, trochę wzruszony, przyjmował powinszowania zawodników. Roztrącono otaczających go narciarzy. Dziesiątki ramion uniosły go w górę. Nie mógł się bronić.

12

Wiosna tego roku długo nie mogła dać rady śniegom i lodom skuwającym ziemię. Przychodziła i cofała się pod naporem zimnych wiatrów, a śnieg zasypywał każde źdźbło zieleni, które poważało się wyrzeć na świat. Jeszcze w kwietniu mróz ścinał na polach i drogach kałuże wody w cienkie, chrupiące pod nogą skorupki, a żółte kaczeńce wędły bezsilnie na soczystych grubych łodyżkach, ilekroć wczesna chęć do życia rozwinęła przy pomocy dobroczynnego słońca ich małe główki na mokrych łąkach.

Wreszcie słońce zwyciężyło. W sojuszu z ciepłym deszczem opanowało ziemię i zazieleniło drzewa, okryło brud późnej zimy świeżą przesłoną liści i traw.

Jakby chcąc wynagrodzić światu długie tygodnie oczekiwania, grzało teraz mocno po całych dniach, aż w czerwcu zapiekło upałem.

W Siedliskach od paru miesięcy wrzała wzmożona praca— Po zasiewach przyszły pierwsze sianokosy, wykończono remont płatowców i silników, przygotowywano letni sezon szkoły.

Któregoś dnia przed zachodem słońca przyleciał z Warszawy pierwszy Pezetel¹⁹.

Grey nie mógł wytrzymać i jeszcze tego samego dnia przerobił na nim (niemal po ciemku) pełną akrobację.

— Piękna maszyna — powiedział do Gałęckiego, wyłączając silnik. — Niech pan każe wypisać białą farbą moje nazwisko na kadłubie i na spodniej stronie prawego skrzydła. Potem odstawić do mojej wyłącznej dyspozycji. Kiedy otrzymam pozostałe Pezetele? — zwrócił się do pilota.

Maszyny miały nadchodzić codziennie, do końca tygodnia.

Jakoż nazajutrz w południe przyleciały trzy, a wieczorem jeszcze jedna. Piloci z ciekawością oglądali szkołę, kilku zostało na noc. Niektórzy znali Greya jeszcze z wojska. Dla tych miał czas na pogawędkę przy czarnej kawie i papierosach. Opuszczali Siedliska pod wrażeniem kipiącej tam roboty.

Przed niedzielą wszystkie maszyny stały w hangarze, oblatane przez Greya i ponumerowane. Gałęcki chodził dumny, co chwila zaglądając do wnętrza pachnącego smarem i benzyną. Rząd śmigieł połyskiwał słońcem, którego promienie pełzały po mrocznej hali. Samoloty zdawały się drzemać na wysuniętych w przód podwoziach; siła przeszło

¹⁹ PZL — Państwowe Zakłady Lotnicze. Samoloty z tej fabryki, P-7 i P-II, stanowiły sprzęt bojowy polskiego lotnictwa myśliwskiego w roku 1939.

sześciu tysięcy koni mechanicznych, zaklęta w stalowych cylindrach, czekała wyzwolenia...

Wszystko to należało do werkmistrza; było pod jego opieką. Wszystkim tym rządził on jeden.

Osiemnaście maszyn... Cały dywizjon — myślał z dumą. — Co można by z tym zrobić na wojnie, mocny Boże! Gałęcki sięgnął myślą wstecz, do tych czasów, kiedy to wyprawiał stare austriackie graty w powietrze. Stare, rozlatujące się graty, na których latali, zwyciężali i ginęli bohaterowie: Bastyr, Garszka, Motylewski, Kostrzewski, Stec, Swoszowski²⁰...

Wtedy poznał podchorążego Greya. Polubili się od razu, dobrze oceniwszy nawzajem swą wartość. Od tego czasu nikt chyba nie miał lepiej przygotowanej maszyny do lotu niż Grey i żaden mechanik nie cieszył się większym zaufaniem pilota niż Gałęcki.

Przebyli razem wojnę, razem latali na zawody, a sława dobrego mechanika rosła wraz ze zwycięstwami i sławą pilota. Rozstali się na dłużej tylko po demobilizacji Greya, na czas jego włączył się po świecie i początków sławy lotniczej za granicą.

Jak to już dawno — pomyślał werkmistrz z uśmiechem.

Istotnie, było to dawno. A przecież Grey nie zmienił się od tego czasu. Sierżantowi pobielają z lekka włosy na skroniach, zmarszczki zaczęły wkradać się na twarz i rozluźniły się stalowe niegdyś mięśnie. Grey, który był co prawda młodszy, pozostał wiecznie młodym, sprężystym sportowcem, na którym bujne i awanturnicze życie nie zdołało wycisnąć żadnego śladu zmęczenia.

Od tych myśli odrywały Gałęckiego codzienne zajęcia w elektrowni i w hangarze: musiało być przecież wszystko teraz zrobione i przygotowane. Zbliżał się sezon, a werkmistrz dobrze wiedział, co to będzie za urwanie głowy w tym sezonie.

Grey wyraźnie powiedział:

— Muszę zrobić w dwa miesiące więcej, niż normalnie robi się w dwa lata. Chłopcy będą latali jak największe asy.

Będą niebezpieczni jako przeciwnicy w powietrzu. Sam Guynemer i Richthofen²¹, gdyby żyli, woleliby nie spotkać się z nimi na wojnie. Niech pan o tym pamięta: maszyny muszą być zawsze gotowe do lotu, zawsze! Gałęcki powiedział, że będą.

*

— Po siedem — powiedział Dymidecki przechodząc na słoneczną stronę placu. — Nie skończymy dziś tego seta: za godzinę odchodzi pociąg.

— Musimy skończyć. Play!

— Ready!

Wirecki wysoko podrzucił piłkę, zatoczył szeroki łuk rakieta i uderzył! z rozmachem.

Piłka warknęła nad siatką i ledwie dotknąwszy ziemi w samym środku lewego pola, płasko odbiła się tuż przed Kazikiem. Złapał ją na środek rakiety i puścił lekko za siatkę z powrotem. Stefan nie liczył na tak słabe odbicie. Mimo gwałtownego skoku naprzód nie zdążył.

— Piętnaście — mruknął, — Play!

²⁰ Bastyr i in. — autor wspomina o nich w książce *Jak dziś Pamiętam*, Warszawa 1971.

²¹ Guynemer Georges — pilot francuski (1894—1917 zwycięzca w pięćdziesięciu czterech pojedynkach lotniczych. Zginął zestrzelony. Richthofen Manfred von — as niemieckiego lotnictwa myśliwskiego z pierwszej wojny światowej. Po szesnastu zwycięskich walkach powietrznych dowódca 11 eskadry. Po osiemdziesięciu zwycięstwach zestrzelony w roku 1918 przez angielskiego pilota niewiadomego nazwiska.

— Aut!

I znowu:

— Aut!

— Trzydzieści.: Znow aut.

Wreszcie piłka posłana w sam środek pola zaczyna „chodzić”. Teraz dopiero widać przewagę Wireckiego: stoi, prawie nie zmieniając miejsca, podczas gdy jego piłki zmuszają partnera do ciągłego biegania. Piękny wolej w róg placu daje pierwszą piętnastkę dla Stefana. Mimo to gamę zostaje przy Dymideckim.

Za to następne dwa Stefan wygrywa łatwo.

I znów:

— Play!

Pociąg odchodzi za pół godziny. Na dworzec idzie się dziesięć minut. Rzeczy wysłane naprzód. Wszystko już załatwione. Tylko ten ostatni game!

Jest po trzydzieści, po czterdzieści, po pięćdziesiąt, po sto... Przewaga to tu, to tam. Piłka chodzi jak na nitce. Coraz ostrzej i coraz niżej nad siatką.

Wreszcie ostatni back-hand Stefana jest nie do odbicia: aż warczy.

Set-ball!

Trzeba się jeszcze przebrać. Pędzą z raketami pod pachą. Przecież to pociąg do Siedlisk.

— No, przecież! — z otwartego okna wagonu wita ich Maliszewski.

I już po chwili jadą, mijają fabryki i domki przedmieść, już tu i ówdzie kłania się wiatrom szerokie, z lekka podsypane od spodu płowym złotem pole żyta, już ciemną zielenią odcinają się wyraźnie zagony kartofli, płoną maki, błękitnieją chabry. Już wypływa na horyzoncie granatowy pas lasu.

Pociąg kołysze się miękko, wystukując takt skocznej melodii na spojeniach szyn, a przez otwarte okno wpada szerokim strumieniem słońce i powietrze wsi.

Opadają i wznoszą się linie drutów telegraficznych, kręci się olbrzymi kierat uciekających w tył miedz i bruzd na polach, żarłocznie poruszają szczękami kraty mostów, migają małe stacyjki i domki dróżników.

Bolek i Kazik jeszcze gadają o maturze i szczęśliwie odbytych egzaminach; Stefan marzy...

Poezja przestrzeni między niebem a ziemią wzięła go w swoją moc. Dziwna (a jakże piękna!) wymowa ostrych wirażów i brawurowych figur akrobacji stała się wzruszająca jak muzyka.

Każdy nastrój można oddać w locie, jak w muzyce, jak w każdej sztuce.

Na przykład pętla jak wybuch radości albo ślizg, który zarówno może drgać śmiechem, jak płaczem, może być pełen melancholii jak opadający liść albo koić, uspokajając jak łagodna kołysanka. Korkociąg jest zabójcą, wbijającym spiralny gwóźdź w niewinne obłoki-ofiary. Jest w nim rozpacz rzucania się głową w dół na samo dno życia czy śmierci, patos walki, moc lub upadek. A w stromym rzucie immelmana czy nie wyczuwa się ucieczki od przyziemnych trosk życia? Pilot wrywa się w swój żywioł, związuje się z nim ciasnym węzłem beczki, przerzuca się w przewrocie²² od chłodnej, bladolicej północy ku opalonemu na złoto południu; waha się w wyborze między wschodem a zachodem, pozbywa się ziemskich trosk i niepokojów. Ileż melodii wygrać można w pięknie skręconej spirali! Ile można wypowiedzieć nieuchwytnych uczuć w elastycznym luku wirażu! Wirecki otworzył oczy.

Na jakiejś stacji kilku pasażerów opuściło przedział i chłopcy pozostali tylko we trzech.

²² Przewrót — figura akrobacji lotniczej polegająca na wykonaniu szybkiego zwrotu w tył przez pociągnięcie samolotu w górę i zejście do poziomu w przeciwną stronę ślizgiem na skrzydło.

Rozmowa zeszła na temat „szkoły orląt”: jak to będzie w tym sezonie i czy wszyscy spotkają się dziś w Siedliskach?

— Już dziś — powiedzieli prawie jednocześnie. Tak długo czekali!

Jutro od świtu nad lotniskiem rozlegnie się dźwięk silników. Zaczną znów latać.

Jasne od uśmiechu oczy spojrzały mimo woli w niebo.

Wysoko nad pędzącym pociągiem płynął samolot. Jakże im był bliski!

*

Galecki nie miał chwili spokoju. Co prawda wcale na to nie narzekał: zdążył polubić chłopców i nawet zatęsknił do ich psot przez kilka miesięcy. Tak samo zresztą nie dawali spokoju Sorgemu i Johnsonowi. Włazili wszędzie i wypytywali o wszystko.

Najpierw naturalnie przyszli do hangaru, aby zobaczyć samoloty. O samolotach gadali z godzinę. Potem poszli na lotnisko, nad rzekę, do elektrowni i do betoniarni.

Jakże tu było bez nich?

I kiedy wybudowano bocznice?

I co to za nowe akumulatory?

Galecki objaśniał.

Naturalnie porucznik to wszystko po swojemu robił: w „try miga”. Robotników pracowało całe mrowie. Aż się trzęsły Siedliska od pracy. Myśleli, że nie zdążą, ale powiedział, że musi być, a jak on co powie, to tak, jakby już było. I zdążyli: pracowali od świtu do nocy, a Grey robił piętnaście rzeczy od razu. Nie spał, nie jadł, tylko robił.

W zimie śniegi były ogromne i mróz trzymał przez dwa miesiące bez przerwy. Pod elektrownią zasyły takie nawiało! Za to jak przyszła odwilż... Rzeka wylałaby pod sam dwór, gdyby nie wzmocnione jesienią tamy i wały. I tak podmyło basen i betoniarnię. Grey po kilka godzin stał z robotnikami w lodowatej wodzie do kolan i ratował. Poradzili jakoś. W dole wszystko było zalane u sąsiadów. Ratowali i tam, choć sami mieli u siebie dość tej piekielnej roboty.

Na wiosnę przyjeżdżała jakaś wycieczka rolników i mleczarzy, aby zapoznać się z produkcją mleka w proszku. Jak się je robi i czy się opłaca. Siedzieli cały dzień, zawracali porucznikowi głowę. Miał do nich cierpliwość, no! Potem ruch się zrobił z tą fabryką przetworów mlecznych, że coś okropnego: całymi wagonami idzie wszystko na eksport. Jakim sposobem porucznik znajdował przy tym czas na polowanie jazdę konną i latanie — trudno dociec.

Latał, a jakże! On by nie wytrzymał bez tego. Cuda takie pokazywał, aż mechanicy bledli z obawy, że się zabije. Tylko Galecki wiedział, że to nic. Przecież takiego drugiego pilota nie ma w Polsce. Ba, może nawet na całym świecie! Gdyby zechciał, zarabiałby tysiące w każdej fabryce samolotów. Nie chce. Ale lata jak... jak... — werkmistrzowi zabrakło porównania.

Potem poszli do sadu, odwiedzić raz jeszcze Sorgego, który — jak zwykle — grzebał się w miękkiej, pachnącej próchnicą ziemi kurząc niedopałek taniego cygara:

Na wzgórzu kryjącym w swym łonie sławną „piwnicę klubową” rosły pomidory jak w zeszłym roku. Obok, szeroko rozsiadłe, dojrzewały świeżo zaprowadzone truskawki i wielkie poziomki remontanty. Pełen kosz malin znikł w okamgnieniu zjedzony przez chłopców w cieniu rozłożystej białej czereśni.

Sorge rozruszał się i wypadłszy ze zwykłej rezonerskiej roli tłumaczył tajniki szczepień i przycinań, jakich dokonał dla podniesienia szlachetności siedliskich owoców. Pokazał nawet

chłopcom w przystępie dobrego humoru swoje dziwolągi: dynie dojrzewające w butelkach, przez co nabierały ich kształtu, oplecione drutem melony i spiralnie skręcone ogórki.

Johnson przyjął ich przed oborą i poczęstował mlekiem w proszku. Ale pani Małgorzata zaprosiła ich zaraz do siebie na świeże, płynne i obficie podbiegłe śmietanką. Oglądała każdego twierdząc, że są wymizerowani i zagłodzeni, ale „już ona ich odkarmi”. Korzystając z okazji, przymówili się jeszcze o maliny ze śmietaną i zjedli wszystko, co było, opowiadając o sobie i zarzucając ją mnóstwem pytań o gospodarstwo.

Byli w stajniach obejrzyć konie, zwiedzili strych i piwnice, dotarli do pokoju Dziewulskiego i wypalili mu wszystkie papierosy, w najlepszej zgodzie i harmonii.

Przed wieczorem byli już w komplecie; ostatni przybył Plichta, który oczywiście jechał na gapę aż z Poznania i omal nie został aresztowany na którejś stacji przed Białymstokiem za włóczęgostwo. Drapnął jednak z rąk władzy i chwalił się tym głośno, słuchając jednocześnie przygód innych i mnóstwa wiadomości, których mu udzielano z kilku stron naraz.

Wieczorem, po kolacji, którą w wesołym, beztróskim nastroju jedli razem z Greyem, nie chcieli iść spać. Musieli przecież opowiedzieć sobie nawzajem coś niecoś i nacieszyć się jeszcze porucznikiem, Siedliskami, spotkaniem po tyłu, tyłu miesiącach... no, wszystkim w ogóle. Zresztą nikomu spać się nie chciało: będą jeszcze gadać na tarasie i wypalą z Greyem fajkę pokoju.

Rozsiedli się na schodach i ławkach.

Mówili teraz mniej chaotycznie, a Grey słuchał jak wtedy w lesie, kiedy spotkał po raz pierwszy Stefana przy obozowym ognisku harcerzy.

Księżyc, żółty i ogromny, wytaczał się z płataniny gałęzi i liści drzew, rozlewając na podłużnej, fryzowanej po brzegach chmurce srebro zmieszane ze złotem. Leciutki powiew szedł z głębi parku, od sadu, gdzie kwitły grządki groszku i całe łany goździków. Aksamitnym lotem przemykały nad tarasem nietoperze. Ogniste punkciki papierosów poruszały się leniwie w górę i w dół oświetlając na chwilę twarze, aby pograć je znów w cieniu. Fajka Greya rzucała raz po raz większą nieco, zamgloną dymem łunkę. Z brzękiem przeleciał jakiś owad i bęcnął z rozpędem w szybę.

— Daleki przelot ma dla mnie największy urok — powiedział Plichta. — Nie jakiś określony przelot właściwie, o jakim mówił Zakrzewski, nie jakiś lot z Europy do Nowego Jorku albo dokoła kontynentu, lecz raczej podróż bez celu, ciągła zmiana planów, ciągle mijanie dróg, wsi, miast, rzek, lasów, pól... Ciągłe zdobywanie przestrzeni. Kupię... no, jeśli nie kupię, to skombinuję samolot sportowy i będę latał nie dla rekordów, tylko dla przyjemności. Nie umiałbym traktować zawodowo tych rzeczy jak Bielak.

Bielak wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Na pewno nie kupisz żadnego samolotu — wtrącił Kramer. — Będziesz dalej latał na gapę.

Bielak roześmiał się.

— Na pewno — potwierdził. — Założyłbym się, że nakryję cię kiedyś w mojej maszynie, kiedy już będę pracował na linii pasażerskiej.

— Pójdiesz na linię? — zapytano gdzieś z dolnych stopni schodów.

— Pewnie, że pójdę. Przecież nie kupię samolotu! Zresztą nie o to chodzi, na czym latać, tylko o to, żeby latać. Ja bym latał i na desce do prasowania, gdyby miała silnik. Zaszczyty? Rekordy? Rajdy i zawody? Głupstwo! Pamiętacie, jak tej zimy stanęły koleje z powodu mrozów i zasp śnieżnych? Samochody i autobusy nie mogły kursować, tak zawiąło szosy i taki był piekielny mróz. Tylko samoloty latały normalnie; miały sto procent regularności ruchu. I co tu znaczy rekord prędkości albo wykrcenie stu loopingów z rzędu wobec pracy tych pilotów. Latali, bo tak było trzeba. Spełnili obowiązek nie otrzymując nic w zamian

oprócz zwykłych poborów. A ja powiadam, że to zaszczyt być takim zawodowym pilotem, i tyle!

— Tak — powiedział Grey wypuszczając kłęb dymu.

— Może być — zaczął z namysłem Stefan. — Z pewnością. Ale ja nie mógłbym latać jak inni. Takie przeloty jak tej zimy nie zdarzają się co dzień; a normalnie pilot linii pasażerskiej „odwala” codzienną trasę tam i z powrotem. Nie wolno mu wystartować inaczej niż prosto. Nie wolno mu zrobić ostrzejszego wirażu, nie wolno nic. A dla mnie cały urok ma akrobacja. Można jej się uczyć całe życie; no przecież pętla — tak jak ja ją rozumiem i czuję — udaje się bez najmniejszego błędu tylko raz na kilka razy. I właśnie: udaje się. Chciałbym doprowadzić do tego, żeby pętle musiały być za każdym razem takie, jak zechcę. To samo jest z imelmanami: wyjdzie albo nie wyjdzie. A powinien wychodzić zawsze. Tak samo beczka, tak samo wszelkie rodzaje korkociągów, przewrotów, spirali, tak samo wszystko. Chciałbym umieć wypowiedzieć się w locie tak jak artysta. Chciałbym opanować maszynę, jak Chopin opanował fortepian. Latać tak, jak on grał, i tworzyć w powietrzu, jak on komponował melodie. Lotnictwo jest sztuką. Pilot też może być artystą.

— Ciekawym, komu i na co się taki zawodowy „artysta pilot” przyda — mruknął Kramer.

— Przyda się i nawet jak idzie o stronę praktyczną, bardzo dobrze może zarabiać. Tylko trzeba dojść do tego, żeby nim zostać. Trzeba osiągnąć tę zupełnie skończoną formę i zdolność artystycznego wypowiedzania się w powietrzu, a to długa i trudna droga. Myślę, że może kiedyś zostaną pilotem reklamowym wielkiej fabryki samolotów: to jest właśnie jedna z artystycznych gałęzi zawodu lotnika.

— I złamiesz kark na jakimś gracie — rzucił Maliszewski..

— Nie — powiedział znów Grey.

Spojrzeni w jego stronę wyczekująco. Ale milczał. Więc zaczął mówić Szczerbiński.

Wszystko mu było jedno, jak i gdzie będzie latał. Niespodzianek i emocji pełno jest na świecie. Trzeba tylko wyjść na ich spotkanie i umieć walczyć. Walka z żywiołem i z losem stanowią całą treść lotnictwa. Leszek chciałby mieć jak najwięcej przygód. Takich przygód, z których wychodzi się cało pod warunkiem, że ma się nerwy jak postronki i że człowiek orientuje się w porę. To są dwa warunki zwycięstwa. Przygoda jest panią wszelkich możliwości. Przygoda ujawnia właściwości charakteru, kształci go, wzmacnia, hartuje. I cóż może być piękniejszego nad przygodę? Los pokonany w walce na śmierć i życie — oto największy triumf, oto szczyt marzeń. Wyzywać ten los w powietrzu, walczyć z nim i zwyciężać — oto cel.

— Dla mnie to nie może być celem samo w sobie — powiedział Górski. — Nie mogę także zrozumieć Wireckiego: po kiego licha studiujesz na wydziale lotniczym, jeśli chcesz latać potem w fabryce, zamiast być w niej inżynierem? Walka z żywiołem? Artystyczna akrobacja? Pozostawiam wam jedno i drugie. Lepiej już rozumiem Bielaka. Ale mniejsza o to. Moim celem jest twórcza praca. Latanie jest środkiem. Muszę latać, żeby zostać konstruktorem. Będę wcielał marzenia Plichty o szybkości, dostarczę Stefanowi maszyn, na których będzie latał, jak Chopin...

— Chopin nie latał, tylko grał — wtrącił Kramer.

— Wszystko jedno. Będę budował olbrzymie transportowe samoloty dla Bielaka...

— I graty, przy których będą się urywały skrzydła, dla Leszka — mruknął Kramer.

— Będę miał to wszystko, co wy i jeszcze coś po mnie zostanie.

— Aha: polisy ubezpieczeniowe dla rodzin pilotów, którzy skończą na twoich „latających trumnach” — wtrącił znów Kramer. — Tak samo jak po Zakrzewskim — reklama w prasie, po Bielaku — parę milionów nie przelecianych jeszcze kilometrów i sto procent regularności

lotów; po Wireckim — tom kiepskich poezji o obłokach, a po Szczerbińskim — tłusta i mokra plama, kiedy się grobnie w jednej ze swych przygód.

— Cóż zostanie po tobie? — spytał Grey.

— Po mnie? Zapewne jeszcze mniej, jeżeli nie liczyć maszyn, które chciałbym zwalczyć w powietrzu; jeżeli będziemy się musieli przed kimś bronić, jeżeli będzie wojna...

Wojna?

To słowo padło w nagłą ciszę i zaraz ją zburzyło.

Zaczęli gadać wszyscy naraz o tej walce w powietrzu nad dymiącą, poraną ogniem armatnim ziemią. O tym, jak broniliby Polski przed wrogiem i jakby się bili.

Księżyc już był wysoko, srebrny i mały jak talerz, kiedy poszli spać.

Grey został sam na tarasie. Wstał i z założonymi w tył rękami szedł wolno przed siebie, zatopiony w myślach o tej wojnie, która jemu wydawała się bliższa i groźniejsza niż innym.

Myślał o Niemcach i o ich zbrojeniach. O zbrojeniach lotniczych przede wszystkim.

Co my im możemy przeciwstawić? — zadawał sobie pytanie. — Czy rzeczywiście jesteśmy przygotowani?

13

— Bitew powietrznych nie ma — mówił Grey sumując wykład. — Są tylko serie następujących po sobie starć nagłych i krótkotrwałych. Zdarzają się czasem wyjątkowe wypadki, gdy większy patrol walczy przez kilka minut w szyku, ale zasadą jest to, co powiedziałem przed chwilą.

Zasady taktyczne walki powietrznej są bardzo proste: należy zbliżyć się do nieprzyjaciela możliwie niepostrzeżenie i niespodzianie, zajmując położenie nad nim, tak aby mieć słońce za sobą, a następnie rzucić się z góry jak ptak drapieżny, strzelając z jak najmniejszej odległości. Celny ogień zaczyna się od dwustu metrów, ale my będziemy strzelali co najwyżej ze stu aż do dziesięciu.

Natarcie prowadzi dowódca wspierany przez kilku pilotów, podczas gdy jeden lub dwaj obserwują horyzont. Atak powinien nastąpić od strony martwych pól, a więc: pod ogon, z góry, lub od przodu. Nieprzyjaciel będzie się bronił manewrem i ogniem. Jeżeli maszyna jego jest wielomiejskowa, odsłoni pole ostrzału strzelcom; jeżeli jest jednomiejskowa, zrobi wywrót lub ucieknie, jeśli nie zdoła uzyskać przewagi wysokości. Zwycięża ten, kto rozporządza lepszym samolotem, uzbrojeniem oraz kto ma silniejszą wolę zwycięstwa.

— A jeżeli samoloty i broń są równie dobre? — zapytał Kramer.

— Co do tego, są dwa zasadnicze zdania: Fonc twierdził, że zwycięzcą jest zawsze lepszy, to znaczy spokojniejszy i zręczniejszy strzelec; Guynemer utrzymywał, że przewagę osiąga śmielszy pilot.

— A co pan o tym myśli?

— Obaj mają słuszość. Dodałbym jeszcze, że jednym z bardzo ważnych czynników jest opanowanie maszyny w akrobacji i wytrzymałość, ale przede wszystkim wola zwycięstwa silniejsza niż u przeciwnika.

— Zginąć w walce powietrznej jest łatwo — mówił innym razem. — O wiele trudniej jest zwyciężyć. Dlatego było tak niewielu asów w lotnictwie podczas wojny europejskiej. Większość pilotów tych czasów to statysci zdolni zazwyczaj jedynie do samoobrony, a w rzadkich wypadkach do ataku. Byli oni w stosunku do ówczesnych asów tym, czym zwyczajni toreadorzy są w porównaniu z matadorami. Kiedyś, jeżeli będzie wojna, a wy dostaniecie się do myśliwskiej eskadry, pamiętajcie o tym, że główną waszą cechą powinna być zaczepność. Musicie szukać walki, dążyć do niej, wszczynać ją z każdym napotkanym w powietrzu samolotem nieprzyjaciela i zwyciężyć. Tego chciałbym was nauczyć tu, w szkole.

Wkrótce już zaczniemy przerabiać walkę. Może w przyszłym tygodniu...

Nie mogli się doczekać tego przyszłego tygodnia: to będzie dopiero emocja!

Tymczasem Grey musiał zmieścić w programie drugiego sezonu strzelanie z karabinów maszynowych z powietrza, Pełną akrobację, loty nocne, wielkie przeloty orientacyjne i taktykę walki. Nie chciał przy tym zaniedbać innych sportów widząc, jakie dodatnie wyniki chłopcy osiągnęli przez ich uprawianie w zeszłym roku. Na szczęście doskonale dopasowana i uregulowana maszyna administracji Siedlisk zajmowała mu teraz mniej czasu.

Toteż latali po dziesięć do dwunastu godzin na dobę, ćwicząc akrobację i przeloty nawet w najgorszych warunkach atmosferycznych.

Grey „doszlifowywał” ich, robił ostatnie pociągnięcia przy realizacji swego dzieła — trzynastu asów Polski.

*

W sobotę Bielak miał — jako ostatni — ukończyć serię wielkich przelotów. W jednym dniu z Siedlisk przez Białystok, Siedlce, Kielce do Katowic i z powrotem. Razem tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów w pięć godzin, wliczając w to czas postoju dla napełnienia zbiorników.

Wyleciał o ósmej rano przy zachmurzonym niebie i przelotnych burzach gnanych silnym północnym wiatrem. Grey oczekiwał jego powrotu najpóźniej około drugiej po południu.

Ale już przed jedenastą otrzymał komunikat ze Śląska o szalejącym tam od godziny huraganie, po czym z Warszawy nadeszła wiadomość o gwałtownych burzach gradowych, a PIM²³ przepowiadał grady nad całą Polską środkową i wielkie opady na północnym wschodzie.

Nie wypuszczą go z Katowic — pomyślał Grey i kazał zawiadomić Gałęckiego, żeby nie czekał na maszynę tego dnia, ponieważ w soboty lotnisko katowickie (oprócz wyjątkowych wypadków) od południa było nieczynne.

Przepowiednia Pimu sprawdziła się całkowicie: zaraz po obiedzie lunął deszcz i padał tak, jakby miał nastąpić nowy potop.

Wobec tego Grey zarządził montaż fotokarabinów maszynowych, które miały być w przyszłym tygodniu użyte do walki powietrznej. Były to aparaty dające za pociśnięciem spustu serię zdjęć filmowych z oznaczeniem na każdej klatce czasu z dokładnością do dziesiątej części sekundy i odległości od celu w metrach.

Po „bitwie” powietrznej otrzymywało się tym sposobem film stwierdzający, przy porównaniu z filmem przeciwnika, która z maszyn biorących udział w spotkaniu została najpierw „zestrzelona”.

Tymczasem na dworze szalała ulewa i wicher. Fale deszczu siekły w szyby okien jak bicze, woda płynęła strumieniami po ścieżkach parku i tworzyła małe jeziora na podwórzu. Szarosrebrzysta zasłona okryła świat mokrym tumanem, przez który nie można było dojrzeć nawet najbliższych drzew szosy.

Lało i lało. Powietrze ochłodziło się; czuć w nim było lodowate podmuchy spadłych po drodze gradów, a wicher aż zanosił się od wycia w kominach i pod okapem dachu. Nagle z tym wyciem i szumem zmieszał się znajomy dźwięk, budzący echo w sercu każdego lotnika.

²³ PIM — Państwowy Instytut Meteorologiczny; dziś — Państwowy Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

Dźwięk targany zawieruchą, szarpany w nierównych, raz mocniejszych, to znów słabszych podmuchach.

Gdzieś pod niskim pułapem chmur warczał silnik. Porał się z huraganem, cichł, brzęczał znowu, ochrypty z wysiłku, a jednak niepokonany; wreszcie zagrział nad samym dworem i umilkł.

Wszyscy porwali się z miejsc. Tylko Grey siedział spokojnie i patrzył w okno.

Daleko, nad zasnutym mgłą lotniskiem, mocował się z Wichurą samolot. Szedł do lądowania wśród zdradzieckich uderzeń nurtu, kładąc się na burty i wstając z wysiłkiem, rzucany w dół i w górę, zalewany strugami ulewy. Tańcząc w niespodzianych podrzutach dochodził do ziemi. Już miał jej dotknąć, gdy nagle wyniosło go w górę, pchnęło w bok zatarmosiło. Potem równie nagle otwarła się pod nim próżnia. Zapadł w nią i — zdawało się — wyrznie podwoziem roztrzaska się o ziemię.

Ale w tej samej chwili ryknął silnik. Krótko, pewnie, w sam czas, aby uratować lądowanie. Maszyna przepadła lekko, jakby przy idealnie spokojnym powietrzu. Dotknęła ziemi, przywarła do niej.

Bielak powrócił z dziesięciominutowym opóźnieniem z Katowic.

*

Wszyscy patrzyli, jak Wirecki to robi. A on wiedział o tym i postanowił zrobić wszystko, jak sam zechce.

Ciągnął maszynę powoli do pętli, nie śpiesząc się, a potem jednym pewnym ruchem przerzucał ją na plecy. Zauważył, że prawie nie traci wysokości. Liczył do piętnastu w każdym węźle i za każdym razem wypadało dobrze.

Spróbował powiększyć promień; samolot usiłował wymknąć się w bok przez skrzydło, ale on wiedział o każdym jego zamiarze; nie puszczał. I pętle, jedna po drugiej, płynną linią rozcinały niebo. Musiały być takie, jak chciał.

Wtedy zawinął beczkę. Jedną, drugą, dziesiątą. Miał je wszystkie w dłoni. Wyczuwał końcami palców. Umiał. Mógł kierować ich skrętem, jak mu się podobało.

Więc z wielkiej radości wyciągnął maszynę w górę i skrzyżował stery. Zwichnęła równowagę potężnym zarzuceniem ogona. Rozszalał się korkociąg. Ostry, pionowo w dół, pod kątem do osi kadłuba.

Z wolna wycofał nogę prostując ster kierunkowy. Zwoje korkociągu spłaszczyły się, ogon zaczął wirować dokoła środka ciężkości płatowca zamiatając przestrzeń.

Trzymając ciągle drążek sterowy na sobie, wyrównał lotki. Samolot aż zajęczał. Kręcił się płasko, przepadał, leciał na skrzydło.

Nagle Wirecki postanowił zmienić kierunek zwoju z prawego na lewy. Wyprowadził i rzuciwszy maszynę w pętlę zamknął gaz w momencie, kiedy była już na plecach.

Zawahała się. Kopnął ster w prawo i skrzyżował z nim lotki.

Piekielne wycie zamilkło jak nożem ciął. I zaraz przeszło w cienki, gwizdzący śpiew nowego korkociągu.

Ziemia stanęła na chwilę dęba, śmignęła po łuku olbrzymiej amplitudy w bok i ruszyła w wir, jakby ją wciągnął potworny lej kosmiczny.

Kiedy urosła przed wzrokiem pilota do rozmiarów, według których nieomylnie określił jej odległość na pięćset metrów, trzeba było z tym skończyć.

Gdyby mi teraz nie od razu wyszedł z korkociągu... — pomyślał i skrzywił się.

Rozmyślnie oddalał wyrównanie maszyny.

Jeszcze czas. Jeszcze, jeszcze.... jeszcze! — całą siłą woli powstrzymywał ruch dłoni.

I — już!

Samolot wyszedł nisko nad ziemią. Jak u Greya — pomyśleli chłopcy. Wirecki wylądował.

— Trochę za późne wyrównanie, ale poza tym bardzo dobrze — powiedział Grey.

Po raz pierwszy powiedział: b a r d z o dobrze.

*

Od paru dni nad lotniskiem umilkły wreszcie karabiny maszynowe siejące dokoła strzelnicy gęstym gradem pocisków. Przez całe dwa tygodnie obok ćwiczeń walki powietrznej w pojedynkę, a potem dwu i trzech przeciw jednemu i wreszcie walki patrolami w szyku, Grey urządził ostre strzelanie do nieruchomych celów ziemnych. Kilkakrotnie latali wszyscy razem na poligon wojskowy, aby strzelać do batoników, w czym zawsze celował Kramer osiągając najlepsze wyniki. Raz tylko przestrzelał go Radlicz; zresztą tylko sam Grey mógł być im wzorem.

Teraz, zamiast głośno trzeszczących serii, cicho pracowały fotokarabiny i tylko silniki wyły pełną mocą lub piałły fletnery, drąc powietrze przy gwałtownych zwrotach walczących maszyn.

Na ogół siły wszystkich przeciwników były równe. Względną przewagę mieli Kramer i Wirecki, ale i oni czasem bywali zwyciężani przez Szczerbińskiego, Radlicza i innych.

Osiągnięcie zwycięstwa stawało się coraz trudniejsze. Pojedynki trwały po trzy kwadranse i dłużej. W końcu Grey zaniechał ich zupełnie, wprowadzając zasadniczo walkę sił nierównych.

Trzynastka jego „orląt” stawała się rzeczywiście groźna w powietrzu. Nawet on sam dobrze musiał się natrudzić, zanim złapał któregoś z nich na cel, i dobrze musiał uważać, aby nie dostać się „pod ostrzał”. Mimo to trenował dalej, wtajemniczając ich w najsubtelniejsze manewry taktyki powietrznej.

W końcu lipca, korzystając z pełni księżyca, zaczęli loty nocne. Grey pozwolił im za to spać do dziewiątej, a ćwiczenia w walce powietrznej przeniósł na popołudnia.

Początkowo startowali i lądowali przy świetle ognisk ze szmat nasyconych użytym olejem i podlanych obficie benzyną. Później Grey stopniowo usuwał ogień. Wreszcie loty odbywały się tylko przy świetle księżyca.

— Będziemy latali także bez księżyca — oświadczył.

Jakoż w pierwszych dniach sierpnia noce stały się atramentowoczarne.

Pierwszy, jak zwykle, poleciał Grey. Widać było tylko światła pozycyjne jego samolotu na tle usianego gwiazdami granatowego nieba. Chłopcy patrzyli w skupieniu, jak te trzy światełka: czerwone, białe i zielone, zaczęły płynąć w mroku nocy, Z początku drgały niespokojnie, kiedy maszyna podskakiwała z lekka przy starcie, a potem popłynęły równo w ostrym zakręcie amerykańska.

Ten amerykański wywołał szmer podziwu: był równie ostry i zadarty w górę jak za dnia. A przecież teraz Grey nie mógł widzieć horyzontu, nie mógł orientować się w położeniu maszyny inaczej, jak tylko według przyrządów. Po chwili trzy kolorowe światełka balansowały już na wysokości paruset metrów.

I nagle...

To, co nastąpiło, było tak niezwykle, że zaledwie mogli uwierzyć własnym oczom: Grey rzucił maszynę w beczkę. Zielone światło wyszło wysoko w górę, na chwilę stanęło pionowo nad białym i czerwonym, potem przesunęło się na lewo, tak jakby samolot zmienił kierunek lotu o 180 stopni, potem znikło na mgnienie oka, aby znów zająć właściwe miejsce na prawo od białego. Tak, niewątpliwie była to beczka. Nastąpiła po niej druga i trzecia. A potem pełna akrobacja, robiona na ślepo, a jednak czysta, prawidłowa, prześliczna!

Zakończył ją korkociąg i lądowanie gładkie jak w pełnym blasku słońca.

— Pierwszy raz przyszło mi do głowy robić po ciemku akrobację — przyznał się porucznik. — Nie, nie jest bardzo trudna. Oczywiście trzeba ją robić według przyrządów, bo ziemię widać słabo, a horyzontu nie ma. Za to są gwiazdy. To coś dla ciebie, Stefan — zwrócił się do Wireckiego. — Powiedziałbym, że w chwili przewrotu na plecy przy pętli i przy beczce niebo jest nimi zachłapanie. Zupełnie tak, jakby kto olbrzymi pędzel umaczany w srebrze otrząsnął na ciemnogrnatowy klosz nieba.

Do maszyny siadł Zakrzewski.

— Weź kierunek przy starcie na światła wsi albo lepiej jeszcze wybierz sobie jedną z gwiazd nad horyzontem. Inaczej maszyna może ci uciec w bok — powiedział Grey — Przy lądowaniu uważaj na latarnie hangaru. To jedyne punkty orientacyjne; według nich musisz ocenić wysokość przy podejściu do ziemi. Tylko spokojnie. Start!

Karol na pełnym gazie wyciągnął maszynę w powietrze. Pochłonęła go ciemność. Pod sobą i dokoła widział tylko czarny ocean mroku. Nad nim obojętnie mrugały gwiazdy. Wzrok mimo woli zatrzymywał się na nich; były punktami orientacji.

Dopiero po chwili na prawo w tyle dojrzał światełka hangaru i okna dworu. Wykonał zakręt w lewo, aby nie stracić ich z oczu. Teraz zobaczył daleki kłęb iskier, które były niewątpliwie światłami miasta. Bardziej na prawo nikle błyszczały kolorowe latarnie sygnałowe kolei oraz jasno oświetlony dworzec.

Nagle Zakrzewski zobaczył gwiazdy pod sobą, w dole... Instynktownie nacisnął ster, bo miał wrażenie, że trochę przeciąga maszynę. Zaraz jednak poczuł, że prędkość jest zbyt wielka.

Gwiazdy pod nim świeciły nadal. Wtem przypomniał sobie, że tutaj właśnie płynie rzeka i uspokoił się od razu: to było tylko odbicie gwiazd w wodzie.

Przeleciał wzdłuż toru kolejowego do miasta i z powrotem, odszukał charakterystyczne latarnie hangaru i zaczął lądować.

Światła zbliżały się. W pewnej chwili poczuł, że ziemia jest blisko. Załamał kąt i czekał. Mrok zgęstniał bardziej jeszcze i pod maszyną zaczęły sunąć jakieś niewyraźne zarysy pola. Starał się nie patrzeć na nie, tylko na coraz bliższe latarnie. Jednocześnie poczuł, że koła musnęły ziemię. Ściągnął ster na siebie. Wtem maszyna zawadziła o coś podwoziem i wyskoczyła w górę.

Na Karola buchnęło gorąco: kraksa²⁴! Ale dłoń sama zwolniła i szybko ponownie ściągnęła ster. Maszyna potoczyła się gładko po ziemi.

Z daleka biegł Grey z latarką elektryczną.

— Dobrze — powiedział zdyszany — tylko trochę za krótko lądowałeś. Mogłeś zawadzić o miedzę sąsiedniego pola. Zawadziłeś nawet, co?

— Zawadziłem — przyznał Karol ze skrucą. — Ale oddałem ster i jakoś usiadłem.

— No, to leć jeszcze raz. Chcesz?.

Aż do tej chwili Zakrzewski nie bardzo chciał. Ale teraz nabrał ochoty. Poleciał jeszcze

²⁴ Kraksa — uszkodzenie samolotu; awaria, katastrofa.

raz i jeszcze. Lądowania miał coraz lepsze. W końcu ciemności przestały budzić w nim jakąkolwiek obawę.

Umiem — powiedział sobie.

I naprawdę umiał.

Po trzech nocach ćwiczeń zaczęły się przeloty nocne do Lidy, Wilna i Grodna. W ciągu trzech tygodni wylatali ogółem przeszło czterysta osiemdziesiąt godzin. Oswoili się do tego stopnia z ciemnością, że mogli latać patrolami w grupach, jak za dnia. Rozumieli się doskonale podczas zmian szyku w lotach grupowych. Wystarczał krótki znak przodownika. Wiedzieli, kiedy i jak każdy z nich poprowadzi swój samolot do manewru. Wiedzieli, jak zaatakuje i jak się będzie bronił w każdej sytuacji walki. Mieli swoje sposoby niesienia mu pomocy. Tworzyli zgrany zespół myśliwski; przeszli samych siebie.

Grey wyszkolił nie tylko trzynastu asów, ale także znakomitą ekipę akrobatyczną. Mógł być pewien, że każdy jego rozkaz wydany tej trzynastce zostanie spełniony z całym zapalem. Mógł nimi dysponować; kochali go i wierzyli w niego. Czuł się ich dowódcą.

*

Szczerbiński nie zwracał uwagi na samolot Arensa, który uważał od paru minut za zestrzelony przez siebie, wykręcał się natomiast od ataków Kramera, który podchodził wciąż bliżej pod jego statecznik, grożąc ostateczną serią z fotokarabinu.

Wywinięcie się z tej sytuacji było nie lada zadaniem: każdy ruch Leszka powtarzany był błyskawicznie przez Andrzeja i maszyny wiły się jedna za drugą, jakby połączone niewidzialnym sprzęgłem.

Na próżno Leszek rzucił się w korkociąg z ostrego wywrotu. Kiedy wyprowadził maszynę, Andrzej był za nim. Wtedy postanowił „zginać” wysoko. Na pełnym gazie darł się w górę, wyciskał ostatni dech z silnika, patrząc w okrągłe lustro przed sobą, w którym niezmiennie widać było odbicie wzniesionego łba maszyny Kramera.

Na dwóch tysiącach metrów po raz ostatni spróbował zaatakować zniecacka, ale na próżno. Odległość między nim a przeciwnikiem zmalała jeszcze wskutek tej rozpaczliwej próby.

Więc darł się dalej w górę, licząc już tylko na długą szaleńczą pikę, w którą chciał rzucić maszynę z trzech tysięcy metrów.

Nagle silnik zaczął przerywać. Zadławił się i potem strzelał raz po raz do gaźnika.

Nie było rady. Szczerbiński zamknął gaz i już miał skrzyżować stery, gdy wtem spostrzegł wydobywający się spod maski kłęb czarnego dymu. Pali się — pomyślał.

Nacisnął kran gaśnicy. Ale mosiężny kurek został w jego dłoni. Był widocznie nadpęknięty i teraz odłamał się do reszty. Jednocześnie coś trzasło, jedna z wygiętych blach maski odpięła się i porwana pędem przeleciała obok jego twarzy. Buchnął płomień, w mgnieniu oka przeskoczył na zbiornik zapasowy i na kołnierz kombinezону pilota.

Zahuczał pożar. Szczerbiński poczuł dotkliwe ukąszenie ognia w szyję i puściwszy ster zduśił płomień na sobie. Potem, nie tracąc przytomności umysłu, zamknął dopływ paliwa i opuścił rękojeść wyrzutnika, pozbywając się w ten sposób głównego zbiornika z benzyną.

Jego dłonie pracowały jak automaty. Dał pełny gaz, nie myśląc, że tymczasem dostał się pod obiektyw kamery Andrzeja. Szło mu o to, aby jak najprędzej wypalić benzynę, wessać ją do cylindrów, przeszkodzić dalszemu rozpryskiwaniu się i rozlewaniu ognistej cieczy, która objęła mały zbiornik zapasowy i mogła spowodować jego pęknięcie wskutek gorąca.

Jednocześnie pchnął maszynę w trawers, aby uniknąć szalejących płomieni.

Ale cienka ścianka zbiornika nie wytrzymała. Wygięła się i nagle pękła tuż przy korku. Ogień zahuczał, płomień wydłużył się i sięgnął aż poza wiatrochron. Kombinezon znowu zaczął się tlić na Szczerbińskim, a tuż nad jego głową strzępiły się języki ognia.

Przez krótką chwilę Leszka ogarnął strach.

Spalę się — pomyślał.

Spojrzał w dół. Do ziemi było dwa i pół tysiąca metrów.

Nie zdążę — przeszło mu przez głowę.

Wtem przypomniał sobie, że przecież ma spadochron. I od razu uspokoił się, ostygł i postanowił:

Muszę zdążyć.

Sprawdził pasy, lecz zdecydował się skakać tylko w ostateczności.

Pchnął maszynę pionowo ku ziemi. Poleciał w przepaść jak kamień. Zaparło mu oddech. Płomień wydłużył się w parometrową ognistą wstęgę. Czerwony jezor rwany szalonym pędem huczał jak grzmot. Przedostał się do wnętrza i cwałował po przewodach i kablach, po pokrowcach i obiciach, aż zatliły— się i dymiły coraz mocniej.

Szczerbińskiego wgniotło w oparcie fotela, oślepiło i ogłuszyło prawie zupełnie. Z wysiłkiem odczytywał wysokość. Dwa tysiące... tysiąc pięćset... tysiąc... pięćset metrów... Wtedy zgasł ciekący zbiornik: pęd zdmuchnął z niego płomień jak ze świecy. Samolot pędził w dół, rycząc, wyjąc i gwizdząc. Zdawało się, że zgubi stateczniki, rozpadnie się, rozprysnie się w powietrzu.

Wyprowadzić — pomyślał Leszek.

Z wysiłkiem położył na sterze drugą rękę i zaczął ciągnąć. Ster opierał się. Między dwiema warstwami opływu tkwił sztywno jak w kleszczach.

Szczerbiński wyteżył wszystkie siły. Teraz albo odejdą skrzydła — pomyślał — albo kadłub pęknie w połowie i urwą się stery, albo uratuję maszynę. Pociągnął z całych sił. Ster z wolna poddawał się wprowadzając nowy spazmujący ton do kwiku i piania fletnerów drących powietrze. Samolot szedł po łuku.

Siła odśrodkowa coraz mocniej przyciskała pilota, nalewając mu łożem członki. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy i jak doznaje zawrotu głowy, który pograża go w ciemność. Omal nie stracił przytomności. Kiedy wreszcie maszyna znalazła się w położeniu horyzontalnym, odetchnął z ulgą. Zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło.

Spojrzał na ziemię. Miał dwieście metrów i lotnisko pod wiatrem, trochę za blisko na lądowanie po prostej. Przez mgnienie oka zawahał się: czy maszyna wytrzyma gwałtowny ślizg?

Wtem poczuł swąd spalenizny i zaraz potem: zobaczył płomień oblizujący łakomie pokład między orczykiem a burtą. Widocznie zdmuchnięty pędem pożar tlił się jeszcze wewnątrz kadłuba, a teraz na nowo ogarniał przewody. Kombinezon na nogach pilota tlił się i dymił obficie.

Szczerbiński nie namyślał się dłużej; miał tylko parę sekund czasu, zanim płomień obejmie całą kabinę.

Wycofał szybko nogę kładąc maszynę na skrzydło i skrzyżował lotki. Ziemia spłynęła w bok i zaczęła sunąć ku niemu z prawa coraz prędzej.

Na wprost odcinał się prostokątny blok hangaru, a pośrodku lotniska czerniały sylwetki Greya, Galeckiego i kilku chłopców. Dalej na lewo kładł się w głęboki wiraz samolot Kramera.

Wszystko to odbiło się w świadomości Leszka niejako bez jego udziału, jak w

zwierciadło. Myślał teraz tylko o płonącej kabinie, usuwając się w bok, aby uniknąć gryzącego dymu i ognia. Pęd wiatru znosił płomień na zewnątrz i tylko dzięki temu Szczerbiński mógł pilotować.

Ale na parę metrów od ziemi trzeba było wyrównać. Zakrył twarz ramieniem i zaczął lądować. Płomień kąsał go i przez rękawice parzył dłoń na sterze. Chłopiec zacisnął zęby.

Już niedługo — pocieszał się. — Już zaraz. Podwozie przyłgnęło do ziemi. Płoza ogona wyorała w murawie wąski ślad ostrogi. Samolot zwolnił biegu i stanął. Jednocześnie ogień objął cały środek kadłuba. Szczerbiński wyskoczył z jego furczących języków i szybko ściągnął tlejący kombinezon.

Od strony chorągiewki startowej zatkniętej na środku lotniska, gdzie stała grupa, biegli ku niemu Grey z Gałęckim i dwaj mechanicy z gaśnicami. Nie czekając na ich przybycie zaczął zasypywać piaskiem wnętrze kabiny i tłumić ogień nadpalonym kombinezonem. Udało mu się wreszcie wyrwać gumowe złącza przewodu i skierować cały strumień piany, w sam środek pożaru, pod silnik. Zgasło, zanim tamci nadbiegli.

Grey był widocznie przejęty, choć starał się tego nie okazywać. Kiedy samolot Szczerbińskiego przeszedł w pionową pikę po wyrzuceniu zbiornika z benzyną, wszyscy (nie wyłączając porucznika) sądzili, że Leszek stracił przytomność.

Dopiero kiedy pęd zdmuchnął płomień i kiedy maszyna zaczęła wchodzić na łuk, przekonali się, że chłopiec żyje i panuje nad sterami. Oczekiwali urwania się skrzydeł, tak jak i on. Nie mogli mu darować, że nie skoczył. — Dlaczego, u diabła? — zapytał Grey. Ale widać było, że wie dlaczego. W oczach miał uśmiech i dumę w lekkim odęciu ust: to był jego uczeń — ratował maszynę; a przecież miał prawo skakać. W końcu nie mógł się powstrzymać i uścisnął go serdecznie.

— Poparzyłeś się?

— Głupstwo, gdyby nie ta gaśnica.:'

— Trzeba przejrzeć wszystkie — powiedział Grey do Gałęckiego, który był najbardziej przejęty wypadkiem.

— Ale Kramerowi udało się — zaczął znowu Leszek. — Mógłbym się jeszcze wykręcić. I jeżeli pan pozwoli...

— Co? — spytał Grey.

— Chciałbym powtórzyć tę walkę — powiedział Szczerbiński. — I to zaraz.

Grey pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

— Dobrze — zgodził się. — Bierz drugą maszynę i leć.

Koniec części pierwszej